

PROCES KSIĘDZA
DAMAZEGO MACOCHA
W PIOTRKOWIE

o zabicie brata w klasztorze na Jasnej Górze i o kradzież pieniędzy kościelnych.

W dniach od 27 Lutego do 9 Marca 1912 roku.

PROCES

SIĘDZA DAMAZEGO MACOCHA

W PIOTRKOWIE

o zabicie brata w klasztorze
na Jasnej Górze i o kradzież
pieniędzy kościelnych.

dniach od 27—29 lutego i od 1—9 marca r. 1912.

1912.

Akt oskarżenia w sprawie Macocha i innych.

Akt oskarżenia

w sprawie księży-zakonników zakonu Paulinów klasztoru Jasnogórskiego w Częstochowie: 38-letniego Damazego (Kacpra) syna Pawła Macocha; 38 letniego Izydora (Stanisława Andrzeja) syna Łukasza Jana Starczewskiego; 45-letniego Bazylego (Józefa) syna Hilarego Olesińskiego; 27-letniej Katarzyny Heleny córki Mikołaja Macochowej; 50-letniego Józefa Franciszka Damazego, syna Stanisława, Błasikiewicza; 39-letniego Józefa, syna Wincentego, Pertkiewicza; 27-letniego Lucyana Władysława, syna Walentego, Cyganowskiego; i włościanina z gminy Grabówka, w pow. Częstochowskim, Wincentego, syna Jana, Pianki.

Olesiński i Cyganowski pozostają na wolności, pozostali osadzeni zostali w więzieniu.

Trup w sofie.

Dn. 26 lipca 1910 r., nad ranem, włościanin, Marcin Cudak, na drodze, wiodącej ze wsi Gidle do Zawad, w pow. Radomskowskim, zauważył, że w odległości około wiorsty od Zawad, w rowie przydrożnym, napełnionym wodą, w miejscu, gdzie rów ma głębokości cztery, a szerokości trzy łokcie, pływa jakaś skrzynia drewniana, znacznych rozmiarów, przewrócona do góry dnem i przewiązana sznurami. Około godziny 7-ej rano widział skrzynię w tem samem położeniu włościanin, Jan Dąbrowski, który szedł piechotą z Zawad do Gidl. Lecz, gdy po pewnym czasie wracał tą samą drogą, zauważył, że skrzynię wyciągnięto z wody; wystawała ona do połowy z rowu, część sznurów rozwiązano, a na drodze leżała poduszka i siennik. Podszedłszy bliżej Dąbrowski, przekonał się, że to, co wziął za skrzynię, jest przewróconą do góry dnem sofą, obitą czarną ceratą. Dąbrowski, jak i Cudak, nie przypuszczali, ażeby wszystko to miało jakieś szczególne znaczenie i nikomu nie opowiadali o tem, co widzieli. Dopiero około godz. 11-ej przed południem jacyś przejeżdżający przez Zawady włościanie, przywoławszy pasącego niedaleko tejże wsi bydło, chłopca, Stanisława Juraszka, kazali mu pójść do gminy w Konarach i zawiadomić o leżącej w wodzie tajemniczej sofie. Juraszek polecenie to wykonał.

W południe przybył na miej-

sce pisarz gminy, Kazimierz Kondracki i starszy strażnik, Jan Bajrasz. Z polecenia ich sofę wyciągnięto z wody i rozwiązano sznury. Gdy podniesiono wieko, znaleziono wewnątrz: rogożę ze znakami rosyjskiemi ''Ju Ż.'', 25,7744, Nr. 34; stare futro, pokryte czarnem suknem, poduszkę w czerwonej powłoczce dwa nieduże chodniki z włókien roślinnych, wreszcie na samem dnie znajdował się trup mężczyzny średniego wzrostu, w wieku około lat trzydziestu, ze spokojnym wyrazem twarzy i na wpół otwartemi oczami. Włosy zmarłego były rudawe, miał on takiegoż koloru długie wąsy, niewielką brodę i małe bokobrody. Oprócz pokrwawionej bielizny, okrywającej dolną część ciała, na trupie żadnego ubrania nie było. Nadto trup owinięty był w kołdrę bronzowego koloru, głowa rozbita, owinięta była w dwa prześcieradła, nogi i ręce były związane, z prześcieradeł wykrajano znaki. W pobliżu, któryś z włościan, znalazł na drodze drugą rogożę, opatrzoną takiemiż znakami, jak te, które widniały na rogoży, znalezionej w sofie.

Oględziny lekarskie zwłok wykazały:

Na prawej łopatce w kierunku skośnym, głęboką, do kości przenikającą ranę, długości 7-iu centymetrów. Z prawego boku na szyi, drugą taką ranę poprzeczną, długości 4 centymetrów, również głęboką. Z tyłu na karku ranę takąż samą, długości 8 centymetrów, przenikającą aż do kości pacierzowej. O 3 centymetry w kierunku prostopadłym od prawego ucha, widniała rana, długości 2 centymetrów, a tuż nad nią jeszcze jedna rana, o brzegach nierównych, długości 3 centymetrów. Przy lewem oku był siniak koloru ciemno-czerwonego, wielkości pięcio kopiejkówki srebrnej; takież dwa siniaki spostrzeżono na klatce piersiowej z prawej i lewej strony w okolicy 7-go i 8-ęgo żebra. Wreszcie na głowie, w okolicy prawej kości ciemieniowej, w kierunku skośnym, widniała rana, długości 10 centymetrów, idąca ku środkowi głowy i zachodząca na kość czołową z równemi brzegami, w których znaleziono kawałki mózgu.

Lekarz orzekł, że zmarłemu zadano uderzeniami ostrego narzędzia, w rodzaju topora, liczne rany, z których dwie śmiertelne: jedna w prawą kość ciemieniową i druga w szyję i że śmierć nastąpiła natychmiast, wskutek znacznego uszkodzenia mózgu i utraty krwi. Siniaki na szyi i piersiach pochodzą od uderzenia tępego narzędzia i duszenia, gdyż chciano widocznie jaknajprędzej załatwić się z ofiarą. Zmarłego zabito, gdy śpiąc, leżał na lewym boku, na co wskazuje położenie i kierunek ran, brak ubrania i brak jakichkolwiek śladów samoobrony na rękach.

Śledztwo pierwiastkowe.

Śledztwo pierwiastkowe weszło z początku na fałszywą drogę, gdyż powstało przypuszczenie, iż zamordowany jest mieszczani-

nem z Kielc, Bartłomiejem Wójcikowskim. Ustalono, że Wójcikowski w d. 21 lipca przyjechał do Radomska i stanął w hotelu Polskim, gdzie faktorowi Lewkowi Fiszlewiczowi polecił, ażeby wyszukał mu majątek ziemski, odpowiedni do kupna. Fiszlewicz zapoznał Wójcikowskiego z właścicielem ziemskim w pow. Radomskowskim, Józefem Wilkońskim, który chciał majątek swój sprzedać za 37,000 rubli. Po obejrzeniu folwarku Wójcikowski w d. 24-ym lipca wyjechał z Radomska i powrócić miał z pieniędzmi dn. 26-go lipca, ale ani w ten dzień, ani w dni następne do Wilkońskiego nie przyjechał i znikł bez śladu. Aresztowano wówczas kilka osób i wypuszczono wtedy, gdy okazało się, że Wójcikowski żyje i że d. 4-go września pojechał do Krakowa, aby odwiedzić zamieszkałych w tem mieście synów.

Pierwsze ślady.

Dn. 17-go sierpnia znalezione przy trupie w sofie rogoże posłano do Kijowa, do zarządu żandarmeryjno-policyjnego kolei Południowo-Zachodnich "Ju. Ż." oznaczają koleje Południowo Zachodnie: cyfra "25," numer stacyi, wysyłającej towar, w danym wypadku stacyę Krzemieniec; cyfra "7744," numer porządkowy wysłanego towaru, a "Nr 34," znak prywatny, wysyłającego. Oględziny ksiąg stacyi Krzemieniec, wykazały, że pod Nr 7744 wysłano na stacyę Częstochowa kolei W. W. dn. 27-go czerwca 1910 r., w imieniu niejakiego Berensteina, na rzecz tego, kto przedstawi dublikat frachtu, trzy transporty koszów wagi ogólnej 14 pudów 12 funtów. Towar ten, jak okazało się z ksiąg stacyjnych Częstochowy, wydano d. 21-go lipca tegoż roku, niejakiemu S. I. Potokowi, mieszkańcowi Częstochowy, handlarzowi koszami.

Badany dwukrotnie Szmul Josek Potok, zeznał, że istotnie d. 21-go lipca 1910 r. odebrał ze stacyi kosze, opakowane w rogoże, i przewiózł je do sklepu swego na Nowym Rynku. W kilka dni potem do sklepu przyszedł nieznany mu mężczyzna, lat średnich, i zażądał koszów. Obejrzawszy cały towar, nieznajomy nie znalazł kosza odpowiedniego, gdyż potrzebny mu był bardzo duży. Wtedy Potok przypomniał sobie, że w piwnicy znajdzie się duży kosz. Potok razem z nieznajomym zeszedł do piwnicy i tam kosz ten pokazał. Nieznajomemu kosz ten podobał się i wziął go, zapłaciwszy 4 rb. Prócz tego wziął on 3 rogoże. Gdy kosz wydobyto z piwnicy, nieznajomy sprowadził dorożkarza. Potok spytał nieznajomego, dla kogo kosz ten wiezie. Ten odpowiedział że do klasztoru Jasnogórskiego. Potok nie zwrócił uwagi szczególniej na kupca i twarzy jego nie zapamiętał.

Po nitce do kłębka.

Po zeznaniu Potoka zbadano mieszkańców wiosek, leżących po drodze, wiodącej z Częstochowy do Zawad i ustalono, że 25-go lipca, wieczorem, przejeż-

dżały dwie dorożki parokonne. W pierwszej, zaprzężonej w parę gniadych koni, siedziało dwóch pasażerów, z których jeden był księdzem, w drugiej zaś, zaprzężonej w siwego i gniadego konia, leżała w poprzek długa skrzynia, zawinięta w rogoże. Do Rudnik dorożki przybyły, gdy było już ciemno. Tutej zatrzymali się na krótko w traktjerni, napili się herbaty i pojechali dalej, w stronę Kłomnic.

Dorożkarzem, który w Częstochowie ma parę koni gniadych, jest Stanisław Pawlak. Zeznał on, że w połowie lipca, około godz. 8-ej wiecz., gdy stał przy klasztorze, z klasztoru wyjechał dorożkarz Nr. 31, Wincenty Pianko, który wiózł w dorożce jakąś długą skrzynię, zawiniętą w rogożę. Gdy Pianko minął go i pojechał ku miastu, wyszedł z klasztoru znany mu ksiądz, paulin Damazy Macoch, z drugim nieznanym mu wówczas młodzieńcem, który, jak okazało się następnie, był sługą klasztornym, Stanisławem Załogiem, siedli oni do dorożki jego i kazali jechać za Wincentym Pianką, ku rogatce warszawskiej. Przy rogatce Macoch spytał Pawlaka, czy zechce pojechać do Rudnik, a otrzymawszy odpowiedź potakującą, kazał jechać dalej. Pawlaka zdziwiło, że Załóg, zwracając się do Macocha, mówił do niego "ty." W Rudnikach Macoch zapłacił Pawlakowi, kazał mu jechać do domu, a sam z Załogiem siadł do dorożki Pianki, na leżącej w poprzek skrzyni, i ruszył w dalszą drogę.

Wincenty Pianko oświadczył, że nie zna Pawlaka. Badany 2 października wiózł jakąś skrzynię z klasztoru do Kłomnic, zkąd wrócił do Częstochowy, ale księdza żadnego nie woził. Po aresztowaniu, zeznał, że w drugiej połowie lipca, około godz. 4-ej po poł., gdy stał koło klasztoru, znany mu sługa klasztorny kazał podjechać do bramy "książąt Lubomirskich," gdzie stał dobrze mu znany ksiądz paulin Damazy Macoch. Ten polecił mu przyjechać za półtorej godziny przed bramę klasztoru. Gdy Pianko o wskazanej godzinie zajechał na główny dziedziniec klasztoru, spotkał go ten sam służący kazał przejechać na małe podwórze i stanąć koło sieni, prowadzącej do cel zakonników. Ztamtąd po pewnym czasie słudzy klasztorni wynieśli skrzynię, zaszytą w płótno, czy też w rogoże i skrzynię tę ułożyli w poprzek na doróżce.

Gdy wyszedł ks. Damazy, Pianko zapytał: "dokąd jedziemy, ojcze duchowny?", ks. odpowiedział: — "mieliśmy jechać na stacyę, ale jeźdź lepiej do rogatki warszawskiej."

Ks. Damazy ze służącym siedli w drugą dorożkę i pojechali za nim w odległości około trzydziestu kroków. W Rudnikach, gdzie wszyscy stanęli przy traktjerni i napili się kwasu. Pawlakowi kazano wracać, a ks. Damazy ze służącym siedli na skrzyni i kazali Piance jechać do Kłomnic. Gdy przyjechali na stacyę, ksiądz kazał stanąć, lecz po parominutowej, szeptem prowadzonej rozmowie z towarzyszem, polecił jechać dalej w

kierunku Gidl. Było to już nocą. Po pół godzinie jazdy, kazano mu stanąć w jakiemś, zupełnie nieznanem mu miejscu, gdzie koło drogi była rzeczka i krzaki. Tu Damazy ze służącym wysiedli z dorożki, wyjęli skrzynię i rzucili ją do wody. Domyślając się czegoś, Pianko przestraszył się i spytał Damazego, co to wszystko znaczy. Ten odpowiedział: "Jedź dalej, to ciebie obchodzić nie powinno." Za Zawadami i Gidlami wjechali w las. Wtedy Damazy stanął w dorożce i pytać go zaczął, czy kocha on Boga, Matkę Bożą i Jezusa Chrystusa, kazał mu złożyć ręce na krzyż, poczem rzekł: "Przysięgnij na Boga, Matkę Przenajświętszą i Wszystkich Świętych, że gdyby miano cię kiedy aresztować, nigdy nic nie powiesz, chociażby cię miano miesiącami trzymać w więzieniu, inaczej bowiem zginiesz na śmierć."

Pianko powtórzył słowa przysięgi, bał się zresztą, że w przeciwnym razie i z nim załatwią się odrazu. Po przyjeździe do Radomska, Damazy kazał mu zatrzymać się u przejazdu, wyszedł wraz z towarzyszem z dorożki, zapłacił za drogę 30 rubli i polecił wracać do Częstochowy inną drogą i raz jeszcze przypomniał o przysiędze. Do Częstochowy Pianko wrócił nazajutrz około godz. 1-ej w południe, przebywszy w ten sposób w drodze około 18 godzin.

Gdy Piance pokazano sofę, znalezioną w Zawadach, oświadczył, że sofa podobna jest do skrzyni, którą wywiózł z klasztoru.

W klasztorze.

3-go października przystąpiono do śledztwa w klasztorze. Okazało się, że w kurytarzu u drzwi numeru pierwszego pokojów gościnnych, stała od dłuższego czasu czarna sofa, obita ceratą, która w połowie lipca znikła bez śladu. Zamiatanie korytarza tego i wogóle pilnowanie porządku w nim było obowiązkiem szwajcara, Józefa Błasikiewicza. Słudzy klasztorni: Floryan Wujcik i Jan Roguś stwierdzili, że w połowie lipca wynosili na żądanie Stanisława Załogi z celi ks. Damazego Macocha i złożyli na dorożkę, jakąś długą i ciężką pakę, zaszytą w rogoże, która z objętości sądząc, podobna była do sofy. W robocie tej pomagał im i Błasikiewicz. Ten zaś, gdy okazano mu sofę, znalezioną koło wsi Zawady, oświadczył, że sofy takiej nigdzie nie widział, i że paka, którą pomagał wynosić z celi Macocha, wcale do sofy podobna nie była, gdyż była o połowę przynajmniej mniejsza.

Ks. Wincenty Olszewicz, Józef Trubicki, Aleksander Toczyłowski i Antoni Kociela, zeznali, że sofa, którą im pokazano jest tą właśnie, która stała w kurytarzu, a następnie znikła. Ks. Paweł Ciepliński i felczer klasztorny Filipowicz, zobaczywszy fotografię trupa, znalezionego w sofie, poznali w nim bratanka ks. Damazego Macocha, urzędnika pocztowo-telegraficznego

w Granicy, Wacława Macocha, który często przyjeżdżał do klasztoru. Poznali też Wacława Macocha i ojciec jego, Roch Macoch i bracia Franciszek i Nikodem Macochowie i cały szereg innych świadków. Cały też szereg świadków ustalił, że znalezione przy trupie w sofie, futro, kołdra, poduszki i siennik, były własnością Damazego Macocha, a chodniki należą do klasztoru. Felczer klasztorny, Filipowicz, stwierdził, że bandaże, któremi związane były ręce i nogi zabitego, są takież same, jak te, któremi on w czerwcu opatrywał szyję Damazego Macocha, gdy w miejscu tem Macochowi utworzył się wrzód.

Wykryło się dalej, że Damazy Macoch w drugiej połowie lipca postanowił własnoręcznie pomalować ściany swej celi. Po umalowaniu ścian w pierwszym i drugim pokoju, Stanisław Załoga wymył podłogi, które Macoch kazał wymalować farbą olejną. Podłogę, a właściwie posadzkę do tego czasu nacierano woskiem.

Damazy Macoch zdążył już ujść z klasztoru, a wkrótce po nim uciekł też i Stanisław Załoga, który powiedział służącym klasztornym, że wyjeżdża do Ameryki.

Dn. 2 września Damazy Madoch znajdował się w cukrowni "Szreniawie," gdzie bawił u Michała i Zofii małż. Zajączkowskich, do których przyjechał z żoną zabitego Wacława Macocha, Heleną Macochową, rodzoną siostrą Zofii Zajączkowskiej. W Szreniawie Damazy Macoch przebywał przez trzy dni i d. 5 października sam jeden wyjechał.

Z Proszowic, będących najbliższą stacyą pocztowo-telegraficzną Mococh o godz.12 min. 20 po południu, wysłał do Częstochowy, do przyjaciela swego, zakonnika, Izydora Starczewskiego, depeszę następującą: "Jutro rano dziewiąta będę na stacyi. Dyzio." O tem, że Starczewski telegram taki otrzymał, dowiedział się policmajster częstochowski, Czesnakow i tegoż dnia, o godz. 4 po poł., pojechał do klasztoru, ale po drodze spotkał jadącego dorożką do miasta Izydora Starczewskiego. Na pytanie Czesnakowa, Starczewski odpowiedział, że gdzie przebywa Macoch nie wie zupełnie, depeszę zaś otrzymał od brata swego, buchaltera izby skarbowej w Kole, w gub. Kaliskiej, Dyonizego Starczewskiego. Nocą tegoż 5 października, przy badaniu powtórnem, Starczewski przyznał się Czesnakowowi, że depeszę przysłał Macoch.

Pozostało tajemnicą, dlaczego jednakże Damazy Macoch nie przybył w terminie i o godzinie przez niego samego oznaczonej do Częstochowy, lecz nazajutrz, o godz. 7 min. 30 z rana zjawił się na stacyi Łazy, kolei W. W. W Łazach Macoch wstąpił do znajomego swego aptekarza, Antoniego Krawczyńskiego, u którego zabawił minut 20. Mówił, iż śpieszy się na kuracyę do księdza we wsi Niegonowice.

Za wsią Młynek Krawczyński

pożegnał Macocha i powrócił do domu i dopiero około godz. 2-ej po południu dowiedział się z gazet, że Macoch podejrzany jest o zabójstwo i poszukiwany przez władze, wobec czego zawiadomił miejscową policyę o przyjeździe Macocha do Łaz i o tem, że udał się do Niegonowic.

Macoch tymczasem około godz. 9-ej z rana przybył do proboszcza w Niegonowicach, ks. Pawła Czapli i prosił o wynajęcie koni do Olkusza. Tłumaczył się, że jedzie do doktora specyalisty od chorób sercowych. Był wtedy w okularach, których nigdy przedtem nie nosił, a zamiast białego habitu, noszonego przez oo. paulinów, miał na sobie czarną sutannę. W tym czasie po ks. Czaplę zajechały konie, aby wieźć go do Błęgowa do chorego, a ponieważ Błęgów leży po drodze do Olkusza, więc Macoch zaproponował ks. Czapli, że gotów zastąpić go przy chorym, i, gdy ten zgodził się, wyjechał, bawiąc w Niegonowicach nie dłużej nad 20 minut.

Do Olkusza Macoch przyjechał około godz. 1-ej po południu i wsiadłszy na rynku w dorożkę Gimpla Urmana, zajechał przed restauracyę Piechowskiego, do której posłał Urmana po butelkę wódki. W restauracyi znajdowały się już, wydawane w Sosnowcu, gazety: Kuryer Zagłębia i Iskra d. 6-go października, w których umieszczone były sensacyjne rewelacye o tem, że trupa w sofie wywieziono z klasztoru Jasnogórskiego, że zabójcą jest ksiądz-paulin Damazy Mococh, a zabitym agent policyi z Paryża, który przybył do Częstochowy i wykrył sprawców kradzieży sukienki z Cudownego Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej. Po przeczytaniu tych wiadomości, między gośćmi restauracyi, w których liczbie był i referent olkuskiego powiatu, Jan Banasik, zawiązała się rozmowa, w której wziął udział sam Piechowski i bufetowa Walerya Majchrówna. Ta ostatnia wyraziła wątpliwość, co do prawdziwości tych wieści, gdyż, jak mówiła, zna dobrze ks. Damazego Macocha, u którego spowiadała się nieraz i który wydawał się jej nader pobożnym. W tej chwili przed restauracyę zajechała dorożka Urmana i Piechowski, wyjrzawszy oknem i zobaczywszy księdza, rzucił pod adresem jego jakieś ostre wyrażenie. Podbiegła do okna i Walerya Majchrówna i skamieniała: przed nią na bryczce siedział Damazy Macoch. "Matko Boska, przecież to ksiądz Damazy, o którym piszą" — zawołała. Wszyscy rzucili się do okna. Postanowiono na razie, że trzeba natychmiast dać znać policyi, gdyż Macoch może uciec. Ale do rozmowy wmieszał się Piechowski i rzekł, że wiadomości gazet o zabójstwie w Częstochowie nie są rzeczą pewną i jeżeli teraz Macocha zaaresztują, to Piechowskiego nazwą szpiegiem i do restauracyi jego ludzie przychodzić przestaną.

Podczas tego do restauracyi wszedł Urman i zażądał wódki

za 60 kop., a gdy mu odmówiono, poszedł do znajdującego się w pobliżu sklepu monopolowego, wyniósł stamtąd butelkę, oddał ją Macochowi, siadł na kozioł i odjechał. Bryczka przejechała plant kolei i skierowała się ku Niesułowickiemu przykomorkowi na granicy austryackiej.

Tymczasem ten, wyjechawszy z Olkusza, po paru wiorstach drogi, skręcił do wsi Żurady, gdzie Urman zawiózł go przed dom znanego kotrabandzisty Wincentego Wadasa.

Macoch napił się wódki, poczęstował nią Urbana i Wadasa i oświadczył, że musi potajemnie przejść granicę, gdyż pilno mu do doktora i nie może czekać na paszport zagraniczny. Wadas zgodził się przeprowadzić księdza, za co dostał 10 rb.; takąż kwotę dostał i Urman. W owym czasie przyszło do Wadasa paru włościan, z którymi umówił się on przedtem, aby pójść do Austryi po spirytus. Wszyscy poszli pieszo, a księdza Urman powiózł bryczką. W lesie Macoch przyłączył się do Wadasa i towarzyszy i razem z nimi około godz, 4-ej nad ranem przeszedł na terytoryum austryackie. W restauracyi niejakiego Stachera, we wsi Płoki, Macoch wszystkich towarzyszów poczęstował winem, a sam z radości, że jest już w Austryi, nie mógł ani jeść, ani pić i zaczął modlić się.

Następnie napiwszy się wódki, Macoch wynajął furkę chłopską i pojechał do stacyi kolejowej, Trzebini, gdzie przenocował w zajeździe Berty Helingerowej, niedaleko dworca.

Aresztowanie.

Policya olkuska straciła na razie ślad Mococha. Później dowiedziała się od Urmana, że Macoch jest już już w Austryi. Naczelnik powiatu posłał natychmiast depeszę do policyi krakowskiej o przedsięwzięcie kroków ku zaaresztowaniu Macocha, dodając, że jest on oskarżony o zabójstwo i świętokradztwo.

Tegoż dnia przyjechał do Olkusza pomocnik komisarza policyi częstochowskiej, Arbuzów, który miał przy sobie fotografię Macocha. Fotografię tę widział, między innymi, i sekretarz magistratu olkuskiego, Marceli Testewicz, który postanowił jechać nazajutrz do Austryi na poszukiwanie Macocha.

D. 7-go października, Testewicz, w czapce urzędowej, z trzema towarzyszami pojechał około godz. 12-ej w poł. bryczką do Trzebini, dokąd przybył około godz. 2-ej. Na stacyi znajdował się już pociąg, idący do Krakowa. Testewicz na peronie zobaczył siedzącego na ławie z gazetą w ręku, jakiegoś księdza, podobnego do Macocha. Gdy tylko ksiądz zauważył urzędnika rosyjskiego, rzucił natychmiast gazetę i wskoczył do pociągu. Wtedy Testewicz nie miał wątpliwości, że jest to Macoch, o czem zawiadomił nadkonduktora pociągu, odchodzącego już ze stacyi, a następnie zakomunikował o tem przez telefon dyrekcyi policyi krakowskiej. W ten sposób, gdy pociąg zbliżał się do Krakowa, urzędnicy po-

icyi oczekiwali już na stacyi i Macocha ujęto, jak tylko wyszedł na dworzec.

Przyznanie się do zbrodni.

Zapytany przez komisarza policyi austryackiej, czy on jest Damazym Macochem, który dopuścił się zbrodni w klasztorze częstochowskim, Macoch odpowiedział potakująco. Przy rewizyi oprócz dokumentów i 400 rb. gotówką, znaleziono przy nim dwa paszporty Heleny Machowej: zagraniczny, przez gubernatora radomskiego, z d. 23-go września i krajowy.

Badany następnie przez komisarza Jasińskiego, Mococh, na pytanie, po co przyjechał do Krakowa, oświadczył, że chciał oddać się w ręce władz rosyjskich, postanowił jednak przedtem udać się zagranicę kupić ubranie świeckie, a następnie powrócić do Warszawy i zeznanie złożyć gubernatorowi. Po spełnieniu zbrodni chce on ze skruchą złożyć wyznanie, aby ulżyć sumieniu swemu i oczyścić się w oczach rodaków.

Dalej Macoch opowiedział o okolicznościach zbrodni:

D. 22-go lipca 1910 r. przyjechał do niego na Jasną Górę bratanek jego, urzędnik pocztowy z granicy, Wacław Macoch, który korzystał w tym czasie z urlopu i przebywał w Warszawie. Macoch przyjął bratanka serdecznie i mieszkał on w celi jego dwa dni.

Trzeciego dnia, około godz. 10-ej wieczorem, gdy zabierali się do snu, wszczęła się między nimi niemiła rozmowa. Wacław Macoch zaczął robić mu wyrzuty, że, mając znajomość i stosunki, nie wyrobił mu do tej pory posady w Warszawie. Na to Damazy odrzekł, że kilkakrotnie chodził do naczelnika okręgu, ale z powodu rewizyi senatorskiej i aresztowania urzędników, nic zrobić nie mógł. Wacław Macoch nie zaprzestał wyrzutów i nawet zaczął wymyślać, za co nazwał on bratanka smarkaczem. Ten zerwał się, uderzył Damazego w twarz, poczem odwrócił się i chciał wyjść z pokoju. W uniesieniu D a m a z y schwycił topór, uderzył bratanka w głowę, a gdy ten upadł, uderzył go jeszcze dwukrotnie, nie pamięta jednakże, w jakie miejsce.

Widząc, że bratanek żyje, rozgrzeszył go, a następnie chwycił za gardło i zaczął dusić. W końcu nie wiedział już wcale, co robi. Ogarnęła go taka rozpacz, że chwycił za rewolwer i chciał pozbawić się życia, ale wstrzymał go od tego jakiś głos wewnętrzny. Noc całą strawił na płaczu i modlitwach nad trupem. Chwilami czuł, że traci rozum.

Nad ranem, nieco oprzytomniawszy, długo wahał się, co zrobić: czy zawiadomić policyę, czy też donieść o tem, co się stało, przeorowi klasztoru. W rezultacie nie uczynił ani jednego, ani drugiego, lecz gdy się rozwidniło, zawinął trupa w prześcieradło, położył na sienniku i wziął się do zacierania śladów krwi na stole, podłodze i ścianach celi. Wezwał następnie służącego klasztornego, Stanisław Załoga, do którego

xmiał zaufanie zupełne i opowiedział mu, że Wacław Macoch "postrzelił się" przez nieuwagę, a gdy męczył się w konwulsyach przedśmiertnych, on dobił go toporem. Załoga radził nie zawiadomiać policyi, lecz włożyć trupa do kosza dużego i wywieźć z klasztoru. Takąż samą radę dał mu i spowiednik, u którego był tegoż dnia rano. Zawinęli oni z Załogiem trupa w drugie prześcieradło, poczem Załóg udał się po kosz odpowiedni. Pieniądze na kupno kosza Załóg wziął od niego i po półtorej godziny przywiózł z miasta rogoże i duży kosz. Kosz ten jednak okazał się za mały, wobec czego Załoga poradził wyszukać skrzynię odpowiedniej wielkości. Około godz. 1-ej po poł. Załoga wezwawszy do pomocy drugiego służącego, Józefata Błasikiewicza, ustawił w kurytarzu koło celi sofę klasztorną, którą po odejściu Błasikiewicza z Załogiem wniósł do celi. Podniósłszy siedzenie, ułożyli trupa w środku, a miejsca, próżne wyłożyli futrem, poduszką i ceratami, poczem obwiązali sofę przywiezionemi przez Załoga rogożami. Około godz. 8-ej wieczorem Załoga sprowadził dorożkę dwukonną, zawołał Błasikiewicza i dwóch innych jeszcze służących Floryana i Janka, których nazwisk nie zna, i wszyscy razem wynieśli sofę do dorożki, przyczem nikt z nich w sprawę całą wtajemniczony nie był. Poleciwszy dorożkarzowi jechać ku wsi Rudniki, on i Załoga wzięli drugą dorożkę około klasztoru i ruszyli za pierwszą.

Tu Macoch opowiada, jak jechali do Gidl i rzucili sofę z trupem. Po wrzuceniu trupa do wody, kazał dorożkarzowi jechać do Radomska, gdzie zapłacił mu za drogę 30 rb., a sam z Załogą, któremu dał także 20 rb., udał się na stacyę kolejową, skąd około godz. 4 rano pojechał razem z Załogiem kuryerem do Warszawy, do powinowatej swojej, Heleny Macochowej.

Gdy ta pytała się o męża, odpowiedział, że Wacław był u niego w klasztorze, lecz, pokłóciwszy się, wyjechał zagranicę, a może nawet do Ameryki. Helena zaczęła płakać i chciała jechać do Częstochowy na poszukiwanie męża. Po dwóch dniach pojechał z nią do Częstochowy, dokąd Załóg udał się w przeddzień. W klasztorze mieszkali trzy dni, poczem namówił on Helenę, aby pojechała do Łodzi, do ojca, Mikołaja Krzyżanowskiego. Zgodziła się, a po dniach paru zawiadomił ją listownie, że, pomimo wszelkich poszukiwań, Wacława Macocha odnaleźć nie mógł. Po jakich dwóch tygodniach zaszedł do niego Stanisław Załóg i powiedział, że Błasikiewicz coś podejrzewa i żąda pieniędzy. Wtedy dał on Błasikiewiczowi za milczenie 12 czy 13 rub.

Inna wersya.

Komisarz Jasieński, zwrócił w tem miejscu uwagę Macocha na całe nieprawdopodobieństwo jego opowieści i dodał: "Przecież ksiądz zabiłeś bratanka podczas snu!" Macoch zmieszał się i po

pewnem wahaniu rzekł: "Tak jest, zabiłem go, gdy spał. Teraz ze skruchą zupełną opowiem całą prawdę." I zeznał w dalszym ciągu:

W r. 1903 poznał się z córką urzędnika pocztowego w Łodzi Heleną Krzyżanowską, w której zakochał się. Stosunki między nimi były z początku czysto platoniczne, dopóki, dzięki coraz bliższej znajomości, nie zakończyły się stosunkiem bliższym. Helena Krzyżanowska była wówczas telefonistką w Łodzi; zakochała się ona w mechaniku, Julianie Bulzackim, i gdy ten przeniósł się do Warszawy, pojechała za nim, pomimo jego, Macocha, protestów. Wtedy zmuszony był pomagać materyalnie Krzyżanowskiej i wniósł nawet na nazwisko jej do kasy oszczędności przy ul. Królewskiej, rb. 5,600. Chcąc za wszelką cenę zatrzymać Krzyżanowską przy sobie, chciał wydać ją zamąż za rodzonego brata swego, i urządził nawet zaręczyny, ale małżeństwo to nie doszło do skutku, i wtedy, wśród krewnych i znajomych zaczął opowiadać, że brat jego zmarł, ożeniwszy się z Krzyżanowską, na śmiertelnem łożu.

Następnie sporządził świadectwo fałszywe o ślubie z Heleną Krzyżanowską i takież świadectwo o własnym jego zgonie i na mocy fałszywych tych świadectw wyjednał paszport dla niej pod nazwiskiem Heleny Macochowej, wdowy po Kacprze Macochu. Pod tem nazwiskiem zameldował Krzyżanowską w Warszawie, gdzie wynajął dla niej mieszkanie. Z bratankiem swym, Wacławem, który służył na poczcie w Częstochowie, był w stosunkach nieprzyjaznych i pogodził się z nim dopiero w r. 1909, gdy przeszedł on na służbę do Kalisza. Dzięki zabiegom jego, Wacława Macocha przeniesiono do Granicy i wtedy zaczął on często nawiedzać go w klasztorze. Tam zapoznał on Wacława z Heleną Krzyżanowską i dał im ślub. który odbył się 11 czerwca 1910 r. w Warszawie. Ślubu udzielił nowożeńcom wraz z ks. Izydorem Starczewskim.

Wacław Macoch nie wiedział, jakie stosunki łączyły go z Krzyżanowską, lecz wiedział, że on kocha się w jego żonie i dlatego po ślubie nie pozwolił mu bywać u siebie w domu.

Dnia 22 lipca Wacław przyjechał do Częstochowy i zamieszkał u niego w celi klasztornej, w nocy, 24 lipca, gdy podpili sobie, wynikła między nimi sprzeczka. Wacław zaczął czynić mu wymówki; że ożenił go ze śpiewaczką kabaretową że żona jego ma wielu mężczyzn znajomych i że nawet w tych dniach znalazł u niej list Juliana Bulzackiego, z którego okazuje się, że żona pozostawała z nim w stosunkach bliższych. Oburzony tem, nazwał on Wacława smarkaczem i pokłócił się z nim, a gdy ten spać się położył w drugim pokoju, długo chodził po celi i nie mógł zasnąć. Nagle wzrok jego padł na leżący obok pieca toporek. Nie namyślając się długo, chwycił topór i z krzykiem: "Tyś mnie obraził!" rzucił się ku Wacławowi i uderzył go po

głowie, a gdy ten z łóżka wyskoczył, zadał mu dwie czy trzy rany w głowę.

Gdy Wacław padł na podłogę, zdusił go rękami za gardło i potem grzechy mu odpuścił.

Toporek, którym zabił Wacława, wziął przed dwoma tygodniami od stolarza klasztornego.

Kradzieże klasztorne.

Ponieważ przy aresztowaniu Macocha znaleziono przy nim znaczną sumę pieniędzy, a z papierów jego i notat okazało się, że sam lub w towarzystwie Krzyżanowskiej odbywał kilkakrotnie podróże do Austryi, Francyi i Włoch, komisarz Jasieński zadał mu pytanie, skąd brał na to pieniądze. Z początku oświadczył, że wygrał na loteryi 40,000 rubli, a prócz tego, przeor klasztoru Rejman, dał mu na podróż zagranicę 300 rubli. Następnie powiedział, że znaleziona przy nim suma stanowi czyjś depozyt. Wreszcie cofnął jedno i drugie zeznanie i tak wytlómaczył pochodzenie pieniędzy:

Według stałych przepisów Kościoła rzymsko-katolickiego, pieniądze, dawane księżom za msze, są własnością tych księży, którzy mszę odprawiają. Porządek taki zastał już, gdy wstąpił do klasztoru i tylko ks. Rejman żądał, ażeby każdy ksiądz-zakonnik składał raporty co miesiąc. Około trzech lat temu w klasztorze zaprowadzono komunę, ale niektórzy księża należeć do niej nie chcieli i klasztor opuścili. Wśród niezadowolonych znajdował się także on i przyjaciel jego, Izydor Starczewski, oraz Baz. Olesiński. Chcieli oni także klasztor opuścić, ale zatrzymano ich, ażeby nie raziło zbytnio, że z klasztoru wyjdzie odrazu tylu księży. Niektórzy zakonnicy, z ks. Piusem Przeździeckim, wnieśli prośbę do Ojca św. o zaprowadzenie w klasztorze komuny obowiązkowej. W r. 1907 papież delegował karmelitę Lamoche'a i zdecydował, ażeby wszyscy zakonnicy obowiązkowo do komuny należeli. Wtedy za poradą Bazylego Olesińskiego on i Starczewski otrzymane od pątników pieniądze za msze przestali wnosić do kasy klasztornej. Wówczas zakrystyanem był ks. Bonawentura Gawełczyk, a gospodarzem Bazyli Olesiński. Ten, zastępując często ks. Bonawenturę, brał popros.u pieniądze z kasy, zwanej skarbczykiem, i dawał je Starczewskiemu i jemu, gdyż kiedyś Macoch i Starczewski schwytali Olesińskiego na kradzieży pieniędzy ze skarbczyka. Było to w maju 1907 roku.

Ks. Bonawentura wyszedł z zak ystyi, pozostawiwszy klucz od skarbczyka pod poduszką krzesła. Macoch Starczewski zauważyli, że Olesiński skrada się się do zakrystyi. Poszli za n'm i zobaczyli, jak Olesiński wyjął klucz z pod poduszki i wszedł do skarbczyka. Ukazali się Olesińskiemu, a ten dał każdemu po 50 rb., nalegając, ażeby wyszli natychmiast, aby uniknąć nieprzyjemności. Od tego czasu Olesiński stale już dawał mu

pieniądze ze skarbczyka i w ten sposób dostał od niego 2,000 rubli.

Prócz tego przywłaszczył sobie około 10,000 rb. z pieniędzy, które otrzymał podczas ośmioletniego pobytu na msze, i kradł z zakrystyi za radą Olesińskiego pieniądze, które ofiarowano na msze z muzyką.

Wiosną 1908 r. Macoch i Starczewski wezwali do siebie muzykanta klasztornego, Józefa Pertkiewicza, który był kolegą szkolnym Starczewskiego i prosili, ażeby dorobił im 4 klucze: jeden do skarbczyka, dwa do drzwi kurytarza, wiodącego do skarbczyka, i jeden do szafy w zakrystyi. Odbitki woskowe dostarczyli Pertkiewiczowi sami i powiedzieli mu też, do czego klucze te są im potrzebne. Pertkiewicz zgodził się, za co dostał 30 rb. Klucze podrobiono bez wiedzy Olesińskiego i miał je u siebie albo Macoch, albo Starczewski. Gdy później zmieniono zamki i u drzwi kurytarza, wiodącego do skarbczyka, to za radą Starczewskiego, M. kazał dorobić nowe klucze ślusarzowi w Częstochowie, Jakóbowi Starczewskiemu, który był bratem stryjecznym zakonnika, lecz któremu o ich przeznaczeniu nie mówił. Ile pieniędzy skradziono przy pomocy kluczów, ściśle określić nie może, przypuszcza, że od 8,000 do 9,000 rb. ze skarbczyka wziął także około 7,000 rb. i pieniędzmi temi podzielił się ze Starczewskim, na własną zaś rękę skradł jeszcze z zakrystyi 1,000 lub 2,000 rub.

W styczniu 1910 r. przerobione zostały wszystkie drzwi i dlatego w lipcu wyrzucił klucze na strych.

W drugiej połowie stycznia 1910 roku, po śmierci ks. Gawełczyka, przeor Rejman polecił Macochowi i Olesińskiemu zrewidować celę zmarłego. Olesiński z wmurowanej w ścianę szafki wyjął 20,000 rb. w listach zastawnych i testament Gawełczyka. Z sumy tej 15,000 wręczyli o. Rejmanowi, a z pozostałych 5,000 Olesiński zabrał 3,000, a jemu dał tylko 2,000 rub.

Przedtem jeszcze w celi zmarłego był i Rejman, ale nic nie znalazł. Testament Gawełczyka zabrał Olesiński i odniósł Rejmanowi. Przeor odczytał testament i chociaż zauważył brak 5,000 rb., ale wyraził przypuszczenie, że testament jest stary i że prawdopodobnie Gawełczyk za życia pieniądze te komuś oddał.

Przeszłość Macocha.

Damazy Macoch urodził się dn. 22 grudnia 1871 roku we wsi Lipie w pow. Częstochowskim, w rodzinie włościańskiej, i otrzymał imię Kacpra. Rodzice Macocha, chociaż ubodzy, dali mu jakie takie wykształcenie domowe, a gdy miał lat 17, oddali go do kancelaryi gminnej w Lipiach, gdzie był pomocnikiem pisarza. Po trzech latach mianowano go pisarzem gminnym w gminie Panki, w pow. Częstochowskim. Na urzędzie tym pozostawał do dnia 14 grudnia 1895 r., poczem porzucił urzędowanie i wstąpił do klasztoru Paulinów

na Jasną Górę. Po dwóch latach przeor klasztoru, ks. Euzebiusz Rejman posłał go do seminaryum we Włocławku, ale Macoch po przybyciu do seminaryum zachorował na tyfus i powrócił do klasztoru, gdzie w przeciągu lat kilku przygotowywał się do stanu duchownego, pod kierunkiem o. Piusa Przezdzieckiego. Po zdaniu egzaminu i spełnieniu ślubów zakonnych, wyświęcony został w dniu 8 czerwca 1902 roku, przyczem dano mu imię Damazy. W klasztorze Damazy odznaczał się z początku cichym i spokojnym charakterem, lubili go wszyscy, a ks. Rejman, który był dla niego jaknajlepiej usposobiony, zrobił go swym sekretarzem. Ale stan ten nie trwał jednak długo. Po roku lub najwyżej dwóch Macoch zaczął wyjeżdżać ciągle z klasztoru, tłumacząc się, że musi odwiedzać krewnych i porządkować interesy. W tym czasie zmienił się radykalnie charakter Macocha. Zaczął zaniedbywać obowiązki księdza-zakonnika, stał się kłamcą, skrytym i rozpustnym. Wówczas też zawarł przyjaźń z księżmi Bazylim Olesińskim i Izydorem Starczewskim, których sprawowanie się nie było o wiele lepsze od jego. Na prowadzenie się niemoralne Macocha i Olesińskiego podawano nawet skargi do konsystorza we Włocławku, ale rozpoczęte dochodzenie wyników względem Macocha nie dało. Olesiński zaś otrzymał surowe napomnienie.

Przeor Rejman próbował wpłynąć na Macocha, ale Macoch odparł, ażeby przeor do spraw jego się nie mieszał, bo urządzi tak, że klasztor zamkną. Macocha zostawiono w spokoju.

Stosunek z Krzyżanowską:

W tym czasie Macoch zapoznaje się, a następnie zawiązuje bliższe stosunki z Heleną Krzyżanowską, która była telefonistką w Łodzi. Krzyżanowska zaczęła często przyjeżdżać do Częstochowy i stawała w klasztorze u muzykanta, Jana Możykowskiego, w pokoju oddzielnym, który zamawiał dla niej Macoch. Przebywał on z nią w tym pokoju, nazywając ją przy ludziach obcych "kuzynką" i zwracając się do niej na "ty." Podczas przyjazdów Krzyżanowska otrzymywała jedzenie z klasztoru. Macoch, nie krępując się, pokazywał się z nią wszędzie. Widywano go z nią na wałach i w polu, a nawet w alejach m. Częstochowy. Słudzy klasztorni nazywali pocichu Krzyżanowską kochanką Mococha. Gdy Krzyżanowska przyjeżdżała do Częstochowy, Macoch znikał na czas dłuższy. Przyjacielowi swemu, Izydorowi Starczewskiemu, wyznał, że zakochał się w Krzyżanowskiej za inteligencyę jej, znajomość muzyki i śpiew. Dnia 12 września 1907 roku Damazy Macoch z Heleną Krzyżanowską był w Krakowie, gdzie stanął w hotelu Kleina przy ul. Św. Gertrudy, pod nazwiskiem Stefana Kowalskiego, urzędnika pocztowego z Piotrkowa, z siostrą. Dn. 16 września wyjechali do Zakopanego, skąd po

dwóch dniach wrócili do Krakowa, a następnie pojechali do Wiednia.

W marcu 1907 roku Helena Krzyżanowska porzuca zajęcie w telefonach łódzkich, gdzie pobierała 50 rb. miesięcznie i mieszkanie, i przeprowadza się do Warszawy jako nauczycielka muzyki. Lekcyi nie dawała i dawać nie mogła, bo grała źle na fortepianie, a chociaż rodzice pomocy jej nie dawali, bo środki ich własne były bardzo ograniczone, Krzyżanowska wynajęła w Warszawie w domu Nr 23 w Alejach Jerozolimskich bardzo porządne mieszkanie, złożone z trzech pokojów. Za samo umeblowanie zapłaciła przeszło 3,000 rb. Mieszkała tam, nie zajmując się niczem, a mimo to nie krępując się wydatkami. Po pewnym czasie miała już kapitał 5,620 rb. złożony w Towarzystwie wzajemnego kredytu, a jeszcze później przejęła na siebie dług rodziców 5,000 rubli, który spłaciła gotowizną.

W r. 1908 Krzyżanowska udaje się z siostrą Ireną (niezamężną) za granicę i przez całe dwa miesiące mieszka w Bernie, dokąd przybywa też i Macoch. W październiku 1909 roku Krzyżanowska w towarzystwie Macocha i Jana Starczewskiego, ojca Izydora Starczewskiego, znowu odbywa podróż zagraniczną, ale tym razem pod nazwiskiem Heleny Macochowej.

Nazwisko zmieniła w ten sposób:

W styczniu 1909 roku Damazy Macoch namówił 19-letniego brata swego, Franciszka, aby ożenił się z Heleną Krzyżanowską, obiecując dać jej 10,000 rb. posagu. Franciszek Macoch był wtedy pomocnikiem pisarza w Lipiach. Gdy ten zgodził się, Damazy wezwał go do Częstochowy i posłał do Jana Możykowskiego, gdzie Franciszek poznał się z Krzyżanowską i oświadczył się jej. Oświadczyny zostały przyjęte. Oznaczono dzień ślubu. Krzyżanowska powiedziała pewnego dnia narzeczonemu, aby po ślubie nie był zazdrosny. Słowa te skłoniły Franciszka do wejrzenia bliższego w stosunek, jaki zachodził między jego bratem a Krzyżanowską. Po pewnym czasie przekonał się, że są oni kochankami i ślub nie doszedł do skutku. Wtedy Damazy opowiedział krewnym i znajomym, że brat jego umarł, lecz na łożu śmiertelnem poslubił Krzyżanowską. Ta powtarzała toż samo i nawet zaczęła nosić żałobę, jakoby po zmarłym swym mężu. Do siostry swej, Zofii Zajączkowskiej, pisała, że po mężu otrzymała spadek, wynoszący kilka tysięcy rubli.

Krzyżanowskiej potrzebne były teraz odpowiednie dokumenty, których sporządzeniem i dostarczeniem zajął się Damazy Macoch. Udal się on do grawera w Częstochowie, Lucyusza Cyganowskiego, i zamówił u niego pieczęć metalową z herbem państwowym i z napisem: "urzędnik stanu cywilnego parafii Parzymiechy." Pieczęć tę znaleziono następnie w jego rzeczach. Gdy pieczęć była gotową, sfabrykowano świadectwo z dnia

20 kwietnia 1909 tr. Nr. 35, w którem powiedziano, że Kacper Macoch w dn. 23 lutego 1909 r. zawarł związek małżeński z Heleną Katarzyną córką Mikołaja Krzyżanowską. Na świadectwie tem znajdowała się pieczęć, zrobiona przez Cyganowskiego i podpis sfałszowany ks. Aleksandra Dakowskiego, proboszcza par. Parzymiechy.

Następnie pod datą 24 maja 1910 r. Nr 76 sporządzono akt drugi: że dnia 6 marca o godz. 12 w południe zmarł pisarz gminny, Kacper syn Pawła Macoch, pozostawiwszy po sobie żonę, Helenę Katarzynę z Krzyżanowskich. Na tym akcie widniała takaż sama pieczęć i takiż podpis ks. Dakowskiego.

Dnia 7 maja 1909 roku Damazy Macoch udał się do osady Drzewicy, w pow. Opoczyńskim, gub. Radomskiej, gdzie wtedy Krzyżanowska zapisana była do ksiąg ludności i w urzędzie gminnym zażądał wydania paszportu dla wdowy po Kacprze Macochu, Heleny Katarzyny córki Mikołaja Macochowej, z domu Krzyżanowskiej. Dokumentów żadnych naówczas Macoch nie złożył, lecz powołał się na stan swój i prosił, ażeby wierzono mu na słowo. Po pewnem wahaniu ze strony wójta i pisarza gminnego, wygotowano paszport. Za tym paszportem Krzyżanowska mieszkała w Warszawie.

Po nieudanej próbie ożenienia Franciszka Macocha z Heleną Krzyżanowską, Damazy zbliżył się do bratanka swego, Wacława Macocha, z którym do tego czasu pozostawał w stosunkach nieprzyjaznych. Od 1902 do 1907 r. Wacław służył w Częstochowie jako urzędnik pocztowy. U Damazego Macocha nigdy prawie nie bywał, a w rozmowach z Chęcińskim wyrażał się o nim jaknajgorzej. Kiedyś ze wstrętem opowiadał, jak Damazy proponował, aby zaprowadził go do kobiet złego prowadzenia, a gdy Wacław odmówił, pojechał w tym celu do Warszawy. Kiedyś w r. 1907, spacerując po alei częstochowskiej, Chęciński, przyjaciel Wacława, spostrzegł Damazego Macocha, idącego z jakąś młodą kobietą. Na pytanie, co to za jedna, Wacław odrzekł, że to kochanka Damazego i że pracuje w telefonach w Łodzi, a przyjeżdża ciągle do klasztoru. W r. 1907 Wacława Macocha przeniesiono do Kalisza, a następnie do Granicy.

Na wiosnę 1910 roku Wacław Macoch przyjechał do Chęcińskiego i oznajmił, że się żeni.

Opowiadał iż dostaje 20,000 rubli posagu, że narzeczona ma kosztowności za kilka tysięcy rubli, a gotowizną 6,000 rubli, że dzień ślubu już wyznaczony i wesele odbędzie się w hotelu Europejskim w Warszawie. Gdy Wacław pokazał fotografię narzeczonej, a Ch. poznał w niej tę, którą Wacław nazywał kochanką ks. Damazego, zaczął on namawiać Wacława, ażeby się nie żenił. Wtedy Wacław Macoch odpowiedział, że w gruncie rzeczy wszystko mu jedno, kto będzie przyszła jego żona, a zależy mu głównie na posagu.

Dnia 21 maja 1910 r. w klasztorze odbyły się zaręczyny Wacł. Macocha z Hel. Krzyżanowską, na których był i Damazy Macoch. Między trzema temi osobami rozpoczęła się wymiana listów, doskonale ilustrująca wzajemny ich stosunek. Helena Krzyżanowska zakochała się w narzeczonym; stosunek zaś tegoż do narzeczonej był wprost przeciwny. Był on zupełnie obojętny i nie chciał poprostu odpowiadać na jej płomienne listy. Nie chciał on nawet wyznaczyć daty ślubu i datę oznaczyła Krzyżanowska, po naradzie z Damazym Macochem. Urządzeniem wesela zajął się Damazy, który sam nawet obstalował ubranie dla narzeczonego.

11 czerwca 1910 roku Wacław Macoch poślubił Helenę Krzyżanowską w Warszawie w kościele pp. Wizytek, a ślub dawał Damazy Macoch, w asystencyi Izydora Starczewskiego. Helena Krzyżanowska ślub wzięła jako Helena Macochowa. Nazajutrz w kancelaryi parafii św. Aleksandra w Warszawie sporządzono akt ślubny na zasadzie złożonych przez Damazego Macocha i nowożeńców dokumentów fałszywych o ślubie Kacpra Macocha i o zgonie tegoż. Wesele odbyło się w hotelu Europejskim w Warszawie i jak opowiadał Wacław Chęcińskiemu, za kolacyę zapłacił 1,050 rb., a za ślub 350 rub. Gdy Ch. wyraził zdziwienie, skąd wziął tyle pieniędzy. Wacław odrzekł, że pieniądze te dał ks. Damazy, który prócz tego wynajął dla nich mieszkanie w Warszawie i kupił całe urządzenie.

Zbrodnia.

Dnia 23 lipca Wacław Macoch otrzymał od ks. Damazego list, wzywający go do klasztoru po odbiór jakiegoś tysiąca rubli. List ten czytał i Wacław Krzyżanowski.

Na dwa tygodnie przedtem Damazy Macoch wziął niewiadomo poco od cieśli klasztornego Józefata Bernatowicza, topór do swojej celi.

Wacław Macoch po przeczytaniu listu wyjechał tegoż dnia, powiedziawszy żonie, że za dwa dni wróci.

Po zbrodni.

25-go lipca Damazy Macoch telegrafował do Heleny, że wieczorem przyjedzie do niej. Przyjechał jednak ze służącym, Stanisławem Załogiem, dopiero nazajutrz, o godz. 7 r., gdy Helena jeszcze spała i zaraz wyprawił Załoga z bratem Heleny na miasto. Gdy Krzyżanowski wrócił po 2—3 godzinach, zauważył, że Damazy w pokoju sypialnym szeptem rozmawia z siostrą. Służąca, Maryanna Kosmalówna, zauważyła, że pani z ks. Damazym darła i paliła jakieś listy. Gdy wreszcie H lena wyszła na śniadanie, Krzyżanowski i Kosmalówna zauważyli, że musiała płakać. Dnia tego do stołu na śniadanie i obiad zaproszony był też i Stanisław Załóg. Damazy opowiedział, że Wacław porzucił żo-

nę i wyjechał do Ameryki i że on zaopatrzył go nawet w pieniądze na drogę. Wogóle Damazy podczas tego pobytu w Warszawie był w dobrem usposobieniu. Z Heleną był bardzo serdeczny, nie odstępował jej na krok i wszelkiemi sposobami starał się okazać jej swe względy. Wieczorem Załóg wyjechał do Częstochowy, a Helena z bratem i Damazym udała się do znajomych, Adama i Anny Jeżewskich na imieniny. Na pytanie gospodarstwa i gości, gdzie jest mąż, Helena odpowiedziała, że pilne interesy powołały go do Granicy. Zwrócili ogólną uwagę, że Damazy był bardzo podniecony, a Helena bardzo smutna, skarżyła się na ból w oku i jak tylko przyszła, udała się do sypialni Jeżewskiej, położyła się na łóżko i przykładała do oczu plasterki, umoczone w wodzie. Wtedy też powiedziała Jeżewskiej, że jest w odmiennym stanie. O godz. 10 i pół wieczorem razem z Damazym wróciła do domu, a nazajutrz rano z Damazym i Wacławem Krzyżanowskim pojechała do Często·howy, gdzie stanęła, jak dawniej, u Możykowskiego.

Widząc, że siostra ciągle płacze, Krzyżanowski pocieszał, mówiąc, że takiego męża, co żonę porzucił, nie należy żałować. Wtedy Helena wyznała bratu, że męża jej zabił Damazy za to, że żądał od niego tysiąca rubli i pokazywał list Bulzackiego, czyniący mu wymówki, że się ożenił z taką kobietą. Dodała też, że o zabójstwie Macoch powiedział jej jeszcze w Warszawie i prosiła, ażeby brat o tem nikomu nie mówił. Krzyżanowski uprzedził siostrę o odpowiedzialności, grożącej, jej, jeżeli nie zawiadomi władzy o spełnionej zbrodni, lecz ta odrzekła, że uczyni to po powrocie do Warszawy.

Obawy.

W tym czasie Damazy Macoch jest gościem w klasztorze; czas spędza bądź w Warszawie, bądź w rozjazdach, a w połowie września zupełnie porzuca Częstochowę. Między nim a Izydorem Starczewskim zawiązała się ożywiona korespondencya, z której widać między innemi, jak gorąco interesowali się obaj losem Załogi i jak starannie ukrywali przed policyą miejsce jego pobytu. Damazy namawia w tym czasie Starczewskiego i Załoga, ażeby jechać do Ameryki, ale na propozycyę tę zgadza się tylko Załóg, Starczewski zaś odmawia. W liście z Warszawy z dn. 25 września Macoch prosi Starczewskiego, ażeby nikomu adresu jego nie dawał, a jeżeli kto pytać będzie o Załoga, odpowiedzieć, że on chory.

D. 27 września Macoch wynajmuje w Warszawie w domu Nr 31 przy ul. Żelaznej nowe mieszkanie, mówiąc rządcy, że dla siostry swej, Heleny Macochowej, i przeprowadza ją tam 30 września. Na dwa dni przedtem otrzymał on z poczty jakiś list, który zniszczyła Macochowa po przeczytaniu.

D. 1 października Adam Jeżewski otrzymał z Częstochowy de-

peszę dla Damazego od Starczewskiego, w której powiedziano, że dotychczas wszystko dobrze, ale że przyjechać tegoż samego dnia nie może.

Dnia 2 października Damazy z Heleną wyjeżdża z Warszawy do Zajączkowskich do Szreniawy, a 4 października, tj. wtedy gdy policya już prowadzi śledztwo w murach klasztornych, Izydor Starczewski posyła do ojca swego do Sieradza, list z prośbą wysłania natychmiast depeszy następującej: "Warszawa, Chłodna 68, Jeżewskiemu. Kumciowi. Niech zaraz wyjeżdża. Niebezpieczeństwo grozi. 31.Stach."

Telegram ten wysłano z Sieradza 5 października i tegoż samego dnia wręczono go Jeżewskiemu, ale adresatowi doręczyć go nie można było, gdyż Damazy Macoch wyjechał z Warszawy.

Dn. 6 października Macoch zbiegł do Austryi, a Helenę Macochową tegoż dnia aresztowano w Szreniawie, gdzie znaleziono przy niej około 660 rb. w monecie rosyjskiej, austryackiej i francuskiej, dowód 4-go warszawskiego Towarzystwa wzajemnego kredytu na złożone 5,620 rb., znaczną ilość przedmiotów złotych, ozdobionych brylantami, a między innemi jedenaście starożytnych, złotych dukatów.

— —

Dalsze zeznania Macocha.

Wydany przez władze austryackie Damazy Macoch przyznał się do winy. Odpierał jedynie kategorycznie zarzut premedytacyi, zeznając, że zabił bratanka w zapalczywości i rozdrażnieniu, będąc przez niego obrażony. Powtórzywszy prawie to samo, co mówił w Krakowie komisarzowi policyi Jasieńskiemu, dodał, że przed ślubem wtajemniczył Wacława w stosunek do Heleny i nawet opowiedział mu o fałszach, które pomogły Krzyżanowskiej przybrać nazwisko Macochowej. Na to Wacław miał odpowiedzieć, że przeszłość nie obchodzi go, tylko przyszłość. Był to wogóle człowiek zapalczywy, awanturnik, domagał się ciągle pieniędzy i urządzał skandale.

W niedzielę dn. 23 lipca, podczas mszy św. Wacław miał nie uklęknąć w czasie Podniesienia, za co on zrobił mu uwagę. Wtedy Wacław zaczął urągać religii i duchowieństwu, a po przyjściu do celi nie przestawał wymyślać żonie. Wymysły te nie ustały i po obiedzie, podczas którego Damazy pił dużo. Wacław nocy tej miał spać w pierwszym pokoju celi, a Damazy w drugim. Gdy już rozebrał się i położył do łóżka, do pokoju wszedł w bieliźnie Wacław i znowu wymawiać mu zaczął, że dawszy mu żonę z kabaretu, daje mu mało pieniędzy. Wtedy on zwymyślał Wacława, a ten uderzył go w twarz i udał się do swego pokoju, gdzie wkrótce zasnął. Damazy długo zasnąć nie mógł, myśląc o tem, co się stało. Wreszcie porwała go taka złość, że schwycił za topór i, pobiegłszy do drugiego pokoju, zabił brutala. Topór ten na dwa tygodnie przed wypadkiem pożyczył od

stolarza klasztornego, ażeby narąbać drewek i zabezpieczyć niemi ubranie od moli. Po zabójstwie wyspowiadał się przed jednym z najstarszych zakonników klasztoru.

Zakonnik, przed którym wyspowiadał się, powiedział, że dusza Wacława poszła do Boga, a ciału nie stanowi różnicy, gdzie leżeć będzie; trzeba ukryć je w celu uniknięcia skandalu. Tak też uczynił. Potem parokrotnie spowiadał się jeszcze przed przyjacielem swym, Izydorem Starczewskim, lecz o zabójstwie nie wspomniał. Helenie Macochowej po przyjeździe do niej do Warszawy, powiedział, że zabił jej męża. Ta zemdlała, a wróciwszy do przytomności, chciała jechać do trupa i zawiadomić o wszystkiem władzę, ale powiedział jej, że jeśli to uczyni, to on zastrzeli się. Z gazet dowiedział się później, że aresztowano niewinnych; chciał nawet złożyć zeznanie, ale wstyd mu było.

Fundusze klasztoru.

Statut zakonu paulinów opiewa, że zakonnik nie powinien mieć przy sobie żadnych pieniędzy. W klasztorze Jasnogórskim jednak od 1864 r. zakonnicy dostawali na ręce, za wiedzą przeora, pieniądze za msze. Za pieniądze te powinni byli ubierać się, leczyć i pokrywać niemi drobne swe wydatki.

W lutym t. 1895 wybrano na przeora ks. Euzebiusza Rejmana, który starał się przestrzegać statut zakonny. Rejman zażądał, ażeby młodzi zakonnicy składali raporty co miesiąc o wpływach i wydatkach swoich, a resztę składali do kasy klasztornej.

Kosztowności klasztorne mieściły się w t. zw. skarbcu, w odróżnieniu od skarbczyka, czyli kasy, gdzie przechowywano pieniądze.

Klucze do zakrystyi, skarbczyka i skarbca, powinien był przechowywać zakrystyan, zwany kustoszem. Do pomocy kustoszowi wyznaczano zastępcę, czyli wice-kustosza, którego obowiązki wkładano co tydzień na każdego z księży-zakonników. Obowiązkiem kustosza był odbiór pieniędzy, wpływających do klasztoru i zapisywanie ich do ksiąg. Sprawozdanie miesięczne wpływów i wydatków kustosz składał przeorowi, który wpisywał je w swoją, ogólną dla całego klasztoru księgę. Pieniądze otrzymywać mógł i wicekustosz, ale z obowiązkiem natychmiastowego oddania ich kustoszowi.

Z dochodów klasztornych te pieniądze, które otrzymywano ze skarbonek i z tac, dostawał bezpośrednio przeor, inne ofiary przechodziły przez ręce kustosza. Z ofiar na msze kustosz zapisywał tylko sumy większe, mniejsze zaś, nieprzerachowane, leżały w skarbczyku, gdyż wynagrodzano z nich księży świeckich z powodu niemożności, dla braku odpowiedniej liczby zakonników, odprawiania wszystkich zamówionych mszy w klasztorze. Takich "pieniędzy mszalnych" zbierało się w skarbczyku,

szczególnie po świętach, około 6,000 rubli i rachowano je dopiero wtedy, gdy wydawano księżom.

Z za kulis życia klasztornego.

W grudniu 1909 r. zmarł kustosz ks. Gawełczyk, który uchodził za człowieka bardzo bogatego. Karolowi Szymańskiemu, cukiernikowi w Częstochowie, ożenionemu z rodzoną jego siostrą, G. powiedział, że zebrał pieniądze, które dostaną dzieci Szymańskiego, po jego śmierci. Zachorował on w święta Bożego Narodzenia i natychmiast wezwał Szymańskiego, któremu dał na przechowanie parę kopert z depozytami i "pieniędzmi mszalnemi," a także kopertę z listami zastawnemi na 13,150 rubli, na której własnoręcznie napisał: "To jest moja własność." Otrzymawszy pieniądze, Szymański wyjechał po doktora do Warszawy. Gdy wrócił, Gawełczyk już umarł. Zaraz po śmierci do celi zmarłego przyszli Rejman i Olesiński, ale nic nie znaleźli, poczem Rejman wyszedł, poleciwszy Olesińskiemu i Macochowi dokonanie bardziej szczegółowej rewizyi. Po pewnym czasie przynieśli o. Rejmanowi 15,000 rb. w listach zastawnych i notatkę, zawierającą rozporządzenie na wypadek śmierci.

Dowiedziawszy się od Olesińskiego, że Szymański otrzymał jakieś pieniądze, Rejman wezwał go do siebie i prosił o zwrot sumy pobranej, co Szymański spełnił, myśląc, że dostanie więcej, niż 13,000 rubli; ale Rejman, wziąwszy pieniądze, powiedział, że są one własnością klasztoru i że Gawełczyk dzieciom Szymańskiego nic nie zostawił i że wogóle po Gawełczyku pieniędzy żadnych niema. Obecny przy rozmowie tej Olesiński oświadczenie przeora stwierdził przysięgą, a gdy Szymański poprosił, ażeby dano mu na pamiątkę cośkolwiek z rzeczy, po zmarłym pozostałych, Olesiński prośby tej uwzględnić nie chciał. Innym krewnym zmarłego, Olesiński rozpowiadał, że pieniądze, jakie po Gawełczyku zostały, zabrał Szymański.

Notatka, zawierająca rozporządzenia G. na wypadek jego śmierci, znikła gdzieś z biegiem czasu, gdyż Rejman twierdził, że oddał ją nowemu przeorowi, o. Justynowi Welońskiemu, w obecności Piusa Przeździeckiego, a Weloński i Przeździecki twierdzili, że nic podobnego nie było.

Po Bonawenturze Gawełczyku kustoszem mianowano Bazylego Olesińskiego, który był do owego czasu prokuratorem, czyli gospodarzem. Olesiński prowadził księgi kasowe nieporządnie i gdy w następstwie zmuszony był urząd swój przelać na rzecz ks. Piusa Przeździeckiego, ten w żaden sposób nie mógł się w nich zoryentować i zniszczył stare, a zaprowadził nowe księgi. Olesiński, gdy został kustoszem, nakazał zmienić drzwi zakrystyi i skarbczyka, a u skarbczyka zamiast dawnych

drewnianych, nakazał zrobić drzwi żelazne. Olesińskiego w obowiązkach kustosza często bardzo zastępował Damazy Macoch, a oprócz tego miał Macoch dostęp do sum klasztornych, gdyż chętnie i z zadowoleniem wielkiem zastępował wice-kustoszów.

W klasztorze mówiono, że w dni, gdy napływ pielgrzymów był duży, Macoch wciskał się między pątników i zbierał pieniądze i że tą drogą mógł w jeden dzień zebrać z tysiąc rubli.

W połowie sierpnia 1910 r. robotnicy, pracujący około naprawy dachu, znaleźli na strychu sześć mało używanych kluczów, które odnieśli ekonomowi, Józefowi Trubickiemu, ten zaś oddał je prokuratorowi, ks. Wincentemu Olszewiczowi. Okazało się, że największy otwierał stare drzwi od skarbczyka; klucz ten, sądząc ze śladów na nim, najbardziej był w użyciu. Dwa najmniejsze dopasowane były do drzwi od pokoju z sygnalizacyą elektryczną, wiodącego do zakrystyi. Krótki i gruby klucz otwierał drzwi, wiodące do skarbca, piąty drzwi kurytarza, prowadzącego do zakrystyi, szósty zaś dopasowany był do drzwi w kaplicy obrazu cudownego Matki Boskiej. Ślusarz, Jakób Starczewski, zeznał, że jeden z dwóch mniejszych kluczów zrobił dość dawno na zamówienie Damazego Macocha. Macoch wezwał go kiedyś do celi Izydora Starczewskiego i, dając mu odcisk woskowy zamku, zażądał zrobienia odpowiedniego klucza, gdyż, jak mówił, klucz ten potrzebny mu jest do furty klasztornej, bo, wracając nieraz późno do klasztoru, nie chce, ażeby przeor dowiedział się o tem. Rozmowa prowadzona była w obecności Izydora Starczewskiego. Po raz drugi przy tych samych okolicznościach, Macoch jeszcze jeden klucz zamówił, rzekomo do drugiej furty.

Śledztwo dalsze stwierdziło, że oprócz Damazego Macocha, który na Helenę Krzyżanowską wydawał ogromne pieniądze, miał też kochankę Izydor Starczewski. Zakochał się on w córce muzykanta klasztornego, młodziutkiej dziewczynie. Ze związku tego w marcu 1907 roku przyszło na świat dziecko. Na czas brzemienności i porodu Starczewski umieścił kochankę w jednym z przytułków warszawskich, dokąd posyłał pieniądze na utrzymanie jej i dziecięcia.

Opowiadano też w Częstochowie, że i Bazyli Olesiński miał kochankę, i o tem zakonnicy zawiadomili Rejmana, ale dochodzenie, przeprowadzone przez Rejmana, wyników pozytywnych nie dało.

Helena Macochowa.

Helena Macochowa, oskarżona o spółudział w zabójstwie męża, świętokradztwie i fałszowaniu dokumentów, na śledztwie zeznała:

Z ks. Damazym Macochem poznała się 8 lat temu, gdy pracowała w telefonach łódzkich. Przyjechała wtedy do klasztoru, była na spowiedzi u Macocha;

tegoż dnia spacerowała z nim na wałach klasztornych. Po powrocie do Łodzi otrzymała list od Macocha, na który odpowiedziała, a później Macoch przyjechał do Łodzi i spotkał się z nią. Zawarto znajomość, z biegiem czasu przetworzyła się w przyjaźń, lecz granicy tej nigdy nie przekraczała. W r. 1908 wskutek nadwątlonego zdrowia, porzuciła służbę w telefonach, gdzie zdobyła stanowisko urzędniczki czwartej klasy i przeniosła się do Warszawy. Damazy Macoch odwiedzał ją w Warszawie, a i ona ze swej strony jeździła do Częstochowy.

P. dczas przyjazdów do Warszawy, Macoch z początku stawał u znajomych, a następnie w jej mieszkaniu, gdzie nawet noce spędzał. Wówczas Macoch dawał jej znaczne sumy, z których 5,220 rb. wniosła do Wzajemnero Kredytu. Z własnych swoich zarobków zapłaciła dług rodziców, wynoszący 5,000 rb. Za pieniądze Mococha wyjeżdżała zagranicę, a między innemi na podróż z siostrą Ireną do Austryi Macoch dał jej 1,000 rub.

Gdy pytała Macocha, skąd ma tyle pieniędzy, mówił, że to jego "kawalerski" fundusz, oraz tłumaczył, że w klasztorze istnieje kasa ogólna, z której każdy zakonnik bierze tyle ile mu potrzeba, a pozostałe dopiero pieniądze idą na klasztor.

Kilkakrotnie Macoch proponował jej, ażeby wyszła za mąż za niego, a on chciał klasztor porzucić. Nie zgodziła się na to, oraz na to, ażeby wyjść za mąż za ojca Damazego. Wtedy zaczął on swatać jej brata, Franciszka. Oświadczyny przyjęła, ale ślub do skutku nie doszedł, bo Damazy Macoch powiedział jej, że Franciszek umarł. Bardzo ubolewała nad tem i nawet żałobę po narzeczonym swoim nosiła, bo przywiązała się do niego. Ażeby ułatwić jej zamieszkanie odzielne, Damazy Macoch wyrobił jej paszport fałszywy na imię Heleny Macochowej, za którym mieszkała w Warszawie.

Wacława poznała w maju 1910 r. w Częstochowie, dokąd wezwał ją Damazy, pisząc, że bratanek jego bardzo się nią zainteresował i gotów nawet oświadczyć się. Gdy przyjechała do Częstochowy, Wacław oświadczył się, a ona przyjęła go; zaręczyny odbyły się 8 maja, w klasztorze. Ślub odbył się 11 czerwca w Warszawie w kościele pp. Wizytek. Dokumenty potrzebne składał Damazy, ona w tem udziału żadnego nie brała, a jeżeli podpisała się jako "Macochowa," to naprzód dlatego, że pod tem nazwiskiem meldowana była, a powtóre, że akt ślubny spisano nazajutrz po ślubie z Wacławem, gdy prawnie już nazywała się Macochowa. Mąż jej, którego pokochała całem sercem, po ożenieniu się, służbę porzucił, a ona sprowadziła do Warszawy brata swego Wacława Krzyżanowskiego, który zamieszkał przy nich i zaczął przygotowywać męża do egzaminu z czterech klas. W tym czasie Wacław Macoch znalazł u niej list znajomego jej z Łodzi, Juliana Bulzackiego, który sta-

rał się o nią dawniej i bardzo się jej podobał, i który potem, gdy ona z Łodzi wyjechała, przeniósł się także do Warszawy. List ten był mniej więcej treści następującej: "Szanowna Pani. Dobrze pani zrobiła, że Łódź opuściła, gdyż między nami nic nie było, a ludzie przypuszczali coś zupełnie innego. Chociaż znajomość nasza nie była zupełnie platoniczna, postępuj pani nadal, jak teraz, a zasłużysz na poszanowanie wśród ogółu."

Co list ten oznaczał, zrozumieć nie mogła, bo zarówno z Bulzackim, jak i z Macochem nigdy w stosunkach bliższych nie pozostawała.

Wskutek tego, mąż zaczął naigrawać się nad nią i schowawszy go, powiedział, że list ten pokaże Damazemu. D. 23 lipca mąż otrzymał od Damazego list, wzywający go do natychmiastowego przyjazdu. Dnia tego Wacław wyjechał i więcej nie powrócił.

Trzeciego dnia po wyjeździe 'męża otrzymała depeszę od Damazego Macocha, że jedzie do Warszawy, do niej. Przyjechał 26 lipca ze służącym, którego prosił, aby posadzić do wspólnego z nimi stołu, co ją nieco zdziwiło. Na pytanie jej, czy ksiądz widział się z mężem, Damazy odpowiedział, że widział się i że Wacław z Częstochowy pojechał do krewnych. Damazy pozostał u niej na noc, a nazajutrz wraz z nim i bratem Wacławem Krzyżanowskim pojechala do Częstochowy, gdzie Damazy oświadczył, że mąż jej wyjechał do Ameryki i więcej nie powróci. Potem ona z bratem pojechała do rodziców, dokąd po dziesięciu dniach przyjechał Damazy Macoch, lecz po kilku dniach wyjechał do Sieradza, do ojca ks. Izydora Starczewskiego. Po dwóch tygodniach znowu przyjechał Damazy i wyjechała z nim razem — ona do Warszawy, a on do Częstochowy. Po dwóch tygodniach znów przyjechał do niej Damazy i zamieszkał u niej. Dn. 1 października pojechała z nim do Szreniawy, do siostry swej Zofii Zajączkowskiej. Tam Damazy Macoch przesiedział do 5 października i wyjechał do Częstochowy, a nazajutrz po wyjeździe jego, przybyła policya i aresztowała ją.

Dopiero, gdy dostawiono ją do Częstochowy, dowiedziała się o zabójstwie męża. Od chwili wyjazdu męża, gazet nie czytała i o trupie w sofie, nie słyszała. Co się tyczy stosunków, jakie istniały między mężem jej i Damazym Macochem, to tylko powiedzieć może, że na ogół stosunki te były dobre, chociaż niekiedy wynikały między nimi sprzeczki. Jaka była przyczyna, że Damazy Macoch męża jej zabił — ona nie wie, i pojąć nie może dlaczego brat jej, Wacław Krzyżanowski, zeznał nieprawdę, jakoby ona 27 lipca w Częstochowie powiedziała mu, że męża zabił Damazy Macoch.

Podczas badania powtórnego, Helena Macochowa zeznanie swe zmieniła i oświadczyła, że gdy przyjechał do niej Damazy z oświadczeniem, że mąż wyjechał do Ameryki, to ona temu nie uwierzyła. Wtedy Da-

mazy powiedział, że zabił Wacława za to, że był to człowiek podły, bez uczuć szlachetnych. Szczegółów zabójstwa Damazy jej nie opowiedział. Brat nie uprzedzał jej o odpowiedzialności za niezawiadomienie władz, a nie uczyniła tego, bo Damazy Macoch groził, że ją zabije. Przypuszczała, że przyczyną zabójstwa była zazdrość Damazego Macocha. Po zabójstwie Damazy proponował jej powtórnie, ażeby wyszła za niego za mąż, ale ona mu powtórnie odmówiła.

Dorożkarz Pianko.

Pianko powtórzył zeznanie, złożone na śledztwie pierwiastkowem. O jeździe swej władzy nie zawiadomił, bo obawiał się kary Bożej za złamanie przysięgi, którą przyjął od niego Macoch.

Posługacz Błasikiewicz.

W połowie czerwca 1910 r. około godz. 7 i pół wieczorem, stał on u drzwi sali Rycerskiej. Ujrzał wtedy, że z górnego kurytarza, gdzie była cela ks. Damazego Macocha, sługi klasztorne, Załóg, Wujcik i Roguś niosą po schodach jakąś dużą skrzynię, zawiniętą w rogoże. Gdy Załóg zobaczył go, poprosił, ażeby i on pomógł znieść ciężar do dorożki, nie widział, a nawet nie zwrócił uwagi, ani na dorożkarza, ani na to, czy był przy tem Damazy Macoch. Policya pokazała mu sofę, znalezioną we wsi Zawady i sofa ta była mniej więcej tej samej wielkości, co przedmiot, który wynosili Załóg, Wujcik Rogu , ale nie był pewny. Od Damazego pieniędzy żadnych za milczenie nie dostał i z tego powodu, ani z nim, ani też z Załogą rozmów nie prowadził.

Izydor Starczewski.

Poznał się z Damazym Macochem w r. 1900, gdy wstąpił do klasztoru, jako nowicyusz; zaprzyjaźnił się z nim i z Bazylim Olesińskim dopiero w r. 1907. Kilka lat temu, Macoch przedstawił go w klasztorze Helenie Krzyżanowskiej i przyznał się, że zakochał się w niej za jej inteligencyę, znajomość muzyki i śpiew, nie mówił jednak o tem, że jest jej kochankiem. Starczewski przypuszczał, że Krzyżanowska była kochanką Macocha. Gdy Krzyżanowska przyjeżdżała do klasztoru, Macoch znikał z celi i czas cały spędzał u Możykowskich, gdzie Krzyżanowska stawała. Czasami Macoch brał go z sobą i wtedy Starczewski widział, że całowali się z sobą. Byli z sobą na "ty."

Jakie stosunki zachodziły między Damazym i Wacławem Macochami, nie wie, ale kilka razy w celi Damazego słyszał, że rozmawiali oni między sobą w stanie ostrym, a przy ukazaniu się jego, rozmowę przerywali. O zabójstwie Wacława nic zupełnie nie wiedział, gdyż 18 lipca 1910 r. otrzymał urlop bezterminowy, do czasu, póki sobie miejsca nowego nie znajdzie. W Kole, u brata odebrał od Macocha list, w którym ten dono-

sił, że porzucił klasztor ostatecznie i prosił o przybycie do Warszawy lub Sieradza, dla rozmówienia się. Widział się z Macochem u rodziców w Sieradzu. Macoch opowiedział mu, że chciał skorzystać z urlopu, ale nowy przeor Weloński urlopu mu nie dał i on urządziwszy przeorowi skandal, wyjechał bez urlopu. Następnie Starczewski z Macochem był w Krakowie, Warszawie, Żytomierzu i Włocławku, w celu otrzymania probostwa i powrócił do Częstochowy 16 września. Nazajutrz Macoch wyjechał i od tej pory nie widział go więcej.

Depeszę "Warszawa. Chłodna 68, Jeżewskiemu dla kumcia. Wszystko dobrze. Przyjechać nie mogę dzisiaj, Stanisław," wysłał on Starczewski. Wyrazy "wszystko dobrze," znaczyły, że usunięto przeszkody do wyjścia jego i Macocha z klasztoru. Gdy 3 października policya rozpoczęła śledztwo w klasztorze i pokazano mu fotografię zabitego, domyślił się, że zabójstwa dokonał Damazy Macoch, żal mu się go zrobiło i dlatego do ojca swego do Sieradza napisał list z prośbą o wysłanie telegramu: Warszawa. Chłodna 68. Jeżewski, Niech Kumek wyjedzie. Niebezpieczeństwo zagraża. 31 Stach." Liczba "31," oznaczała numer dorożkarza, który, jak słyszał, pierwszy wskazał policyi na Macocha. Telegram ten podpisał imieniem świeckiem i wysłał nie wprost z Częstochowy, w obawie, ażeby depeszy nie przejęła policya.

Starczewski nie przyznał się, że kradł pieniądze i oświadczył, że nigdy ani on sam, ani z Damazym i Bazylim nie brał pieniędzy ze skarbczyka, nigdy nie zamawiał kluczów podrobionych i nie przypomina sobie, ażeby razem z Macochem schwytał Olesińskiego na kradzieży pieniędzy. Nie miał żadnego interesu przywłaszczać sobie fundusze, bo potrzeb wielkich nie miał. Wódkę, piwo, koniak, dostarczał mu klasztor z polecenia Rejmana, który też udzielał mu pieniędzy na podróże zagranicę. Kochankę miał jedną tylko, ale ta nic go nie kosztowała, bo miała pieniądze własne i pieniędzmi swemi opędziła koszty porodu i utrzymania dziecka.

Bazyli Olesiński.

Nie przyznał się ani do kradzieży 5,000 rb. w listach zastawnych z celi ks. Gawełczyka, ani też do okradania systematycznego skarbczyka. W celi zmarłego za szafą znalazł na 15,000 rb. listów zastawnych i te odniósł Rejmanowi. Po trzech dniach w papierach Gawełczyka znalazł notatkę, w której była mowa o 20,000 rb. i notatkę tę zaniósł Rejmanowi. Jeżeli Damazy Macoch mówił o kradzieży 5,000 rubli, to widocznie skradł je sam, a teraz chce zwalić winę na innych. Nigdy nie przywłaszczał sobie pieniędzy ze skarbczyka i nie dawał ich ani Macochowi, ani Starczewskiemu. Otrzymywali oni od niego, jako od kustosza pieniądze na

drobne wydatki, lecz nigdy więcej, jak po 10 rb. i tylko raz jeden z polecenia przeora Welońskiego, dał Macochowi 50 rb., gdy jechał na wesele Heleny Macochowej. Dawać zakonnikom sumy nie przewyższające 10 rb., miał prawo.

Józef Pertkiewicz.

Zeznał, że wiosną r. 1909 ks. Izydor Starczewski, jego kolega ze szkoły elementarnej, wezwał go do celi i w obecności Damazego Macocha polecił mu dorobić klucz do pokoju, w którym mieściły się pieniądze klasztorne i rachunki. Starczewski powiedział, że potrzebny mu jest klucz do przejrzenia rachunków. Wręczono mu przytem odbitkę woskową żamku. Nie podejrzewając, że klucz potrzebny jest do kradzieży i wierząc księżom, jak Bogu samemu dał klucze do roboty niejakiemu Kasprzykowi. Ani imienia, ani adresu asprzyka nie zna. Klucz odniósł osobiście Starczewskiemu, który zapłacił 15, czy 18 rubli, nie licząc danego poprzednio zadatku w kwocie 5 rb. Damazy Macoch dał mu wkrótce dwa klucze do podpiłowania, gdyż jak mówił, nie otwierają drzwi, przez które on przechodzić musi. Robotę tę wykonał darmo i dopiero po dwóch miesiącach pożyczył od Macocha 10 rubli, których nie oddał. Z pośród pokazanych mu kluczów, największy jest właśnie ten, który przygotowywał Kasprzyk.

Lucyan Cyganowski.

Przyznał się do zrobienia pieczęci parafii Parzymiechy na zamówienie Damazego Macocha. Tłumaczył się, że nie mógł przypuszczać, ażeby ksiądz, który pieczęć tę zamawiał, nie należał do parafii pomienionej.

Macoch cofa zeznania.

Po sześciomiesięcznym pobycie w więzieniu, Macoch cofnął zeznania dawniejsze, oświadczył, że poprzednio kłamał i że oskarżył fałszywie Izydora Starczewskiego, Bazylego Olesińskiego i Józefa Pertkiewicza. Kłamał, dlatego, że obawiał się, iż zarzucać mu będą, że okradł obraz cudowny Matki Boskiej Częstochowskiej. Wogól o kradzieży pieniędzy ze skarbczyka, o przywłaszczeniu 5,000 rb. Gawelczyka i o podrobieniu kluczów nic zupełnie nie wie. Na Helenę Macochową wydawał te pieniądze, które zebrał od pątników na msze. Pieniędzy takich miał 22,000 rb., a mszy odprawił tylko na 8,000 rb.

Korespondencya w więzieniu.

Wkrótce wyjaśniło się, dlaczego Macoch nagle cofnął zeznania swe, dotyczące okradania skarbczyka i kradzieży 5,000 rubli.

3-go września 1911 roku, już po zamknięciu śledztwa, prokurator sądu okręgowego w Piotrkowie otrzymał z Częstochowy list, pisany po polsku i po łacinie. Do listu przyklejona była mała karteczka w języku rosyjskim, bez podpisu, o treści następującej: "List załączony znalazł przechodzień dwa miesiące temu około więzienia w Piotrkowie, a że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa dotyczy on osób, pozostających w więzieniu śledczem, przeto list przesyłam tam, gdzie należy." Wobec tego, że charakter pisma listu przypominał charakter pisma ks. Starczewskiego, dokonano ekspertyzy kaligraficznej, że list pisany jest ręką Starczewskiego. Ten, po okazaniu mu listu, przyznał, że napisał go do Damazego.

W liście Starczewski prosi Macocha, ażeby cofnął zeznanie swe o udziale jego w okradaniu skarbczyka. "Ja ciebie nigdzie i nigdy nie oskarżałem, pisze Starczewski między innemi, a w szczególności, co kluczów dotyczy, nie przyznałem się do tej pory, a ciebie w Krakowie oszukano. Przeciwko tobie to tylko powiedziałem, żeś się z nią całował, ale to łatwo zmienić, gdy się doda, że było to po weselu. Jeden klucz zrobił ci Pertkiewicz, a inne ktos drugi wykonał. Trzeba tylko zmówić się z Pertkiewiczem, żeby powiedział, że klucz dla ciebie zrobił, ale nie wie po co, a ty, żebyś powiedział, że klucz jeden był od twego pokoju, a drugi od konfesyonału i że klucze te zrobił ci ktoś, którego nie znasz, bo po za Królestwem przebywa. W ten sposób łatwo będzie Pertkiewicza uwolnić. Zeznaj następnie, jak pisałem ci już dawniej, że zrobiłeś to wszystko bezemnie, nie poplątaj, lecz uwolnij mnie od tego... oswobódź również Pertkiewicza. Niechaj wyraz kradzież nie będzie użyty, lecz zamiast niego niechaj będzie mowa o wynagrodzeniu za msze, loterya, procenty i t. d. Słowem, proszę cię, mój drogi, wszystko, co tyczy kradzieży i kluczów, zmień tak, jak pisałem w liście poprzednim i jak piszę teraz. Raz jeszcze błagam cię w imię wszystkich świętych, cofnij zeznania swe, przeciwko mnie złożone: ocalisz

siebie i mnie pomożesz... Oddaję list pod opiekę Serca Jezusowego, niechaj ześle ci wszystkie swe dary... Życzę ci męstwa do spełnienia czynu bohaterskiego, o który proszę... Do Pertkiewicza pisałem, dałem mu plan obrony i poleciłem porozumieć się z tobą."

Gdy pomocnik naczelnika więzienia, Grabski, i starszy dozorca, Joachim Prut, badali Starczewskiego z tytułu listu tego, dokonano jednocześnie rewizyi nagłej w celi i w pończosze za łóżkiem Starczewskiego znaleziono 38 listów. Starczewski padł przed Grabskim na kolana, po rękach go całował, prosząc, ażeby listy te zniszczył, gdyż inaczej zginie.

Ekspertyza kaligraficzna wykazała, że z pośród 38 listów, znalezionych u Starczewskiego, 17 napisał Damazy Macoch, 16 —Józef Pertkiewicz, a 5 sam Izydor Starczewski. Z treści ich widać, że schwytano tylko część obszernej korespondencyi, prowadzonej między temi trzema osobami w więzieniu.

W listach do Starczewskiego, Damazy Macoch wyraża gotowość zupełną cofnąć poprzednie swe zeznanie, dodając jednak, że w takim razie i Pertkiewicz powinien inaczej się tłumaczyć i o tem zamierza napisać do niego. Za przysługę tę Macoch prosi Starczewskiego, ażeby poparł go w sądzie i opowiedział, jak on kochał bratanka swego, jak wspomagał go pieniędzmi, jak zabiegał, ażeby Wacław otrzymał awans służbowy. Prócz tego prosił, ażeby Starczewski opowiedział sądowi, że Helena Macochowa była kobietą lekkich obyczajów, że stosunek z nią ciążył mu i jak czuł się szczęśliwy, gdy nareszcie wydał ją zamąż i odczepił się od niej zupełnie. "Co zaś do "aur" — pisze Macoch w końcu — to miałem zamiar zebrać sobie zapas niewielki, dlatego też zmieniałem, gdzie się dało, ale w następstwie myśl tę porzuciłem."

W listach do Pertkiewicza, Starczewski namawia go, żeby zmienił poprzednie swe zeznanie i oświadczył, że klucza żadnego nie robił, a jeżeli poprzednio inaczej mówił, to tylko przez złość. "Potrafisz wykręcić się— pisze Starczewski — gdy powiesz, że on sam przyniósł ci klucz, a o odciskach woskowych nie wspomnisz. Wyniknie z tego, że ty go podejrzewać nie mogłeś i że on chciał mieć klucz na zapas, gdy będzie w zakrystyi. Nie mów tylko, że działo się to w mojej obecności, chociaż raz mogło to być w mojem mieszkaniu, lecz przeważnie rozmowy te odbywały się w jego celi."

W odpowiedzi na groźby i wyrzuty Pertkiewicza Starczewski pisze: "A czy ty bez zmazy jesteś — pisze — bądź spokojny i przeciwko tobie znajdzie się niejedno do powiedzenia, gdy zajdzie potrzeba."

Z listów dowiedziano się, że oskarżeni wiedzieli o zgubieniu jednego listu i bardzo byli tem zaniepokojeni. "Dowiedziałem się, że list ten wypadł na ulicę, gdy służący oddawali mu, ale nikt z niego nie skorzystał, bo

cicho zupełnie, więc bądź spokojny."

Macoch przyznał się, że wszystko, co mówił poprzednio o udziale swym, jak również Starczewskiego, Olesińskiego i Pertkiewicza w podrobieniu kluczów, w kradzieży pieniędzy ze skarbczyka i 5,000 rb. z celi zmarłego ks. Gawełczyka, jest naistotniejszą prawdą. Co się tyczy zamieszczonego w jednym z listów jego, skróconego wyrazu "aur," to pod wyrazem tym ozumieć należy monety złote, które odebrano od Heleny Macochowej. Monety te skradł ze skarbczyka i podarował Helenie, nie mówił jej jednak, że pochodzą z kradzieży. Parę takich samych monet skradł ze skarbczyka i Starczewski.

Stanisław Załóg.

Służka klasztorny Załóg, jak wiadomo, zbiegł i pomimo rozesłania za nim listów gończych, ujęty nie został.

Pierwszy dzień rozprawy.

Piotrków, 27 Lutego 1912.

W przedsionku sali sądowej ciżba, pragnie wejść jaknajprędzej.

Na podyum ukazuje się w ubraniu galowem przedstawiciel ministeryum spraw wewnętrznych, naczelnik wydziału departamentu obcych wyznań, p. Tiażelnikow.

Zjawiają się też obrońcy oskarżonych. Wita się ze sprawozdawcami kordyalnie adw. Kazimierz Korwin-Piotrowski. Innych wszyscy jeszcze nie znamy. Ale uprzejmie nas informują miejscowi znawcy stosunków, że ten sympatyczny, to adw. Kleyna, ten elegancki, to adw. Kański, ten wygolony i miły, to adw. Rudnicki, ten w białym krawacie i białej kamizelce o trzech złotych guzikach, to adw. Sędzikowski z Petersburga, ten zaś gruby, o siwych wąsach, to adw. Nowicki, obrońca Olesińskiego, który (oczywiście Olesiński) w tej chwili przygląda się licznej gromadzie sprawozdawców z miną i wzrokiem, jakby chciał powiedzieć:

— Utopiłbym was w łyżce wody!

Snać tym nastrojem o. Bazylego przejął się i prowincyonalny mecenas p. Nowicki, gdyż głośno rozprawia z publicznością i taką czyni mniej więcej uwagę:

Przyjechało tyle gawiedzi dziennikarskiej nie wiedzieć po co? Ja przynajmniej nie potrzebuję ani reklamy, ani sławy, ani gazeciarskich głupstw!

A któż panu, panie adwokacie z Piotrkowa, pragnie robić reklamę? Nie przyjechaliśmy przecież po to, aby od pana słuchać głupstw, jeno po to, aby spełnić swój obowiązek, który polega na tem, aby społeczeństwo miało kontrolę nad wszystkiem co się wśród niego dzieje. Jeśli zaś panu nie podoba się rola prasy, to czemuż się szanowny adwokat podejmuje obrony oskarżonych?

Oczywiście głośne uwagi adwokata z miasta aż gubernjalnego sprawiły przy stole prasowym nieprzyjemne wrażenie, ale było ono niczem w porównaniu z późniejszem wystąpieniem tegoż wroga jawności rozpraw, ale o tem — potem.

Tymczasem zegarki nasze wskazują godz. 11 m. 45.

Sala jest już zapełniona.

Temperatura dość wysoka.

Więźniowie.

Wprowadzają więźniów. Pierwszy ukazuje się dorożkarz Pianko, nawpół przytomny ze wzruszenia, nie wie co ma robić, gdzie usiąść cała twarz zapłakana, zarośnięta. Żołnierze wskazują mu miejsce na najwyższej kondygnacyi ławy, posuwa się tam, wtula się w kąt, płacze, aż łzy bruzdy na twarzy mu wyryły.

Wprowadzają Damazego Macocha,

twarz spokojna, obojętna. Odrazu zasiada na najwyższej kondygnacyi, która mu się jaknajsłuszniej należy. Łysa czaszka świeci się w promieniach światła z okien naprzeciwko.

Za nim wsuwa się do tej samej ławy nizki Izydor Starczewski, o pospolitej twarzy pierwszego lepszego z tłumu, nawet nie urozmaiconej małym zarostem.

Piance nakazują wyjść z najwyższej kondygnacyi i degradują go, a natomiast ukazuje się na jego miejscu Helena, urodzona Krzyżanowska. Ściśle niewiadomo, jakie dawać jej nazwisko: pierwsze nazwisko Macochowa "wdowa" było fikcyjne, drugie takie samo z racyi ślubu z Wacławem Macochem, też niewiadomo, czy może być słuszne, gdyż ślub brała pod fałszywem nazwiskiem Macochowej i przysięgę ślubną odbierał od niej ks. Macoch, na wiele lat przedtem jej kochanek. Mniejsza zresztą o to. Przypatrzymy się owej Macochowej: brunetka, twarz bez wyrazu, rysy grube, pospolite. Gdzież tu przejaw inteligencyi? Ani w oczach, które osądzone głęboko, szczególnego uroku nie sprawiają.

— Zbrzydła w więzieniu— mówił taki, co ją znał z przed laty.

Inni oskarżeni zasiadający na ławie w środkowej kondygnacyi, a więc Błasikiewicz i Pertkiewicz, to pospolitaki, takie miny mają i zbrodniarze i najniewinniejsi ludzie.

O. Bazyli, który siedział dotychczas na ławie przy balustradzie, otrzymał polecenie, aby zajął miejsce na ławie oskarżonych. Z niechęcią wstał i usiadł za pulpitem tłómacza przysięgłego.

Po obu stronach ławy ustawili się żołnierze konwoju.

Naraz małe zamieszanie przy ławie oskarżonych.

— Cyganowski zemdlał!—leci wieść.

— Doktora!—szuka woźny.

Okazało się, że Cyganowski nie zemdlał, tylko dostał ataku epilepsyi, na którą cierpi oddawna. Atak tym razem był długi i taki, że uniemożliwił Cyganowskiemu ukazanie się na sali.

Powietrze w sali coraz cięższe, więc ukazuje się w sali woźny z wielkim rozpylaczem i rozrzedza powietrze wodą leśną.

Dowiadujemy się w trakcie tego, że w charakterze głównego oskarżyciela publicznego wystąpi podprokurator izby sądowej warszawskiej, p. Niedzwiecki, gdyż prokurator sądu okręgowego piotrkowskiego, p. Łanszin, po niedawno przebytej chorobie, nie czuje się zupełnie zdrów.

Tymczasem dobiega południe, godz. 12.

Sąd idzie!

Komisarz sądowy wypowiada sakramentalne:

— Sąd idzie, proszę wstać!

Wszyscy wstają i na podyum z drzwi bocznych wchodzą: prezes J. A. Wołkow, sędziowie: Pawłowicz, Aleksandrow i Gubskij. Ten ostatni jest referentem sprawy.

Na miejscach prokuratorskich zasiadają pp. Niedzwiedzki i Katronowskij, autor aktu oskarżenia.

Prezes: Ogłaszam posiedzenie sądu za otwarte, proszę usiąść.

Adw. Korwin-Piotrowski: Panowie sędziowie zanoszę do panów prośbę...

I tu p. K.-P. zaczyna obszerny wstęp słowami: Panowie wiecie, jak sprawa niniejsza porusza umysły, wiecie, co znaczy dla tego kraju kościół katolicki...

Prezes: Ale o co panu chodzi?

Adw. Korwin-Piotrowski: O zam-



Świadkowie z Zawad, którzy znaleźli tajemniczą sofę.

knięcie drzwi dla niniejszego procesu.

Prezes: O tem może być mowa po generaliach oskarżonych.

Prokurator Niedzwiecki deklaruje, że oprócz niego, w oskarżaniu brać będzie udział podprokurator Katranowskij.

Prezes do Macocha:

— Pańskie imię i nazwisko?

— Damazy Macoch — odpowiada pierwszy oskarżony po rosyjsku.

— Imię świeckie i imię ojca?

— Kacper syn Pawła.

— Wiek?

— 43 lata.

— Urodzony?

— We wsi Lipie.

— Zajęcie?

— Ksiądz.

— Wyświęcony?

— Tak.

— Czy pod sądem pan był?

— Nie.

W dalszym ciągu następny oskarżony Izydor Starczewski odpowiadał, że imię chrzestne ma Stanisław-Andrzej, syn Łukasza-Jana, lat 40, urodz. w Złoczewie, ksiądz wyświęcony, pod sądem nie był.

Bazyli Olesiński, ma imię chrzestne Józef, syn Hilarego, lat 47, ur. w Czę

stochowie, ksiądz wyświęcony, pod sądem nie był.

Prezes do Macochowej: Jak pani imię i nazwisko?

— Helena-Katarzyna.

— Imię ojca?

— Mikołaj.

— Wiek?

— 27 lat.

— Gdzie pani urodzona?

— W Drzewicy.

— Rodzaj zajęcia?

— Byłam nadzorczynią w telefonach łódzkich.

— Ale czem się pani zajmowała w ostatnich latach?

— Nic nie robiłam... właściwie zajmowałam się gospodarstwem.

(Określenie swego zajęcia z trudem oskarżonej przychodziło).

— Czy zamężna?

— Tak.

Pod sądem nie była.

Wszyscy ci oskarżeni odpowiadali po rosyjsku, tak, że tłómacz przysięgły, p. Wassercwajg pełniący te obowiązki w sądzie okręgowym piotrkowskim od lat 30, nie miał tym razem co do roboty, nawet i z resztą oskarżonych, którzy swoje generalia podali również w języku rosyjskim.

Pertkiewicz dodał, że przedtem zanim został muzykantem na Jasnej Górze, był ślusarzem.

Pianko, że urodził się we Mstowie, a ostatnio mieszkał w Kawodrzy pod Częstochową.

Komisarz sądowy odczytał listę świadków, którzy się nie stawili; do tych należą: Jan Roguś (nieodszukany), ks. Rejman i ks. Weloński (obaj chorzy), Józef Trubicki (jest w szpitalu w Krakowie), Antoni Krawczyński (chory), Bronisław Falski (umarł), Julian Bulzacki (chory), Magdalena Smoczyńska (chora) oraz Grabowska, Stefania Starczewska, Jan Starczewski, Janina Zasacka Witold Szumiński, Stanisław Nowakowski, Bolesław Więckowski.

Z lizczby 112 świadków stawiło się około 90.

Po wysłuchaniu wniosku prokuratora, który bez względu na niestawiennictwo rzeczonych świadków, prosił o rozpatrywanie sprawy, oraz takich samych wniosków obrony, przyczem obrońca Starczewskiego prosił o wezwanie nowego świadka Andersa z Kielc, sąd postanowił sprawę rozpoznawać, usprawiedliwiając nieobecność wszystkich świadków, oprócz Janiny Zasackiej i Władysława Sumiakowskiego, których skazał po rb. 5 kary; wezwania świadka Andersa odmówił.

Adw. Korwin-Piotrowski występuje z obszernem wstępem do swej prośby zaznaczonej na początku.

Prezes prosi, aby się skracał w motywach.

Adw. Korwin-Piotrowski: Upraszam sąd o rozpoznawanie niniejszej sprawy przy drzwiach zamkniętych.

Prezes: Na jakiej podstawie?

Adw. Korwin-Piotrowski: Na zasadzie art. 620 ze znakiem a, który opiewa, że gdy chodzi o sprawy dotyczące religii, mogące ową religię obniżyć, sprawy winny być rozpoznawane przy drzwiach zamkniętych.

Prokurator Niedźwiedzki sprzeciwiał się zamknięciu drzwi, twierdząc, że w danej sprawie niema nic takiego, coby przewidywał zacytowany przez obrońcę artykuł.

Adw. Nowicki występuje z książką w ręku i oświadcza: Pan prokurator niedokładnie przeczytał artykuł 620, który właśnie przewiduje...

Prezes: Proszę obrońcę nie strofować prokuratora, ale powiedzieć o co mu chodzi.

Adw. Nowicki: Właśnie przyłączam się do prośby adw. Korwin-Piotrowskiego i proszę o sądzenie sprawy przy drzwiach zamkniętych. Tą sprawą właśnie zadraśnięte są nasze uczucia Polaków-katolików, my nie chcemy, aby ją roztrząsano, na cały świat, a co przecież nastąpi, wobec tego że widzimy w sali tylu sprawozdawców pism, którzy pomieszczą najdrobniejszy szczegół, bo im obojętna nasza religia, zresztą przypatrzcie się panowie sędziowie (tu rękami wskazał stół prasowy), jaką narowość...

Prezes przerywa mówcy i strofuje go za niewłaściwość jego krasomówczych zwrotów, a istotnie wprost niesmaczny był ów zwrot, gdyż, jeśli chodziło o sprawozdawców pozakrajowych, to należało wziąć pod uwagę względy gościnności i zwyczajów europejskich, które w danym razie obowiązują. Tylko zaściankowość może zdobyć się na tego rodzaju ignorancyę, tem bardziej niewytłómaczoną, iż utajanie tylko bardziej gorszące przypuszczenia zrodzić może.

To też doskonale powiedział adw. Rudnicki, że te przestępstwa, o które w sprawie chodzi, wcale nie potrącają o uczucia religijne, ani narodowe, lecz są najpospolitszemi przestępstwami, spełnionemi przez ludzi takich, jak inni i właśnie chodzi o to, aby rzecz była jaknajbardziej jawna, by przekonano się, iż niema nic takiego, coby taić było potrzeba. Z tej racyi nie popiera wniosku, co do zamknięcia drzwi. Adw. Dobrosław Kleyna wychodząc z zasady, że gdyby otoczyć sprawę tajemnoczością, to wówczas dopiero dałoby się materyał do największej sensacyi, która w danej sprawie sprowadza się do zwyczajnych przestępstw, spełnionych jeno w murach klasztoru—również jest za rozpoznawaniem sprawy przy drzwiach otwartych.

Nic przeciwko jawności nie mają adw. Kański i adw. Sędzikowski.

Adw. Korwin-Piotrowski podtrzymuje swą prośbę, popartą przez adw. Nowickiego, w razie zaś, gdyby jej sąd nie uwzględnił, to przynajmniej, wobec tego, że Macoch opowiadał, iż miał stosunki z jego klientką, prosi, aby ta część sprawy rozpoznawana była przy drzwiach zamkniętych.

Prokurator w zasadzie jest przeciwny tajności rozpraw; pozostawia do uznania sądu zarządzania zamykania drzwi co do drastycznych szczegółów Heleny Macochowej.

Sąd wyszedł na naradę, z której po pięciu minutach powrócił i prezes odczytał następującą rezolucyę:

Sąd okręgowy, wysłuchawszy oświadczeń adwokatów Korwin-Piotrowskiego, Nowickiego i innych oraz wniosku prokuratora, uważa, że sprawa nie posiada takich cech, któreby motywowały zamknięcie drzwi, postanawia sądzić sprawę niniejszą publicznie, zastrzegając, że w razie, gdyby zaszła potrzeba co do szczegółów dotyczących osoby Heleny Macochowej tajności rozpraw, to być może zarządzi zamknięcie drzwi.

O godz. 12 m. 45 sekretarz sądu p. Maryan Ostrowski rozpoczął czytanie aktu oskarżenia, którego dalszy ciąg czytali pomocnicy sekretarza pp. Żaletajew, Orłowski i członkowie sądu z prezesem na czele.

Akt oskarżenia sporządzony został przez podprokuratora Katranowskiego w Piotrkowie d. 28 października r. 1911, a zatwierdzony przez wydział oskarżeń warszawskiej izby sądowej w d. 24 listopada r. 1911.

Świadków wezwano 88, w tej liczbie 6 księży, z pośród paulinów: b. przeor o. Euzebiusz Rejman, obecny przeor o. Justyn Weloński, kustosz o. Pius Przeździecki, prokurator o. Wincenty Olszewicz; z pośród świeckich; ks. Czapla, proboszcz z Niegowonic i ks Dakowski, proboszcz z Parzymiech.

Większość świadków na potwierdzenie okoliczności, dotyczących głównie Macocha, do których w znacznej mierze oskarżony się przyznał.

Sprawa potrwa do niedzieli.

Czytanie aktu trwało do godz. 4 m. 35.

Przez cały czas czytania aktu Macoch pilnie przysłuchiwał się treści, Macochowa zaś patrzała w przestrzeń bezmyślnie.

Po przeczytaniu aktu ogłoszono przerwę, podczas której Damazy przez dłuższy czas przyglądał się Helenie, ona zaś unikała jego wzroku. Starczewski coś półgłosem do Heleny mówił, na co mu ta odpowiadała.

Snać były to wyrzuty jedno drugiemu.

G. 4 m. 45 sąd wszedł i prezes zapytał najpierw Macocha, czy przyznaje się do czynów mu zarzuconych.

Przemówienie Macocha.

Damazy Macoch wstał, złożył głęboki ukłon sędziemu i rozpoczął po polsku przemówienie w te słowa:

"Prześwietny sądzie! Ażebym miał uczynić zabójstwo i w tym celu sprowadzić do siebie Wacława Macocha, taka myśl nawet do głowy mi nie przyszła.

Przyznaję, że to uczyniłem, ale z powodów zupełnie innych. Jako człowiek nerwowy, dnia tego wypiłem dużo koniaku, i wina, straciłem rozum i niewiedziałem, co czynię.

Myślałem, że mi serce pęknie, taka żałość mię opanowała, że nie wiedziałem, co robiłem. Zdawało mi się, że mi głownia rozpalona na głowę spadła.

Jako człowiek straciłem głowę i w zapalczywości nie wiedziałem, co robię. Klnę się na Chrystusa Pana, że umyślnie tego nie zrobiłem. (Poruszenie).

Prezes przerwał mowę, żądając, aby oskarżony zbliżył się do przedmiotu.

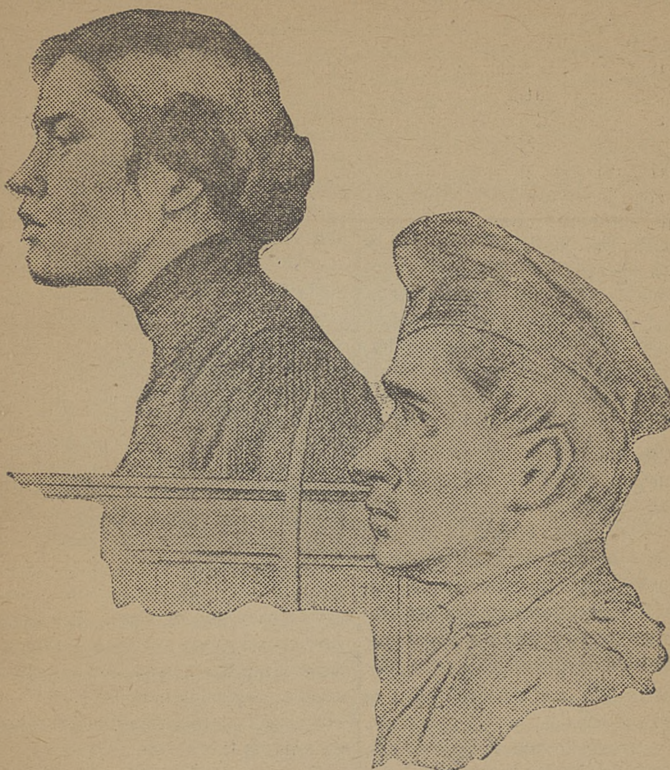
Macoch mówi dalej: Musiałbym całą historyę opowiedzieć od początku, gdyż to ma związek z wypadkiem. Kuzyna mego kochałem, starałem się o jego dobro; mojem staraniem i za moje fundusze zdał egzamin z 4 klas na urzędnika, na co mam świadka Jeżewską z Łodzi i pomocnika naczelnika wydz. śledczego z Piotrkowa, p. Kotowskiego, do którego naczelnik poczty łódzkiej p. Szell mówił, iż mojem to staraniem i za moje pieniądze wyszedł on na ludzi.

Powtarza znane szczegóły z aktu oskarżenia, kiedy doszedł do faktu zapoznania Wacława z Heleną, oświadczył, iż przed ślubem wyznał Wacławowi, że Helenę kochał całem sercem, idealnie, platonicznie, że cielesnych stosunków między niemi nie było, że całował ją, ale stosunku, jako z kobietą, nie miał, dziewictwa jej nie odebrał. Z pocałunków doszło tylko do nieskromnych dotykań. W odpowiedzi na to Wacław mu wyjaśnił, że pretensyi o to do niego nie ma.

Dalej znowu powtarza znane z aktu oskarżenia szczegóły.

W czasie, gdy tłómacz przekładał na język rosyjski sądowi zeznania Macocha, adwokat Kleyna prosił klienta o streszczenie się, Macoch na to okazywał silne zdenerwowanie, trząsł rękami i chwytał się za głowę.

Prezes żąda od Macocha wyjaśnie-



Helena Macochowa wsłuchana w zeznania ks. Macocha.

nia, w jakim celu sprowadził Wacława do siebie.

Macoch opowiada dalej to samo co mówił na śledztwie pierwiastkowem, dodając, jak przy każdym posiłku w dniu krytycznym zapijał z Wacławem koniak.

— Gdyż byłem zawsze gościnny o czem cała Częstochowa zaświadczyć może (śmiech na sali).

Mówca przestaje mówić na chwilę, chwyta się za serce.

Następnie ciągnie dalej:

— Gdy w ostatni wieczór po kolacyi, będąc zdenerwowany ciągłemi skargami Wacława na Helenę i pogróżkami, że zmieni religię, rozwiedzie się i z nią żyć nie będzie, zaproponowałem spacer, Wacław odmówił, oświadczając, że pójdzie spać. Wyszedłem sam. Po-

wróciwszy wkrótce zastałem Wacława leżącego na sofie. Wszedłem do swego pokoju, bo Wacław leżał w pierwszym. Po chwili Wacław przyszedł do mnie, zażądał wina i rozpoczął znowu ze mną drażliwą rozmowę, pokazując fotografię Heleny w towarzystwie dwóch obcych mężczyzn.

— Ty wierzysz jej — powiedział Wacław — patrz!

Starałem się wytłomaczyć, że to może jej kuzyni, chociaż widok ten mnie samemu rozdzierał serce. Wtedy Wacław pokazał mi list Bulzackiego. Gdy zniecierpliwiony krzyknąłem: Smarkaczu!—Wacław uderzył mnie w twarz i ze słowami: "Wot tiebie, mierzawiec!" — poszedł na swoją sofę.

Wówczas opanowała mnie wściekłość. Biegałem po pokoju, jak opętany—i w tem bezgranicznem rozdrażnieniu ujrzałem leżącą pod piecem siekierkę. Schwyciłem za nią, nie wiedząc, co to jest: czy kij, czy inny przedmiot, dopadłem do Wacława leżącego uderzyłem go raz, dwa, trzy, czy cztery—sam nie wiem, bo nie pamiętam.

Zerwał się Wacław, schwycił mnie za rękę i przewrócił się.

Wtedy otrzeźwiałem.

Prezes zadaje Macochowi pytanie:

Czy kradł z zakrystyi i ze skarbczyka?

Macoch potwierdza swoje pierwsze zeznanie na śledztwie pierwiastkowem.

Prezes: Czy pan przyznaje się, że razem z ks. Bazylim Olesińskim zabrał z celi zmarłego ks. Gawełczyka 5,000 rubli w listach zastawnych?

Macoch: Nie wiem, ile było, gdyż Bazyli podobno 15,000 oddał przeorowi. Po niejakim czasie Bazyli przyznał się, że 5000 zatrzymał u siebie, i dał mi z tych pieniędzy 2,000 rb., a 3 zostawił przy sobie.

— Czy pan przyznaje się, że w 1909 r. sfałszował świadectwo ślubu Kacpra Macocha z Heleną Krzyżanowską i akt śmierci tegoż Kacpra, czyli pański?

— Przyznaję.

—Czy pan zamawiał u Cyganowskiego pieczęć urzędnika stanu cywilnego parafii Parzymiechy?

— Cyganowskiego nie znam, pieczęć zamawiałem.

Oskarżony siada; mówił blizko półtorej godziny.

W czasie zeznań Macocha—Helena uważnie patrząc na niego, śledziła jego mowę, marszcząc chwilami brwi z wyrazem wielkiego niezadowolenia.

Następuje badanie oskarżonych: Pianki, Błasikiewicza, Starczewskiego Pertkiewicza, Olesińskiego i Heleny Macochowej.

Starczewski do winy się nie przyznał, wysłanie zaś telegramu i listu ostrzegającego Macocha tłómaczy przypuszczeniem, że Macocha poszukują z powodu długów, na których uciążliwość często utyskiwał.

Helena wszelkie objaśnienia odkłada na później.

Bazyli zaprzeczył kradzieży pieniędzy z celi Gawełczyka, resztę objaśnień przyrzekając dać później.

W końcu prokurator Kaszanowskij zadał Macochowi 3 pytania: 1) za co uderzył Wacław Damazego w twarz na weselu i czy byli na to świadkowie; 2) czy dużo pili w dniu krytycznym trunków i jakie gatunki i 3) ile czasu upłynęło od uderzenia do zabójstwa.

Macoch odpowiedział, iż uderzony został przed weselem przy Helenie, innych świadków nie było; pili koniak i wino, Wacław wypił z 8—10 kieliszków koniaku; ile czasu upłynęło od chwili

uderzenia w twarz do zabójstwa,—nie wie, bo był nieprzytomny.

O g. 6 m. 5 rozpoczęto zaprzysiężenie świadków pierwsi składali przysięgę prawosławni, od g. 6 m. 25—katolicy grupami po 15. Przysięgę przyjmował ks. Bromski. O g. 7 m. 15 złożyło przysięgę 4 Żydów.

Sąd wyłączył od przysięgi o. Piusa Przeździeckiego, o. Wincentego Olszewicza—paulinów, ks. Czaplę z Niegowonic i ks. Dąbrowskiego z Parzymiech; nadto brata i ojca Damazego, Pawła i Franciszka Macochów, siostrę Heleny—Zajączkowską, b r a t a—Wacława Krzyżanowskiego; adwokat zaś Piotrowski zrzekł się świadka Zasępy.

O g. 7 mi. 20 prezes przerwał posiedzenie do jutra do g. 10 rano.

Drugi dzień rozpraw.

Drugi dzień rozpraw każdego wielkiego procesu ma cechę charakterystyczną: po wielkiem napięciu uwagi podczas dnia pierwszego, następuje reakcya... Zainteresowanie słabnie, ciekawość publiczności na jakiś czas omdlewa. Zgodnie z tym zwykłym objawem w sali sądowej zgromadziła się względnie szczupła garstka słuchaczów, natomiast galerya była liczniej obsadzona.

Po rozpoczęciu posiedzenia, przewodniczący, Wołkow, aby świadkom oszczędzić daremnego wyczekiwania, dzieli ich na grupy i przychyla się do prośby komisarza policyi krakowskiej, postanawiając przesłuchać go wcześniej niż to było zaznaczone na liście.

Pierwsi świadkowie, wieśniacy ze wsi Zawady nie przynoszą nic nowego, ale powtarzają dobrze znane szczegóły, dotyczące znalezienia sofy w strumieniu pod wsią Zawady.

Dopiero treściwe, dobrze sformułowane wyjaśnienia dr. Henryka Jasieńskiego, komisarza policyi, przybyłego z Krakowa dla złożenia zeznań, słuchane są z zainteresowaniem, bo dostarczają wiele nowych szczegółów.

Z nadzwyczajnem zajęciem słucha jego zeznań Macochowa, rzec można zamienia się cała w słuch, gdy dr. Jasieński powtarza pierwsze zeznania Macocha w Krakowie co do szczegółów morderstwa. Ma na twarzy silne wypieki.

Macoch zachowuje się swobodnie, słysząc zaś niektóre uwagi p. Jasieńskiego, uśmiecha się i tego uśmiechu, wcale nie usiłuje ukryć.

Starczewski, przeważnie z rękami opartemi o balustradę ławy, jest raczej znudzony, niż zainteresowany. Zresztą rozprawy dotychczasowe mało go dotyczą.

Cierpiący na ataki epileptyczne pieczętarz Cyganowski, jest w sali nieobecny, na co uzyskał pozwolenie jego obrońca, adw. Korwin-Piotrowski.

"Momentem" dzisiejszego posiedzenia do pauzy śniadaniowej, było wniesienie tragicznej sofy.

Składa się ona z dwóch części drewnianych, tworzących głęboką szufladę. Na wierzchu przez całą długość leży poduszka kryta czarną bardzo zniszczoną ceratą. Kanapa ta, nawet wówczas gdy była nowa, nie mogła uchodzić za mebel wytworny i miała wygląd surowy, ale dziś, draśnięta zębem czasu, gdy wiemy, jakiemu celowi ostatecznie służyła, sprawia wrażenie ponure, ot, z czterech desek trumna...

Drugi moment, zaraz po przerwie południowej, to wejście pod strażą z dobytemi pałaszami, Denisowa, b. komisarza pierwszego cyrkułu często-

chowskiego, sprowadzonego na sprawę z cytadeli.

Marcin Cudak.

Pierwszy zeznaje, w szarej krótkiej sukmanie, typ ubogiego wieśniaka. Nie dosłyszy. Opowiada znane z aktu oskarżenia okoliczności, w których ujrzał pakę, wystająca z wody, pod wsią Zawady.

Sąd wskazuje sofę i zapytuje, czy ją poznaje.

Św. Nie wiem, bo była bokiem przewrócona.

Przewodniczący poleca sofę odpowiednio obrócić i wówczas świadek ją poznaje.

Na zapytanie prokuratora, czy świadek nie usiłował sofy z wody wyciągnąć, Cudak odpowiada przecząco.

W podeszłych leciech gospodarz-włościanin, Henryk Dąbrowski, opowiada, jak idąc do kościoła, widział wystającą z wody "gołą" sofę, to znaczy bez rogoży.

Wiktorya Sinowicz, komornica ze wsi Zawady, dość wymownie opowiada fakt ujrzenia sofy, wystającej z wody, rogoże zaś spostrzegła leżące w odległości jakichś stu pięćdziesięciu kroków.

Piętnastoletni Stanisław Juraszyk, syn kasyera gminnego we wsi Zawady, bardzo zalękniony, zeznaje, że gdy pasał bydło na łące, jakiś włościanin opowiadał mu, że z wody paka wystaje. Juraszyk sprawdził fakt, ale obawiał się zbliżyć. Uczynił to dopiero po przybyciu na miejsce strażników.

Kazimierz Kondracki,

Pisarz gminny, opowiada o tem, jak przejeżdżając około strumienia pod Zawadami, spostrzegł pakę już na brzeg wydobytą. Ujrzawszy przez szczelinę kanapy gołe nogi trupa, polecił rozwiązać sznur, krępujący sofę.

Kondracki mówi, że zwłoki były zawinięte w prześcieradło dość cienkie, z którego znaki były wycięte. Świadek wylicza rany, które widział na głowie i szyi ofiary.

Na zapytanie prokuratora, Kondracki opowiada, że pomimo odpowiednich ogłoszeń oraz śledztwa, niepodobna było stwierdzić osobistości denata. Nawet ludność wielce interesowała się faktem. Mówiono w okolicy, że każdego obowiązkiem jest dopomódz do wykrycia tej zagadkowej zbrodni.

Zeznaje dalej Bajraczuk, strażnik z Kłomnic, który z racyi swojego urzędu, kazał wyciągnąć sofę z wody i asystował przy badaniu jej zawartości.

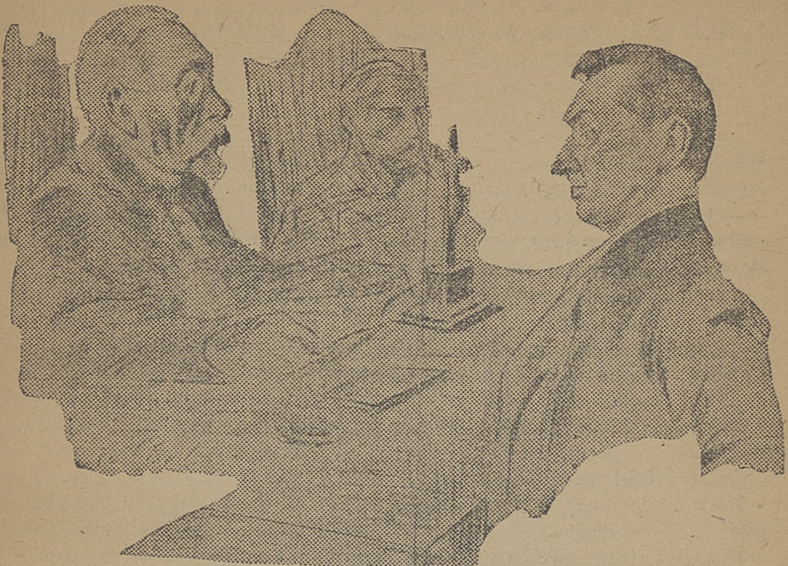
Prokurator zapytuje, czy w sofie była woda? Świadek odpowiada, że bardzo mało, nawet kołdra kolorowa, w którą morderca spowił trupa, była sucha.

Zofia Hiszpańska, właścicielka sklepu w Rudnikach, powtarza znane szczegóły o tem, jak wysoki jegomość, jadący w wiadomym czasie dorożką, zaopatrywał się u niej w kwas.

Paweł Sosnowski, właściciel innego sklepiku w Rudnikach, widział jadące dwie dorożki, a nawet udzielił przejezdnym objaśnień co do odległości, dzielącej Rudniki od Kłomnic. Widział na pierwszej dorożce pakę, a w drugiej księdza.

Przewodniczący wskazuje Macocha i zapytuje, czy go poznaje.

Sosnowski odpowiada, że wtedy było ciemno, więc twarzy księdza nie widział. Mniemał, że jakiś nowy wikary sprowadza się do Kłomnic.



O. Pius Przeździecki: "Chciałbym ulżyć doli dwóch moich nieszczęśliwych braci."
Przewodniczący Wołkow: "Ksiądz nie jest tu sędzią, lecz tylko świadkiem!"

Fr. Plaszczyk, właściciel wędliniarni we wsi Rędziny, doskonale pamięta przejazd dorożek.

Maksym Piwko, strażnik, otrzymał od naczelnika straży ziemskiej polecenie przeprowadzenia śledztwa. Potwierdza on zeznania złożone w śledztwie pierwiastkowem.

Naczelnik straży ziemskiej powiatu radomskowskiego. Czernogołowkin, opowiada, drogą jakich dochodzeń dotarł do Potoka w Częstochowie, u którego był kupiony kosz, łącznie z rogożami. Dowiedziawszy się dokąd przedmioty powyższe były odstawione, łącznie z pom. kom. drugiego rewiru w Częstochowie, Arbuzowem, udał się do klasztoru, osobiście zapytywał b. przeora Rejmana, pokazawszy mu fotografię sofy, czy ten sprzęt nie jest mu znany. B. przeor odpowiedział, że nigdy sofy tej nie widział. Z nikim więcej w klasztorze nic rozmawiał.

Prokurator prosi sąd o ustalenie daty na podstawie śledztwa pierwiastkowego, kiedy Czernogołowkin badał w Częstochowie dorożkarzy. Świadek nie pamięta, czy badal dorożkarza no. 31, czyli Piankę, zdaje mu się, że nie.

Członek sądu, Gubski, zapytuje, dlaczego jego podejrzenia padły w następstwie na no. 31?

Św. Policya częstochowska wymieniła mi wszystkich dorożkarzy, mających

w mieście złą opinię. Na ich liście był No. 31. Na kasyerów, gdy jechali temi dorożkami, zdarzały się częste napady.

Dr. Henryk Jasieński,

komisarz policyi krakowskiej, naczelnik ekspozytury stacyi kolejowej, mówi:

— Dnia 7-go października r. 1910 przed przyjściem pociągu w stronę Wiednia, otrzymałem wiadomość, że w pociągu, jedzie ścigany przez policyę rosyjską Damazy Macoch, znalazłem się przy pociągu i w jednym z wagonów ujrzałem księdza w czarnej sutannie z torebką w ręku.

Zapytałem go, czy jedzie z Warszawy.

Odpowiedział, że z Częstochowy.

Na zapytanie, czy jest Macoch, odpowiedział twierdząco.

Przeprowadzony do komisaryatu i zapytany o cel przybycia do Krakowa, tłumaczył swoje przybycie chęcią kupna ubrania cywilnego, poczem zamierzał udać się do Warszawy, celem poczynienia zeznań u gubernatora.

— Oświadczył, że chce się "wyspowiadać" przedemną ze swojej zbrodni. Opowiadał, że krytycznej nocy miał go Wacław Macoch uderzyć w twarz i wyjść do drugiego pokoju. Wtedy Damazy podpity i rozdrażniony wskutek otrzymanej obelgi pochwycił siekierę i rzucił się na niego.

Wiedząc od p. Arbuzowa fakt o wczesnem zaopatrzeniu się przez Macocha w siekierę, rzekłem:

— Co do zabójstwa w uniesieniu ksiądz skłamał.

— Wtedy Macoch wyznał, że zabił Wacława śpiącego, a w siekierę zaopatrzył się na czternaście dni przed zabójstwem, a uczynił to, w celu narąbania sobie drew.

W dalszym ciągu komisarz Jasieński opowiada zeznania, poczynione przez Damazego Macocha w kwestyi stosunków, które łączyły go z Heleną Macochową i zabitym jej mężem Wacławem.

Szczegóły mordu tak przedstawił kom. Jasieńskiemu D. Macoch:

— Pierwszy raz uderzyłem go, kiedy spał. Wacław zerwał się; wówczas uderzyłem go jeszcze trzy razy. Kiedy upadł i charczał, udusiłem go.

Badany co do kradzieży najpierw oświadczył, że pieniądze, znalezione przy nim w Krakowie, otrzymał od b. przeora Rejmana. Zeznanie to jednak zmienił przy badaniu powtórnem, mianowicie: z pieniędzy, w jego wyrażeniu "nieobligacyjnych," przywłaszczył sobie w ciągu 3½ lat, 5,000 rubli; że trzysta rubli, które miał przy sobie, to depozyt osoby, której nazwiska nie pamięta. Że w ciągu kilku lat przywłaszczył sobie pieniędzy klasztornych na jakieś 20,000 rb. Że łącznie z Olesińskim, po śmierci o. Gawełczyka, ukradł z jego celi 5,000 rb. w papierach, z której to sumy on wziął 2,000 rb. Olesiński zaś 3,000 rubli.

Przew. Czy pan zapytał Macocha, co robił z trupem.

Św. Tak. Odpowiedział on, że nie wiedział, co robić. Następnego dnia radził się Załoga, z którym od dwóch lat łączyły go węzły przyjaźni. Załóg poradził trupa wywieźć w koszu, a gdy Macoch udał się na obiad, Załóg poszedł na miasto i kosz nabył, ten jednak okazał się za mały. Wówczas Załóg przypomniał sobie o istnieniu na strychu starej kanapy, ale ta znów była za duża, więc postanowiono wypełnić jej zawartość także poduszką zakrwawioną i futrem zamordowanego. Następnie z porady Macocha wywieźli sofę pod Zawady."

Prok. Czy znalazł pan przy Macochu dokumenty Heleny Macochowej.

Św. Znalazłem trzy paszporty, ale nie pamiętam, na czyje były nazwiska.

Prok. Czy miał przy sobie Czas?

Św. Tak, ranne wydanie z wiadomością o pościgu. Bilet kolejowy w chwili, kiedy go aresztowałem, podarł.

Prok. Czy miał upoważnienie słuchania spowiedzi?

Św. Tak.

Prok. Miał przy sobie pozwolenie przeora na przebywanie za granicą?

Św. Tak.

Prok. A miał pozwolenie na broń?

Św. Nie pamiętam.

Prok. Pan rewidował pokój, w którym zatrzymał się Macoch w Trzebini?

Św. Tak. Znalazłem podarte listy. Macoch przyjechał w przeddzień i robił wrażenie człowieka, który na kogoś oczekuje. Wyrażało się to w częstem podchodzeniu do okna. Na stacyę Trzebinia, przybył wcześnie przed odejściem pociągu. Macoch robił wrażenie, iż szukał kogoś w sali klasy trzeciej. Szczegół ten zakomunikował świadkowi właściciel bufetu.

Prok. Czy Macoch podczas pobytu w Trzebini mógł udać się do Krakowa wcześniej?

Św. Od chwili przybycia do Trzebini miał trzy pociągi.

Na żądanie prokuratora p. Jasieński powraca jeszcze do świstków, które znalazł w pokoju w Trzebini. Były to kawałki listów Damazego Macocha do Krzyżanowskiej i jej do niego telegram dla "Kumcia" podpisany przez "Stanisławą" i oświadczeniem: "dziś przyjechać nie mogę,"—wreszcie kawałki fotografii, wyobrażającej Damazego Macocha w towarzystwie drugiego księdza i dwóch kobiet.

Prok. Macoch powiedział panu, że zaopatrzył się, w siekierę, aby narąbać sobie drzewek. Czy nie zwrócił pan jego uwagi, że przecież to było lato?

Św. Owszem, Macoch powiedział, że drzewka te były przeznaczone do futer przeciw molom.

Prok. Czy oskarżony zeznał przed panem, że zamordowanego przez siebie Wacława—rozgrzeszył?

Św. Tak.

Prok. Czy nie pytał pan Macocha jak wytłumaczył Załogowi obecność trupa w celi?

Św. On tłumaczyć Załogowi nic nie potrzebował, bo, w jego przekonaniu, działali oni wspólnie. (Macoch, uśmiecha się na ławach). Miał on powiedzieć Załogowi, że podczas sprzeczki strzelił do Wacława z rewolweru, a widząc, że się męczy, dobił go toporem.

Według zeznań kom. Jasieńskiego Macoch był kilkakrotnie meldowany w Krakowie. Raz przyjechał z Krzyżanowską pod fałszywem nazwiskiem. W r. 1909-ym ze Starczewskim i Krzyżanowską z d. 23-go na 24-ty września, tj. noc, w której skradziono koronę na Jasnej Górze, spędził w Krakowie. Kiedy zrana służący przyniósł im gazetę z wiadomością o kradzieży, Macoch i Starczewski przyjęli ją z obojętnością, która zdziwiła służącego, ponieważ wiedział, że ma przed sobą księży z Częstochowy. Ostatni raz Macoch był w Krakowie podczas uroczystości grunwaldzkich w r. 1910-ym.

Adw. Kleyna. Ile godzin trwało badanie Macocha?

Św. Od 3-ej po poł. do 10-tej w.

Adw. K. Bez przerwy?

Św. Z krótkiemi— koniecznemi dla posiłku.

Adw. K. Pan badał go sam?

Św. Tak.

Adw. K. Znalazł pan przy nim rozkład

kolei i jakiej? rosyjskiej, czy zagranicznej?

Św. Nie pamiętam.

Adw. Korwin Piotrowski. Czy Macoch spotykał się w Krakowie z Rybakiem?

Św. Nie wiem o tem.

Prok. Pytał pan o jego podróże?

Św. Owszem, z rozmowy wyszło, że w czasie znajomości z Krzyżanowską był w Lourdes, Abbazyi i Wiedniu.

Członek sądu Pawłowicz. Czy Macoch oskarżał przed panem Starczewskiego?

Św. Nie pamiętam.

Czł. sąd. O udziale Starczewskiego nie mówił?

Sąd ogłasza przerwę.

Po śniadaniu, które trwało blizko godzinę, do sali wchodzi Denisow, ubrany po cywilnemu, komisarz pierwszego cyrkułu Częstochowy. Staje on przed sądem pod strażą dwu konwojowych z wydobytemi pałaszami.

Świadek mówi:

— D. 12-go lipca 1910 r., w alejach wieczorem spotkałem Macocha. Nieco z lewej strony, patrzę, jedzie o. Damazy. Uderzyło mnie to, że wbrew swoim zwyczajom kłaniania się władzy,tym razem udał, że mnie nie widzi. Miał na oczach niebieskie okulary, których nigdy nie nosił. We środę po d. 12-ym lipca przyjechał p. Wankwist i opowiedziawszy mi o znalezieniu sofy, prosił o współdziałanie. Miał poszlaki, że sofa była wywieziona z warszawsko-wiedeńskiego hotelu w Częstochowie, co w następstwie okazało się mylnem. Sprawą tą oczywiście zainteresowałem się bardzo. Przedsięwziąłem śledztwo, w czem pomagali mi nawet przedstawiciele prasy. Około 20, dowiedziałem się, że przez Rudniki przejeżdżała dorożka z paką. Znaleźli się nawet tacy, którzy widzieli w dorożce Macocha ale nie przywiązywałem do tego wagi. Myśl, że Macoch ma jakiś związek ze zbrodnią, wydała mi się szaloną. Postanowiłem pojechać do Krakowa. Nie znając miasta, poprosiłem brata jednego z częstochowskich restauratorów, aby mi towarzyszył. W Szczakowie wypytywano mnie, kim jestem i po co jadę do Krakowa. Wyszedłszy z dworca, wiedziałem, że jestem śledzony. Były to czasy, w których szukano szpiegów wojennych. Celem podróży mojej było stwierdzenie słów p. Wankwista, stale łączącego trupa w sofie z osobą Macocha, że ten ostatni bawi w Krakowie. Nie znalazłem go tam, ale dowiedziałem się, że niedawno widziano go u Hawełki w towarzystwie kobiety. Z końcem sierpnia p. Czernogolowkin zwrócił się do mnie o przesłuchanie dorożkarza No. 31.

Pianko z początku wypierał się wszystkiego.

Ostatecznie jednak mówił, mi, że nie kazano mu wjechać na podwórze, ale stanąć za ogrodzeniem, dokąd w taczkach dostawiono ciężar. Następnie wsiedli do dorożki dwaj panowie, którzy w pierwszej chwili przełożyli pakę na furę włościańską, i pojechali nią dalej. On wrócił do Częstochowy. Nazwiska drugiego dorożkarza nie wiedział. Aresztowałem Piankę. Po upływie kilku dni jeden z dorożkarzy częstochowskich zawiadomił mnie na ulicy, że drugim uczestnikiem podróży, byl No. 27, Pawlik. Gdy go badałem, przyznał że był wynajęty z przed klasztoru, ale wrócił z Rudnik. Zaznaczył przytem, że oddawna zna Piankę. Skonfrontowałem oskarżonych. Wtedy Pianko zawołał, że będzie mówił, jak na spowiedzi; z podwórza wywiózł pakę, do wody pomagał wrzucić, ale mniemał,

że w pace są ukryte książki. W drodze powrotnej, Damazy Macoch kazał mu w lesie ręce skrzyżować na piersi i wykonać przysięgę, co też Pianko uczynił. W Radomsku Macoch zapłacił mu 30 rb. Podczas rewizyi u Starczewskiego znalazłem pakę listów, w pierwszych jednak chwilach nie spostrzegłem nic, coby zdradzało jego blizkie związki z Macochem. Ale po pewnym czasie wyrwałem mu z ręki list, w którym pozornie nic nie było. Wówczas zarządziłem rewizyę osobistą i znalazłem przy nim bardzo obfitą korespondencyę miłosną Macocha i Krzyżanowskiej. Powoli pewności nabrałem, że paka wyszła z klasztoru. Kiedy fotografię trupa pokazałem Starczewskiemu, przypatrywał się jej—mówię bez przesady—kwadrans, nie mówiąc ani słowa... Nawet prokurator trącił mnie nogą pod stołem, co miało znaczyć, że sprawa jest obrzydliwa. Wątpliwości już nie miałem, ujrzawszy w celi przeora kanapę tego samego typu, jak znaleziona pod Zawadami. Helena Macochowa podczas pierwszego zeznania oświadczyła, że była żoną Franciszka Macocha i ten na łożu śmiertelnem powierzył ją opiece Damazego.

Świadek, złożywszy zeznanie wyczerpujące, prosi sąd o wysłanie go natychmiastowe z powrotem do cytadeli. Prośbie tej staje się zadość.

Policmajster Częstochowy, Czesnakow, powtarza już znane szczegóły badania dorożkarzy.

W klasztorze świadek był w tej sprawie d. 19-go września, szukając śladów kanapy. Jednemu z mnichów, nie pamięta któremu, pokazał fotografię trupa, ale ten go nie poznał. Dopiero Cieśliński wyraził mniemanie, jakkolwiek nie kategoryczne, że są to zwłoki Wacława Macocha.

Badany Starczewski dopiero po namyśle powiedział, że to "zdaje się Wacław Macoch, brat przyrodni Damazego Macocha."

Kiedy wyjaśniło się, że kanapa pochodzi z klasztoru, a zabójcą jest Damazy Macoch, posłałem pomocnika komisarza, Arbuzowa, do Warszawy, aby zrewidował mieszkanie Krzyżanowskiej.

Dalej świadek opowiada treść wymienionych pomiędzy Starczewskim a Macochem depesz, wówczas, kiedy pierwszy widział, że władze nietylko są na tropie, ale mają pewność.

Starczewski zeznał, że "Dyzio" w telegramie oznaczało jego brata Dyonizego, który miał w owym czasie przyjechać do Częstochowy. Na zapytanie prokuratora świadek wyjaśnia, że rewidował, po porozumieniu się z przeorem Welońskim, wszystkie cele, strychy i piwnice. W celi o. Przeździeckiego nic nie znalazłem, u Starczewskiego zaś brauning, listy i 24 rb. W pokoju, w którym spał Macoch, w szafce znalazłem połowę spodni, dużo pustych butelek, a w piecu ślady spalonych rzeczy, ale jakich — świadek nie wie. Rewizya miała na celu przedewszystkiem wyszukanie topora. Świadek znalazł go w komórce na piętrze za kupą drzew. Świadek badał b. przeora i otrzymał od niego książkę dochodowo-rozchodową, a kiedy zażądał od kustosza Przeździeckiego księgi wpływów zakrystyjnych, ten odesłał go do Rejmana, a Rejman znów do Przeździeckiego i t. d. W ten sposób kilkakrotnie odsyłany przez jednego do drugiego książki nie otrzymałem. Dopiero, kiedy gubernator kategorycznie książki zażądał, ks. Przeździecki zawiadomił mnie w nocy, że książka się znalazła.

Na zapytanie prokuratora co do zachowania się Macochowej po przy-

wiezieniu jej do Częstochowy św. Czesnakow odpowiedział.

—Ujrzawszy fotografię trupa, udała zemdlenie. Wezwany lekarz orzekł, że Macochowa jest w stanie odmiennym i to zemdlenie jest bez znaczenia.

Adw. Chądzyński. Ile czasu upłynęło od czasu doręczenia panu książki przez Rejmana i Przeździeckiego.

Św. Kilka dni.

Adw. Ch. Jaki okres czasu obejmowały książki?

Św. Pierwsza — przeora lat piętnaście, druga nie pamiętam, ale była starą.

Adw. Korwin-Piotrowski. Pan powiedział, że p. Helena Macochowa udała wzruszenie, ujrzawszy fotografię trupa. Czy pan wątpi o szczerości Heleny Macochowej?

Św. Tak.

Adw. P. A dlaczego?

Św. Bo było udane.

Adw. P. A dlaczego udane—może nareszcie świadek wyjaśni?

Św. Jeszcze nie skończyłem—proszę bez komentarzy...

Adw. P. To nie pańska rzecz... nie ma pan prawa robić mi uwag, jeżeli pan jest niezadowolony, proszę zwrócić się do prezesa.

Ostatecznie adw. Piotrowski stwierdza, że opinie świadka, co do nieszczerości Macochowej, są subjektywne, nie oparte na niczem poważnem.

Członek sądu Gubskij. Posyłał pan po lekarza?

Św. Tak.

Sąd ogłasza pauzę o godz. 4 m. 45.

Po pauzie przewodniczący zawiadamia prokuratora, że na liście świadków są dwaj więźniowie, sąd zaś okręgowy wojenny żąda prędkiego odesłania ich z powrotem.

Prokurator zgadza się na przesłuchanie ich.

Osiemnastoletni, Roman Wadas, na zapytanie przewodniczącego, odpowiada, że zajmuje się kontrabandą wspólnie z ojcem, który przeprowadził Damazego Macocha przez granicę.

Prok. Jak długo idzie się do Trzebini od miejsca, w którem przechodzicie granicę.

Św. Dwie godziny.

Wincenty Wadas, ojciec poprzedniego, także pod strażą.

Przew. Zajmujecie się kontrabandą?

Przew. Pewnie... w więzieniu... A dlaczego jesteście uwięzieni?

Św. Zaaresztowano mnie w synem zagranicą.

Przew. Dlaczego jesteście pod sądem wojennym.

Wadas opowiada, że pewnej nocy kilku ludzi, w ich liczbie, Macocha, przeprowadził przez granicę. Otrzymał za to wódki i 10 rb.

Sąd poleca obu świadków odwieźć do Warszawy.

Dzień trzeci.

Dnia 29 lutego zbadano ogółem 28 świadków.

Roman Wadas.

Sprowadzono go pod strażą, gdyż znajduje się w więzieniu, jako oskarżony o kontrabandę, dokonaną wspólnie z żołnierzem straży pogranicznej. Liczy on zaledwie lat 15.

Prezes: Czem świadek się zajmuje?

Wadas: Kontrabandą. (Śmiech w sali).

Prezes: Co wie w tej sprawie?

Wadas: Szedłem pewnego razu drogą i spotkałem Żyda, który mi kazał zawołać ojca, bo jeden ksiądz do niego ma interes.



O. Damazy Macoch z Heleną Krzyżanowską i jej siostrami.

Posłuchałem Żyda i zawołałem ojca.

Prokurator: Czy daleko od tego miejsca, skąd go ojciec odwiózł do Trzebini, t. j. od wsi Płoki?

Świadek: 2 godziny drogi.

Wincenty Wadas,

ojciec poprzedniego, gospodarz wsi Płoki, zeznał, iż jakiś Żyd obiecał mu 60 rb. za przeprowadzenie jakiegoś księdza przez granicę. Zgodził się i przeprowadził.

Na zapytanie prokuratora, czy daleko od nich do Trzebini, odpowiedział, że 4½ wiorsty.

Arbuzów,

komisarz policyjny z Częstochowy, zeznaje, że dowiedział się od naczelnika straży ziemskiej pow. radomskowskiego, iż ten potrzebuje pomocy w odnalezieniu tych kupców, od których nabyto rogoże do obszycia sofy.

Po cechach (signa) na rogożach dostrzegłem, iż pochodzą one od Potoka, kupca częstochowskiego, do którego się udano i dowiedziano, że jakiś człowiek kupił od niego największy kosz i kilka rogożek.

W dalszym ciągu Arbuzów opowiada szczegóły, znane z aktu oskarżenia.

Prokurator zapytuje o rewizyę, jakiej dokonał świadek w mieszkaniu Heleny Macochowej w Warszawie. Świadek zeznaje, iż rewizyi wzmiankowanej dokonał, ale o Macochu i Helenie niczego na razie od służącej dowiedzieć się nie zdołał; dowiedział się o ich wyjeździe z Warszawy każdego z osobna dopiero w kilka godzin po fakcie.

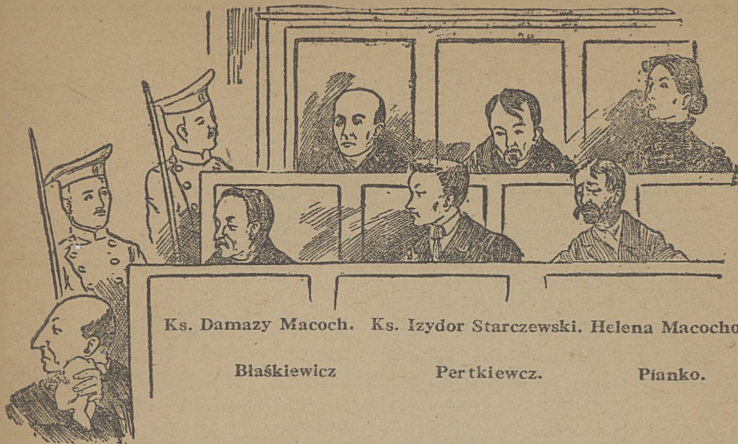
Łabudziński,

naczelnik powiatu z Olkusza mówi, że 5 października przybył do niego wikaryusz parafii olkuskiej, prosząc o przepustkę za granicę. Dalej świadek opowiada, iż o sprawie jasnogórskiej dowiedział się z gazet. Wkrótce przyszedł do niego referent biura powiatowego z relacyą, iż chodzi pogłoska, jakoby po mieście kręcił się jakiś zakonnik jasnogórski, który jadł w restauracyi, kupił wódkę, wynajął furmankę i wyjechał w kierunku kordonu pogranicznego. Obawiając się, czy wydany wikaryuszowi półpasek nie został użyty dla owego zakonnika, świadek niezwłocznie puścił konnych strażników w kierunku wskazanym z poleceniem aresztowania, gdyby spotkali na kordonie jakiegokolwiek księdza i odstawienie do Olkusza. Podejrzenia były niesłuszne, gdyż wikaryusz skorzystał sam z półpaska. Wtedy świadek wybrał się na polowanie z psami gończemi na pogranicze, sądząc, że może gdzieś — na uboczu od komory — natrafi na ślad owego już przez władze poszukiwanego zakonnika. Widocznie było zapóźno, gdyż wszelki ślad zaginął.

Tego samego dnia przybył do Olkusza ówczesny pomocnik komisarza policyjnego Arbuzów, który od Proszowic w ślad za Macochem dążył. Dowiedziawszy się, że jakiś zakonnik udał się w stronę granicy, Arbuzów podążył za nim. Tymczasem z polecenia świadka z Trzebini władze krakowskie były ostrzeżone telefonicznie, aby się przygotować na ujęcie Macocha.

Kotowski,

agent policyi śledczej z Piotrkowa, opowiada znane z aktu o skarżenia szczegóły o poszukiwaniu zabójcy, o znalezieniu dorożkarza Pianki, o wy-



Ks. Damazy Macoch. Ks. Izydor Starczewski. Helena Macochow

Błaśkiewicz Pertkiewcz. Pianko.

Ks. Bazyli Olesiński.

jeździe do Krakowa i badaniu tam ujętego Macocha.

Świadkowi zadawał pytania prokurator o pewne szczegóły, poczem adw. Chądzyński, obrońca Bazylego, zwrócił uwagę Kotowskiego, że w zeznaniu wyraził się tak, jak gdyby podejrzewał Olesińskiego, iż ten wysłał z Częstochowy do Warszawy depeszę, ostrzegając Damazego o ujęciu dorożkarzy. Świadek wyjaśnia, że wraz z komisarzem policyi Denisowem na Jasnej Górze byli u ojca Bazylego, któremu powiedzieli poufnie, iż na ślad zbrodniarzy natrafiono, i że dorożkarze, którzy wieźli sofę z trupem, są już aresztowani. Że zaś, według świadka, nikt o tem nie wiedział gdyż nikomu, prócz Olesińskiego o tem nie mówiono i dorożkarze w rzeczywistości nie byli jeszcze aresztowani, więc taka depesza mogła pochodzić tylko od Bazylego. Dodaje wreszcie Kotowski, że przypuszcza, iż Bazyli wiedział o zabójstwie Wacława Macocha, bo, gdy go świadek spotkał pewnego razu na stacyi w Częstochowie i pokazał mu fotografię trupa z sofy, to Bazyli, przyjrzawszy się fotografii, prosił, aby mu jedną podarował, co też świadek chętnie uczynił, mając tych fotografii dużo.

Golis,

dorożkarz z Częstochowy opowiadał, że, wracając od strony Rudnik wieczorem, spotkał Pawlaka, wiozącego jakich dwóch ludzi, i Piankę z jakąś paką. Świadek przed tem spotkaniem woził Damazego, Wacława i Helenę do Lipia, za co otrzymał rb. 15, t. j. tyle, ile zażądał. W drodze widział, jak Damazy całował Helenę przy Wacławie, który się tem nie gorszył, mówiąc, iż po weselu Damazy, jako kuzynkę, całować Helenę może (Helena podczas tego zeznania serdecznie roześmiała się).

Obrońca Bazylego, adw. Chądzyński zapytuje, czy świadek z agentem policyjnym rozmawiał w tej sprawie?

Golis zeznaje, iż rozmawiał z Kotowskim.

Obrońca Korwin-Piotrowski: — Czy Damazy mówił, iż całuje Helenę jako krewną?

Świadek: Tak!

Stanisław Pawlak,

dorożkarz z Częstochowy. Gdy stał pod Jasną Górą, wsiadł do jego dorożki ks. Damazy z jakimś człowiekiem i kazał się wieźć w kierunku rogatki warszawskiej. Po przybyciu do rogatki, Damazy kazał się wieźć do Rudnik Pawlak po drodze minął Piankę z paką, i na żądanie Macocha stanął przed sklepem w Rudnikach z którego wyniesiono im 3 butelki z kwasem; każdy wypił po jednej butelce.

Zdziwiło świadka, że w drodze człowiek cywilny mówił do Damazego "ty," prosząc go o papierosa.

— Sądziłem jednak, — dodaje świadek — że to brat, albo jakiś krewny, skoro ma taką śmiałość.

W tym czasie — mówi dalej Pawlak — nadjechał Pianko z paką. Damazy z nieznajomym wysiedli, dał świadkowi za dorożkę 3 rb. i kazał wracać do domu. Świadek zażądał jeszcze rubla, którego mu dodano.

Poczem Macoch z nieznajomym wsiedli do dorożki Pianki i pojechali dalej.

Sabok,

magazynier kolejowy w Częstochowie, zeznał, że sędzia śledczy zgłaszał się o sprawdzenie, czy z pewnej stacyi odebrane były jako towar — kosze, obszyte w rogoże, dla Potoka. Żądanych informacyi świadek udzielił.

Szlama Potok,

kupiec z Częstochowy, opowiada, iż otrzymywał z Rosyi kosze w rogożach i gdy przyszedł do niego naczelnik straży ziemskiej z Radomska z komisarzem policyjnym Arbuzowem i zażądał frachtu z pewnej partyi towaru, to świadek nie mógł go znaleźć i prosił, aby po owe informacye zwrócił się na kolej. Wtedy został aresztowany. Na drugi dzień przypomniał sobie, że jakiś chrześcianin kupił od niego kosz i rogoże.

Prokurator: Czy świadek nie dowiadywał się od nabywcy, dla kogo kupuje kosz i rogoże?

Świadek: Gdy nadeszła dorożka po ów kosz, wtedy, nie wiedząc, czy klient będzie zadowolony z kosza, który był nieco zbutwiały, zapytałem się, dla kogo przeznaczony jest ów kosz, i otrzymałem odpowiedź, iż dla klasztoru jasnogórskiego. — Za kosz otrzymałem 4 rb. a za rogoże 45 kop.

Na zapytanie prokuratora, czy żona świadka chodziła do klasztoru i po co, świadek zeznaje, że chodziła szukać kupującego kosz i że żona sama lepiej to powie.

Na pytanie adw. Kleyny o godzinę, w której kupowano kosz i rogoże, świadek oznajmił, iż pomiędzy 11 a 12 w południe.

Żona Potoka,

opowiadając mniej więcej to samo, co mąż, zasłabła, usiadła na krześle, napiła się wody i, za zgodą prezesa sądu, odpowiadała siedząc. Uzupełniając świadectwo męża, zeznaje, iż przy kupnie kosza i rogoż była obecna i brała pieniądze, kosz był zbutwiały, pytała, dokąd kosz idzie; nabywca mógł mieć lat około 30, wygląd pospolity; kosz zabrano na dorożkę.

Na pytanie prokuratora, czy chodziła do klasztoru, objaśniła, iż — bojąc się pogróżki naczelnika straży ziemskiej o aresztowaniu męża, zajęła się

gorliwie wynalezieniem człowieka, któremu towar sprzedała.

W klasztorze dowiedziała się, że kosz był przywieziony do państwa Malc, których córka wychodzi zamąż; kosza tego jednak widzieć nie mogła, gdyż oświadczono jej, że kosz był kupowany, ale nie u niej i wysłano go z rzeczami do Sieradza.

O swoich poszukiwaniach opowiedziała policyi.

Floryan Wójcik,

były lokaj w klasztorze, oświadczył, że obsługiwał oo. Bazylego, Damazego i Bonawenturę, że pewnego razu zawołał go Załóg, aby pomógł wynieść pakę z rzeczami. Paka ta stała w celi Damazego przy drzwiach, obszyta w rogoże, tak, iż nie przypuszczał, że to może być znana mu sofa.

Pytany przez prokuratora, świadek oznajmia, iż wspólnie z Załogiem i Rogusiem znieśli ową pakę do dolnych schodów, ale że była bardzo ciężka, więc świadek do pomocy zawołał odźwiernego Błasikiewicza. Za pomoc tę Wojcik otrzymał od Damazego 50 kp. Pakę wstawiono do dorożki, Damazy wyszedł z klasztoru i wrócił na drugi dzień; potem znowu wyjechał i wrócił za 2 tygodnie.

Adw. Kański pyta, czy nie ciekła krew i czy nie czuć było nieprzyjemnego zapachu z sofy. — Świadek mówi, że krwi nie widział i zapachu nie czuł.

Adw. Kański: Dlaczego świadek niedoniósł nic policyi, gdy dowiedział się, że sofę z trupem wykryto pod Zawadami.

Świadek: Nie przypuszczałem wcale, aby to była ta sama paka, którą wynosiłem, gdyż z klasztoru nieraz paki wynoszono.



Wacław Macoch.

Na zapytanie obrońcy Rudnickiego, czy Pianko okazywany służbie klasztornej, ubrany był po dorożkarsku, czy też w ubranie cywilne, świadek powiada, że zwyczajnie. Pianki nie znał.

Na pytanie adw. Chądzyńskiego, jak długo Załóg był jeszcze w klasztorze po wyniesieniu paki — świadek zeznaje, iż 2 tygodnie.

Toczyłowski,

lokaj klasztorny oświadcza, iż szedł po kolacyę dla przeora Welońskiego, któremu usługuje, do kuchni, wtedy spotkał, jak nieśli ową pakę i wołali go do

pomocy, ale że on nie bardzo lubi dźwigać ciężary, więc też odmówił i poszedł czemprędzej dalej, aby go do pomocy nie skusili. W co była paka owinięta, świadek nie zauważył. Na trzeci dzień po wyniesieniu owej paki pytał Załoga, co tam było; odpowiedziano mu, iż brat ks. Izydora ożenił się z Malcówną, i że zapakowano w tę pakę rzeczy, jakie były dla niego nabyte i wywieziono.

Na pytanie adw. Kańskiego, Rudnickiego i Chądzyńskiego, świadek objaśnia, że dobrze nie pamięta, bo to już dawno, zeznania zaś jego na śledztwie pierwiastkowem, jako świeże, są ważniejsze i lepsze.

Po dokonaniu zeznań świadek prosił, czy może zadać pytanie Błasikiewiczowi, lecz sąd prośbie odmówił (zapytywaliśmy o co chciał pytać, chodziło świadkowi o dowiedzenie się, gdzie Błasikiewicz podział pewien przedmiot w klasztorze).

Kocela,

b. lokaj o. Rejmana oświadcza, że sofa była wyniesiona z przedpokoju Nr. 1 na korytarz, na którym dosyć długo stała. Jak wyjeżdżał Załóg, świadek pytał go, dokąd jedzie, otrzymał odpowiedź, do Ameryki. — Innych szczegółów nie pamięta, zresztą potwierdza zeznania dawniejsze.

Ks. Aleks. Dakowski,

proboszcz parafii Parzymiechy, o sprawie całej nic nie wie; wie tylko, iż okazana pieczęć jego parafii była fałszywa.

Przynoszą na stół prezydyalny dowody rzeczowe o ślubie i śmierci Macocha, opieczętowane.

Prezes, okazawszy sądowi i obrońcom całość pieczęci, dokonał otwarcia. Na dowodzie, sfałszowanym przez Damazego Macocha — ks. Dakowski stwierdził swój podpis fałszywy i pieczęć fałszywą. Pieczątka fałszywa różni się od prawdziwej tem, że jest nieco większa i zrobiona z metalu, gdy prawdziwa jest kauczukowa.

Adw. Korwin-Piotrowski zwrócił sądowi uwagę, że pieczęć fałszywa jest zupełnie podobna do prawdziwej.

Przewodniczący stwierdza, że prawdziwa pieczęć jest nieco mniejsza.

Śledztwo sądowe jest dość przewlekłe. Na dziś do zbadania przeznaczono 38 świadków. Rozpoczęto je o godz. 11.

Roch Macoch,

ojciec zabitego Wacława, budzi ogólne zainteresowanie. Na widok jego Damazy wyjmuje chusteczkę i opiera na niej czoło, tak, że widać tylko z ławy łysinę głowy oskarżonego. Mogło się wydawać, że Macoch skruszony, płacze, ale co chwila wysuwał prawe oko, bystrze przyglądając się świadkowi, nadstawiał ucha.

Roch Macoch jest gospodarzem we wsi Danków i wójtem gminy Lipie, opowiada wyraźnie i treściwie.

— W końcu maja lub początku czerwca 1910 r. otrzymałem list od ks. Damazego, który mnie wzywał do klasztoru, zawiadamiając, że syn mój Wacław, chce się żenić. Na drugi dzień pojechałem i kiedy Damazy powiedział mi o zamiarze Wacława, spytałem się, co to jest za jedna ta osoba, z którą syn się chce połączyć. Damazy odpowiedział, że ją zna dobrze, jest to panna z porządnej familii. Rzekłem na to: Ha, ja tam nic przeciwko temu nie mam. Wacław ma lat 25, niech się żeni. Wierzę księdzu, że chce jaknajlepiej dla Wacława.

— A może chcecie zobaczyć przyszłą żonę Wacława? — zapytał ks. Damazy.

— Dlaczego nie — odpowiedziałem.

Poszedł więc ks. Damazy na dół ze mną i pokazał mi pannę. Obejrzałem i powiadam: Kiedy ksiądz daje słowo, że panna z dobrej rodziny, to niech tam będzie.

Jednakże Roch Macoch powróciwszy do domu napisał do Wacława aby był ostrożny w wyborze żony.

— Ks. Damazy powiedział mi, że ślub odbędzie się 11 czerwca w Warszawie, spytałem dlaczego nie w Częstochowie?

— Panna mieszka w Warszawie, a i tak ślub będę im sam dawał.

— Podziękowałem, a kiedy zapytał, czy na ślub przyjadę odpowiedziałem, że nie mogę, bo jestem chory i do Warszawy za daleka dla mnie droga.

W dniu 11 czerwca wysłałem do syna telegram z życzeniami od siebie i od całego domu.

W tym czasie córka moja zamężna powiła dziecko i miał być chrzest, którego miał dopełnić Damazy, ale z powodu wyjazdu na ślub, chrztu dopełniono, kiedy w d. 15 czerwca przyjechał Wacław z żoną i towarzyszył mu Damazy. Młode małżeństwo trzymało dziecko do chrztu, a chrzcił je Damazy.

Widziałem się później z synem na ulicy w Częstochowie, mówił, że wyjedzie trochę z żoną za granicę, następnie w d. 6 lipca otrzymałem od syna list z pozdrowieniem, do którego przyłączyła się jego żona.

Tu świadek na pytanie prezesa odpowiada, że po odwiedzinach Wacława z żoną, drugi syn mu mówił, że ksiądz Damazy chciał ożenić z tą samą kobietą, co ożenił Wacława, brata swego Franciszka.

— W końcu października — mówi dalej świadek — przyjechał do Dankowa naczelnik straży ziemskiej pow. częstochowskiego i stanął u księdza proboszcza. Zawołano tam mnie i naczelnik powiedział:

— Wójt pojedzie ze mną do Lipia.

Nie mówił mi na razie poco, a ja, jako swej władzy, usłuchałem i pojechałem z naczelnikiem. Było to wieczorem. Dowiedziałem się następnie, że ma być dokonana rewizya u ojca ks. Damazego, Pawła Macocha.»

Ci Macochowie są krewnymi wójta z Dankowa w trzecim stopniu (jak sam Roch Macoch pokrewieństwo to określa).

— Przyjechawszy do Lipia, zastaliśmy drzwi chaty Pawła zamknięte. Zapukałem, a kiedy się ktoś odezwał, powiedziałem: Nie róbcie wstrętu, to ja, wójt.

Dokonano rewizyi i znalezione listy zabrał naczelnik, potem robiono rewizyę u brata Damazego w Rembielicach.

Wkrótce potem świadek otrzymał wezwanie od naczelnika, żeby się stawił do Częstochowy, naczelnik kazał mu iść do kancelaryi policmajstra i tam prokurator pokazał mu fotografię.

— Ani mi przez myśl nie przeszło, żeby Wacław miał być zabity, gdyż przypuszczałem, że jest na posadzie, to też na razie nie poznałem kogoby mogła przedstawiać fotografia, dopiero kiedy opowiadziano mi, że pod Zawadami znaleziono ciało nieznanego człowieka, przyjrzałem się lepiej fotografii i dopiero poznałem, że jest podobieństwo do Wacława. Dla pewności wziąłem fotografię do domu. I tu dopiero powstał krzyk i lament, gdyż wszyscy poznali Wacława.

Na zapytanie prezesa, kiedy ostatnio pisał do świadka Damazy Macoch, świadek odpowiada, że w d. 17 sierpnia

1910 r. na swoje imieniny otrzymał od ks. Damazego list z powinszowaniem, pieczątki pocztowe przyłożone były w Warszawie i w Granicy.

— Sądziłem, że wszystko jest w porządku, tymczasem...

Dalej świadek opowiada, że jak się przekonał, iż zwłoki syna pogrzebano bez obrządku chrześciańskiego, na niepoświęcanej ziemi, zdjęła go rozpacz i gorycz.

— Wyjednałem od jaśnie pana gubernatora pozwolenie na przeniesienie ciała z niepoświęcanej ziemi na poświęcaną i odbył się pogrzeb, jak się należy.

Prezes: Czy świadek był w dobrych stosunkach z Damazym?

Św.: W dobrych.

Prezes: Czy świadek wiedział, że Helena była kochanką Damazego?

Św.: Gdybym był wiedział, tobym zapobiegł małżeństwu.

Prezes: Na jakiej stopie zażyłości świadek był z ks. Damazym?

Św.: Dawał ślub dwom moim córkom, chrzcił wnuki, bardzo był dla nas życzliwy.

Prokurator: Czy Damazy mówił za pierwszem widzeniem się ze świadkiem, iż dobrze zna Helenę?

Św.: Tak.

(Oskarż. Macoch sprawia wrażenie, jakby płakał, ale tai się z tem; Izydor Starczewski ukrył twarz w ławie i w tej pozycyi trzyma się stale, zrzadka ukazując zasępione oblicze ;tylko Macochowa cała zasłuchana jest w słowa dyskusyi sądowej, rzucając od czasu do czasu wzrokiem po sali).

Adw. Korwin-Piotrowski: Ile gruntu posiada świadek?

Św.: 12 i pół morga.

— Czy działy przeprowadził między dziećmi?

— Nie, grunt jest moją własnością.

Ekspert dr. Szancer: Czy świadek nie wie o jakich wypadkach choroby umysłowej w rodzinie Damazego Macocha?

Św.: Tak, jeden z krewnych lata po świecie, a zachorował rok temu brat młodszy Damazego na jakąś chorobę nerwową.

Prezes: Co to jest lata?

Św.: Ano taki niespełna rozumu.

Eksp. Szancer: Czy ojciec Damazego nie pił nałogowo?

Prokurator: Mam honor zwrócić uwagę, że tego rodzaju pytania eksperta nie wynikają ze sprawy.

Adw. Korwin-Piotrowski: W danej sprawie chodzi o wyjaśnienie, że Macoch był podczas zabójstwa w stanie zdenerwewania, ale zresztą, rzecz to obrony Macocha.

Adw. Kleyna: Pragnąłbym właśnie okoliczności te wyjaśnić i proszę o zadawanie świadkom pytań, co do tego, kto z rodziny Macochów był chory umysłowo?

Prokurator: Panowie eksperci wezwani zostali do określenia sposobu zabójstwa i stwierdzenia oględzin zwłok, a bynajmniej do określenia stanu psychicznego Macocha.

Sąd przerywa badanie świadka i wychodzi na naradę, poczem zaraz wchodzi i prezes oświadcza, że sąd pozwala obrońcy Macocha stawiać pytania co do chorób umysłowych w rodzinie oskarżonego.

Adw. Kleyna: Czy rodzice Damazego nie mieli skłonności do pijaństwa?

Św.: Nie.

Prezes: A sam Damazy?

Św.: Kiedy Damazy był pomocnikiem pisarza gminy, której jestem wójtem, nie pił, dopiero kiedy został księdzem — upijał się.

(Śmiech w sali).

Rodzina Macochów.



Franciszek Bronisław Macoch, brat zabitego Wacława.



Roch Macoch, ojciec zabitego Wacława.



Franciszek Paweł Macoch, brat Damazego Macocha.

Adw. Kleyna: A syn pański Jan, który był zagranicą, na co chorował?

Św.: Był chory na serce.

Franc. Bronisław Macoch,

syn poprzedniego, czerwony, jędrny, mieszka przy ojcu.

Potwierdza zeznania, złożone na śledztwie pierwiastkowem, w których fakty, jako pod świeżem wrażeniem, dobrze zapamiętał, dziś już wiele szczegółów zapomniał.

Prezes: Świadek poznał poduszkę i futro, znalezione w sofie?

Św.: Tak, były one własnością ks. Damazego.

— Sofę pan widział dawniej?

— Nie.

— W jakich stosunkach był Damazy z Wacławem?

— W dobrych.

— Przed ślubem widział pan Wacława?

Na jakiś dłuższy czas przedtem, może 3 miesiące.

— Czy nie mówił, że się żeni?

— Nie.

— Kiedy go pan po ślubie widział po raz pierwszy?

— Na chrzcinach w d. 15 czerwca. Wówczas byli u ojca we troje: Wacław, Damazy i Helena.

— Czy brat Damazego Franciszek był w Dankowie na chrzcinach?

— Nie był. Ale mówił mi zaraz potem, że chciał go Damazy ożenić z tą samą kobietą.

Adw. Kleyna: Czy jeden z braci Damazego jest chory umysłowo?

Św.: Jest chory, ale ściśle nie wiem na co.

Adw. Rudnicki: Czy pokazywano panu fotografię?

Św.: Pokazywano, poznałem.

Prok.: A czy brat Damazego nie zachorował ze zmartwienia, dowiedziawszy się o zbrodni?

Św.: Tego nie wiem.

Franciszek Macoch,

rodzony brat Damazego, silny brunet, kędzierżawy, twarz oliwkowa, krępy, nie podobny na ogół do Damazego.

Prezes: Czem się pan zajmuje?

Św.: Jestem bez zajęcia.

— Jakto, przecież pan jesteś pomocnikiem pisarza?

— Tak, byłem, ale napisano do gminy, aby mnie usunąć.

— Cóż pan robi?

— Jestem u ojca.

Dalej opowiada, że w grudniu r. 1909 Damazy chciał, aby ożenił się z Heleną, która mu powiedziała: Słuchaj pan, żebyś pan tylko nie był zazdrosny. Zaczął coś podejrzewać, że Helena jest kochanką brata, to go zraziło; podejrzenie oparł głównie na tem, że całowali się w jego obecności.

Prezes: Ile pan miał lat wtedy?

— Ośmnaście.

— Mówił Damazy o posagu?

— Tak, że Helena otrzyma 10 tysięcy rubli.

— Czy pan znał Wacława?

— Owszem, bardzo dobrze.

— Co pan wiedział o małżeństwie Wacława?

— Słyszałem, że Wacław żeni się w Warszawie, ale z kim nie wiedziałem.

— Był pan na chrzcinach u wójta?

— Nie byłem.

— Dlaczego pan opowiadał Rochowi Macochowi, że pan miał się ożenić z tą samą kobietą, co Wacław?

— Bo tak było.

— Czy pan poznał Helenę?

— Tak.

— Czy jestto ta sama osoba, która siedzi na ławie oskarżonych? Przyjrzyj się pan.

Świadek (odwracając się ku ławie): Ta sama.

Adw. Kleyna: Czy pański brat jest chory umysłowo?

Św. Tak, był w szpitalu, teraz leży w domu, mówi od rzeczy.

— Czy brat Damazy upijał się?

— Widziałem go pijanym parę razy. (Śmiech w sali).

Prezes: Czy nie zauważył pan kiedy starania się brata Damazego o względy kobiet?

Św. Nie widziałem.

Adw. Korwin-Piotrowski: Czy świadek nie widział w towarzystwie Damazego kobiet, np. pań Jeżewskiej, Ostrowskiej i innych, z któremi był na stopie poufałej, mówił im "ty" i całował się z niemi, ot wprost przez przyjaźń, jakto miał przyzwyczajenie.

Św. Nie widziałem.

— Czy do pańskiego paszportu nie była wpisana Helena Krzyżanowska?

— Nie była wpisana.

Helena Macochowa nachyla się do swego obrońcy i o czemś go informuje.

Adw. Korwin-Piotrowski: A czy nie brakowało w pańskiej książeczce paszportowej kartki, która została wyrwana?

Św. Nigdy tego nie było.

— Twierdzi to pan stanowczo?

— Stanowczo.

Feliks Filipowicz

jest felczerem w klasztorze, opowiada o opatrywaniu wrzodu na szyi Damazemu na jakiś czas przed morderstwem i o bandażach, któremi trup miał związane ręce i nogi, zgodnie z aktem oskarżenia.

Widział razem Damazego z Heleną i jego bratem, w końcu lipca lub początku sierpnia, t. j. po zbrodni, na spacerze za Jasną Górą w kierunku Lesińca, przedtem zaś może i widywał Helenę w klasztorze, ale jej sobie nie zapamiętał, wie, że dr. Szumer, lekarz

jasnogórski, zapisywał Damazemu brom na uspokojenie nerwów.

Adw. Kleyna: Czy świadkowi niewiadomo, że Damazy chorował na tyfus.

Św. Nie wiadomo.

Piotr Kloc,

malarz pokojowy na Jasnej Górze, opowiada, jak Damazy zwrócił się do niego po farby do zamalowania ścian w celi, przyczem powtarza to samo, co zeznał na śledztwie pierwiastkowem, a co jest znane z aktu oskarżenia.

— Po wymyciu przez Załoga podłóg w pokojach celi, umalowałem sam podłogi.

Józef Malinowski,

pomocnik Kloca, poprawiał pomalowanie po Damazym, zeznania jego nie różnią się od znanych szczegółów z aktu oskarżenia.

Józefat Bernatowicz,

stolarz na Jasnej Górze, pożyczył na krótki czas bezwartościową siekierkę Damazemu do obciosania czegoś, ale mu tej siekierki nie zwrócił, świadek zaś nie upominał się o nią.

— Jestem od 43 lat na Jasnej Górze, więc nie chodziło mi o to, że siekierkę wziął ksiądz, a Załóg mi mówił, że jest tam potrzebna do obicia czegoś. Ale nie była to siekierka, którą znaleziono po morderstwie. Moja była mniejsza.

Świadek wyrysował kształt siekierki pożyczonej Damazemu.

Prezes: A dlaczego żąda pan zwrotu siekierki, kiedy on nie była nic warta?

Św. Jakto dlaczego? Żądałem zwrotu dla porządku. Jak kto co bierze, powinien oddać.

Wogóle jowialne zeznania tego świadka budzą wesołość.

Śmieje się prezes, sędziowie, obrońcy, część oskarżonych, stół prasowy, publiczność, nawet Damazy, tylko Starczewski zachowuje kamienny spokój na twarzy.

Na wniosek prokuratora, sąd wzywa Damazego do wyjaśnienia kwestyi narzędzia, którem zabił Wacława.

Oskarż. Damazy.

— Nie pamiętam dobrze, ale, zdaje się, że były to wybory nowego przeora, pożyczyłem ową siekierkę do czegoś, leżała pod piecem. Zbijałem nią pudło do książek, które wziąłem do Warszawy, a po zabójstwie wyrzuciłem siekierkę na korytarz.

Wogóle Damazy owe wyjaśnienia dawał chaotycznie, jedno z drugiem bez związku, tak, że ostatecznie niewiadomo, czy zabił Wacława siekierką Bernatowicza, czy też tą, którą zdobyło śledztwo, a niewiadomego pochodzenia.

*

* *

O godz. 1 i pół prezes odczytuje list Bazylego Denisowa, który wyraża życzenie złożenia dalszych zeznań, dotyczących Izydora Starczewskiego i Pianki.

Sąd zadecydował zbadać go w tej mierze — jutro.

Starszy woźny sądowy, p. Krasucki, zawiadamia o przybyciu świadka Janiny Zasackiej, która wprowadzono. P. Zasacka tłomaczy się, że nie mogła na termin przyjechać, gdyż ma w domu dziecko chore. Kiedy prezes oświadczył, iż będzie zbadana jutro, p. Zasacka prosiła o przesłuchanie niezwłoczne, gdyż dziś jeszcze musi wracać do Łodzi do chorego dziecka.

Sąd zadecydował przesłuchać i świadek, trzymając rotę, złożyła sama przysięgę po polsku.

Janina Zasacka.

Pytania zadaje obrońca Macochowej, na które świadek zeznaje następująco:

— Helenę znałam blisko przez lat ośm. W latach 1903 — 1907, kiedy dyrektorem pierwszego Tow. pożyczkowo-oszczędnościowego, w którem pracowałam, był Szczygliński, Helena przychodziła niekiedy do tego Towarzystwa, ale, czy składała jakie oszczędności, nie wie i nic o tem nie pamięta.

Stefan Kubicki,

urzędnik kolejowy z Łaz, daje wyjaśnienia co do pobytu Damazego Macocha w Łazach u aptekarza Krawczyńskiego i wycieczce do Niegowonic przed wyjazdem Macocha do Krakowa. Szczegóły te są znane z aktu oskarżenia dodaje przytem świadek, że o pobycie, Macocha zawiadomił policyę w Częstochowie.

Na dwa tygodnie przedtem Damazy był u świadka, mówiąc, że otrzymał posadę w Warszawie, przyjechał go więc pożegnać. Znał i Wacława, którego stosunki z Damazym były raz dobre, raz złe.

Damazy bywał często u niego w domu i świadek często odwiedzał Damazego w celi, Wacława spotkał u Damazego trzykrotnie, widywał też Starczewskiego.

Prezes: Czy Damazy swatał siostrę pańską z Wacławem?

Św.: Nie.

(Macoch uśmiecha się).

— Czy pan widział kiedykolwiek podsądnego w towarzystwie kobiet?

— Raz w korytarzu klasztornem spotkałem Damazego z Wacławem i jakąś kobietą.

Prokur.: Czy mówił panu Damazy, że Wacław tak mu dokuczył, iż żałuje, że go ożenił z Heleną?

Św.: Tak jest, mówił.

— Czy pan wie co o stosunkach Damazego z Heleną?

— Nic nie wiedziałem.

— Czy pan poznajomił Wacława z siostrą swoją?

— Tak.

— Czy to prawda, że siostra pańska miała 5,000 rb. posagu.

— Nie.

Adw. Kleyna: W jaki sposób panu wyraził Macoch to, że Wacław mu się sprzykrzył?

Św.: Powiedział mi, że mam go dotąd (robi giest ręką przy szyi).

Adw. Kor.-Piotr.: Wszak siostra żony pańskiej nazywa się Umińska?

— Tak.

— Czy pan radził Macochowi porzucenie kapłaństwa i ożenienie się z żony siostrą, za którą dostanie 3,000 posagu?

— Nigdy tego nie radziłem.

Prezes: Czy Damazy lubił się upijać i z kobietami przestawać?

Św.: Trunki pił, ale nie miałem go za pijaka, o kobietach nie nie wiem.

Sędzia Gubskij: Jaki charakter miał Damazy?

Św.: Spokojny.

Apt. Krawczyński.

nadesłał zeznanie piśmienne, które prezes odczytał; potwierdza szczegóły co do odwiedzenia go przez Macocha w Łazach, znane z aktu oskarżenia.

Ks. Czapla,

proboszcz par. Niegowonice.

— D. 5 października o g. 10 rano, gdy byłem w kościele, przyszedł jakiś ksiądz z Łaz,o czem mnie powiadomiono. Kiedy wyszedłem do niego, zastałem zmordowanego, ledwie dyszącego księdza w czarnem ubraniu i ciemnych okularach. Poprosiłem go, aby poszedł na plebanię i odpoczął. W tym czasie przyjechał jakiś człowiek, prosząc o pojechanie do chorego. Usłyszał to ks. Macoch i ofiarował się pojechać za mnie, gdyż spieszy się do Olkusza, więc skorzysta z furmanki. Zgodziłem się na to, ksiądz pojechał, chorego wyspowiadał, komunikował i dał mu ostatnie namaszczenie olejami św. Ksiądz ten narzekał, że jest chory na serce. Po kilku godzinach przyszła policya i zawiadomiła go, że ksiądz ów był o. Damazym z Częstochowy, poszukiwanym o zabójstwo brata swego Wacława.

* *
*

Po zeznaniach Herszla Morgena, Bolesława Piechowskiego, Jana Banasika i Waleryi z Majchrów Piechowskiej, Jana Feliksika, Marcelego Testewicza, Cyryla Siniczenki, zbadana została

---

Maryanna Kosmala,

służąca Heleny Macochowej w Warszawie.

Zgodzona została przez kantor do p. Macochowej w d. 3 czerwca, zeznaje szczegóły znane z aktu oskarżenia.

Prezes: Czy pani wyjeżdżała dokąd?

Św. Przed ślubem wyjeżdżała do Częstochowy, skąd wróciła z księdzem i narzeczonym. Ślub odbył się zaraz, ucztę weselną sprawiono w hotelu Europejskim. Było to w sobotę, a następnie przez 3 dni bawiono się w domu.

— Czy świadek uważała księdza za krewnego pani?

— Tak jest.

— Czy Damazy sypiał w jednym pokoju z panią?

— Nigdy, pani zawsze spała w sypialni, a ksiądz w alkowie, przedzielonej pokojem stołowym.

— Czy matka pani bywała?

— Bywała i matka i brat.

— Czy długo pani mieszkała na Żelaznej?

— Trzy dni.

— Czy bywał ks. Damazy z Załogiem?

— Bywał i nawet razem przy jednym stole jadali co się pani mojej bardzo nie podobało, ale było to na wyraźne żądanie ks. Damazego.

Prokur. Czy po weselu zaraz się rodzina rozjechała?

Św. Wesele było w sobotę, a we wtorek wieczorem rozjechali się. W dziesięć dni później pan i pani wyjechali do Krakowa. Pewnego razu przyszedł list, wzywający pana do Częstochowy. Pani chciała z panem jechać, lecz pan powiedział, że na krótko jedzie i za dwa dni wróci, lecz nie wracał, natomiast przyjechał ks. Damazy z Załogiem. Po wyjściu Załoga z bratem pani na miasto, ks. Damazy miał jakąś z panią rozmowę, po której pani płakała, była smutna i zdenerwowana. Na zapytanie, dlaczego płacze, dowiedziałam się, że pan wyjechał do Ameryki, porzuciwszy panią.

Adw. Korwin-Piotrowski: Świadek zeznawał, że jakieś listy spalone zostały w piecu, poczem to poznał?

Świadek: Po popiele, pozostałym w piecu.

— Jak wyglądał ten ananas, który jedli i jak go się je?

— Ananas jest żółty, podłużny — odpowiada śmiejąc się Kosmala i je go się na surowo.

— Czy przychodziły jakie dwie kobiety do ks. Damazego?

— Przychodziły raz dwie kobiety, ale do mieszkania nie weszły.

Po pytaniach, zadawanych Kosmali przez adw. Rudnickiego, Chądzyńskiego, prezesa i prokuratora ogłoszono przerwę.

* * *

Po przerwie adw. Korwin-Piotrowski prosi o pozwolenie na zapytanie świadka Kosmalówny, dlaczego Macochowa kazała zamykać drzwi i niepuszczać nikogo z obcych?

Świadek: Żeby kto obcy nie wszedł do mieszkania.

Prezes zapytuje Macochową, czy ma coś do nadmienienia z powodu zeznań służącej?

Macochowa: Nie.

Wacław Krzyżanowski,

brat Macochowej, zeznaje, że w początku lipca zaproszony został przez siostrę do przygotowania męża na świadectwo z 4 klas.

Prezes: Czy był pan na weselu?

Świadek: Byłem.

W dalszym ciągu składa zeznania, które różnią się z zeznaniami na śledztwie pierwiastkowem.

Twierdzi, że Helena przyznała się, iż Damazy powiedział, że zabił jej męża.

* * *

Po trwającem blisko półtory godziny zeznawaniu Krzyżanowskiego, zbadano świadków: Kurnatowskiego, pomocnika naczelnika wydziału śledczego w Warszawie i Siemiona Lewonka oraz odczytano zeznanie o. Rejmana, znane z akty oskrżenia.

Dzień czwarty.

1 marca.

Dotychczas zbadano 48 świadków.

Św.: Wacław Krzyżanowski, brat oskarżonej Macochowej, badany bez przysięgi, opowiada, że właściwie siostra nie była pewna, co stało się z jej mężem. Chociaż powiedziała mu, że Damazy zabił jej męża, ale wobec tego, iż Damazy wciąż mówił do niej co innego, więc nie wiedziała co robić.

— Z Częstochowy pojechaliśmy, ja i siostra do Łodzi. Siostra bała się Damazego i prosiła, abym jej nie odstępował.

Prezes: Czy pan nie podejrzewał Heleny o stosunki z Damazym?

Świadek: Nie.

— Czy pana nie raziło to, że ks. Damazy okazywał siostrze takie względy?

— Bynajmniej.

— Czy pan wiedział, że siostra pańska otrzymywała pieniądze od Damazego?

— Nie wiedziałem.

— Czy pan słyszał co o Franciszku Macochu, mianowicie, że umarł?

— Na dwa lata przed zabójstwem otrzymaliśmy list od siostry, że wyszła zamąż za Macocha, z którym wzięła ślub na łożu śmiertelnem. Po tym nieboszczyku miały zostać fundusze, z których siostra utrzymywała się.

— Czy pan długo dawał lekcye Wacławowi?

— Bardzo krótko, gdyż 5 do 6 lekcyi, w tym bowiem czasie Wacław wezwany został do Częstochowy, więcej stamtąd nie powrócił.

— Jak się zachowywał Damazy względem Wacława?

— Damazy traktował Wacława po przyjacielsku.

— Czy pan nie zauważył uczucia zazdrości u Damazego o siostrę pańską?

— Nie.

— Czy pan znał Bulzackiego?

— Znałem, ale jakie stosunki łączyły go z siostrą, nie mówiła mi o tem. Podobno Bulzacki konkurował o siostrę.

— A co pan wie o liście od Bulzackiego?

— Siostra mówiła mi, że mąż jej Wacław znalazł ów list, nie chciał go oddać i groził, że pokaże księdzu. O ile sobie przypominam, treść listu robiła na nim wrażenie, iż określenie: chociaż znajomość z Bulzackim nie była zupełnie platoniczna, znaczy, że ją może Bulzacki pocałował.

— Po co Damazy wzywał Wacława?

— Aby mu doręczyć rb. 1,000.

Prokurator: Czy pan widział świadectwo o śmierci Macocha?

— Widziałem akt ślubu Kacpra z Heleną.

Prokurator: Czy Izydor był na weselu?

Świadek: Izydor na weselu był obecny, był on przyjacielem Damazego i znał Helenę.

W dalszym ciągu objaśnia, że bywał u Damazego w Częstochowie, jeżdżąc doń w chwilach wolnych z Łodzi.

Za ucztę weselną w hotelu Europejskim, zdaje się, że Damazy zapłacił 150—200 rb.

Przed śmiercią swoją na 7 dni Wacław był przez jeden dzień w Częstochowie. Ostatnim razem wyjechał w sobotę, a zamiast Wacława przyjechał we wtorek rano Damazy z Załogiem.

Tegoż dnia wieczorem Damazy, Helena i świadek byli u Jeżewskich, od 4 do 5 godzin. W czasie tej wizyty siostra po pewnym czasie oświadczyła, że jest chora i poszła do osobnego pokoju.

Prokurator: Jakie było umeblowanie w mieszkaniu siostry?

Świadek: W salonie fortepian, meble mahoniowe, 2 szafy dębowe, w sypialni dwa łóżka, dwie szafki nocne. W jadalnym stół, krzesła, otomana, kwiaty.

— Jaka była wartość mebli?

— Nie wiem, były porządne.

— Czy dużo miała garderoby?

— Kilka garniturów.

— W jakiej sukni brała ślub?

— W białej sukni.

Podprok. Katranowskij: W jaki czas po powrocie od Jeżewskich wyjechali do Częstochowy?

Świadek: Po dwóch dniach.

Adw. Korwin-Piotrowski: Nie wszystko co pan tu zeznaje podał pan na śledztwie pierwiastkowem. Czy pan nie powtarza tutaj faktów, o których pan słyszał bądź z opowiadań, bądź z gazet?

Świadek: Może... Bo to tak dawno...

— Czy pan potwierdza kategorycznie swoje zeznania na śledztwie pierwiastkowem?

— Potwierdzam, gdyż wtedy wszystko dobrze pamiętałem.

— Czy pan pamięta, jak siostra chciała jechać z Wacławem, po otrzymaniu ostatniego listu od Damazego do Częstochowy?

— Pamiętam, ale sam tłómaczyłem siostrze, iż nie warto, gdyż Wacław jedzie na jeden dzień, a tyś jest nie zdrowa.

— Czy pan pamięta, dlaczego siosta nie zawiadomiła policyi?

— Nie była pewna, co jest prawdą w opowiadaniu Damazego; czy to, że zabił Wacława, czy to, że Wacław wyjechał do Ameryki.

— Czy siostra pańska mówiła, że boi się Damazego?

— Mówiła, gdyż Damazy nosił przy sobie zawsze rewolwer, a nawet strzelając raz na spacerze, manipulował tak, jakby chciał do niej strzelić.

Adw. Kleyna: Jakie to było zajście Damazego z Wacławem na stacyi przy wyjeździe księdza po ślubie?

Świadek: Odprowadzaliśmy rodzinę na stacyę, ktoś opowiadał coś zabawnego i Damazy, który pił herbatę, zachłysnął się ze śmiechu i herbata prysnęła. Oburzał się na to Wacław, zaczął krzyczeć na Damazego, że nie umie się zachowywać w miejscu publicznem. Krzyk ten zwrócił uwagę innych pasażerów. Wziąłem siostrę i poszedłem z nią do domu, pozostawiając całe towarzystwo na dworcu.

— Ile było osób na weselu?

— Około 30.

Adw. Chądzyński: Czy w Łodzi świadek mieszkał osobno?

Świadek: Mieszkałem osobno, w r. 1905 byłem w 2 klasie, po wyjeździe siostry, zostałem sam.

Prokurator: Czy pan jeździł do Krakowa na Grunwald?

— Jeździłem.

— Za czyje pieniądze?

— Miałem swoje, a od siostry dostałem 15 rb. Razem miałem około 30 rb. Po drodze wstąpiłem do Damazego; w Krakowie bawiłem 2 dni.

— Czy pan dopisywał się na liście matki do siostry, posłanym w sierpniu?

— Nie.

— A czy matka pisała list do siostry w tym czasie?

— Nie wiem.

Prezes odczytuje kopię listu matki, która daje radę córce, aby się nie przyznawała do niczego. W końcu listu jest własnoręczny dopisek Wacława, który pozdrawia siostrę. Świadek nie pamięta o tym dopisku.

Ludwik Kurnatowski,

pomocnik naczelnika wydziału śledczego w Warszawie, powtarza to co zeznał na śledztwie pierwiastkowem.

Prokurator: Czy pan jeździł do Sieradza do Łukasza Starczewskiego, ojca Izydora?

Świadek: Jeździłem, na podstawie telegramu, znalezionego w rzeczach Heleny. Listu od Izydora Łukasz już nie miał, gdyż — jak mówił — zniszczył go; opowiedział tylko treść listu, pisanego przez Izydora, który żądał wysłania depeszy z Sieradza do Damazego w Warszawie.

Dalej świadek opowiada o rewizyi, dokonanej u Jeżewskich, o badaniu służącej Kosmalówny którą przetrzymał w wydziale śledczym 4 dni, aby wydobyć od niej zeznania, tyczące wyjazdu Damazego i Heleny. Służąca mówiła, że po wyjeździe męża, pani nie tęskniła i nie martwiła się o niego. U Jeżewskich były rzeczy Damazego i Heleny w kufrze, tam też była pieczęć parafii Parzymiechy. Dalej świadek opowiada, że służąca opowiadała o wyjeździe państwa w 2 różnych dorożkach, przyczem Damazy wyjechał w 5 minut po wyjeździe Heleny.

Na żądanie prokuratora konfrontowano Kosmalównę z Kurnatowskim i zapytano, dlaczego mówiła na śledztwie inaczej, niż obecnie. Odpowiada, że obecnie nie pamięta dokładnie, co zeznawała przedtem. Siedziała w areszcie 4 dni.

Adw. Korwin-Piotrowski: Czy to był dorożkarz jednokonny czy parokonny? Czy przy wynoszeniu rzeczy do dorożki miała w ręku świecę?

Prezes: Na Boga, panie adwokacie! Takie szczegóły są żbyteczne! Proszę o niezadawanie takich bagatelnych pytań.

Obrońca powołuje się na to, że i sąd również zapytuje się o różne drobiazgi, więc i obrońca chce sprawę pogłębić przez pytania podobne.

Kosmalównę zwolniono.

Prokurator pyta dalej Kurnatowskiego: Czy Damazy Macoch był meldowany w Warszawie?

— Nie, nie był meldowany.

Adw. Rudnicki: Może pan opowie więcej szczegółów z odwiedzin u Łukasza Starczewskiego w Sieradzu?

— Zastałem tam ojca i syna, brata Izydora, alumna, wydalonego z seminaryum.

— Czy umeblowanie mieszkania u starego Starczewskiego było kosztowne?

— Czy sklep zamożny?

— Sklep kolonialny dosyć duży i dobrze zaopatrzony, jak na takie miasto; w mieszkaniu dosyć ubogo.

— Czy pan zauważył, iż zeznania starego Starczewskiego były szczere?

— Nie wiem.

Adw. Chądzyński: W jakim celu Kosmalównę przetrzymywano w areszcie przez 4 dni?

— W tej sprawie.

*
* *

Największą sensacyę dziś budziły zeznania o. Piusa Przeździeckiego, na zeznania te głównie czekał p. Tiażelnikow.

Gubernator piotrkowski delegował umyślnie w charakterze sprawozdawcy dyrektora swojej kancelaryi, p. Nikołajewa.

Z punktu prawniczego rodzi się pytanie, kto występuje w charakterze poszkodowanego. W danym wypadku poszkodowanym materyalnie jest zgromadzenie oo. paulinów, które jako takie nie wystąpiło z akcyą cywilną. Ofiary paulinom składane są dobrowolnie, nad intencyą tych ofiar czuwa jedynie sumienie zakonników. Wpływy, o ile zostały obrachowane, są pod bezpośrednią kontrolą przeora, który w razie wykrycia przez siebie deficytu, sam to zbadać powinien i o ile brak ten połączony jest z przestępstwem t. j. dopuścił się kradzieży zakonnik, przeor winien zawiadomić wizytatora klasztorów, ten ostatni biskupa dyecezyalnego, a biskup w celu udowodnienia winy i ukarania na drodze sądu cywilnego sprawcy kradzieży, — zwraca się do władz odpowiednich. Tego wszystkiego nie dokonano, poszkodowany nie ujawnił swych pretensyi, czyli sprawa przywłaszczenia pieniędzy klasztornych, dochodzona ex-oficio być nie może. Takie jest zdanie prawników, którzy twierdzą, iż proces ten w ramach zbrodni morderstwa toczyć nie powinien.

Zakon, zdaniem tych samych prawników, musi być traktowany jak rodzina, zakonnicy są braćmi, przełożony jest tylko przedstawicielem zewnętrznym. Gdy nadużycie materyalne zostanie w rodzinie popełnione, nie zachodzi konieczna potrzeba ujawniania go, tembardziej, gdy rodzina ta nie zwraca się o pomoc na zewnątrz.

A skoro pieniądze nie stanowią własności publicznej, skoro one mogą być zużytkowane przez członków zgromadzenia dowolnie, czy to na osobisty użytek, czy na użytek ich siedzib, klasztoru, sprawa kradzieży, o którą poszkodowany się nie upomina — zdaniem prawników — nie powinna być w niniejszym procesie przedmiotem dochodzenia. I naprz. Macoch karany być może tylko za zbrodnię morderstwa.

Oczywiście poglądu takiego nie podziela, jak widać z przebiegu procesu, prokurator. Śledztwo sądowe chce zbadać, co się działo z funduszami paulinów, zbieranemi z ofiar dobrowolnych, ile ich było i jeśli je rozkradziono, to winni tego powinni być surowo ukarani, tak samo jak naprz. za kradzież pieniędzy z instytucyi publicznych.

Ale — zdaniem prawników — jeśli uznać zgromadzenie paulinów za instytucyę publiczną, obowiązaną zdawać wykazy z wpływów i wydatków przed władzami fiskalnemi, to z akcyą cywilną powinna wystąpić conajmniej prokuratorya Królestwa Polskiego.

Według tradycyi zgromadzenie paulinów, jak każdy zresztą zakon, fundusze wszelkie uważa za własne mienie, stąd też, jak to było dawniej, nabywało dobra ziemskie i przeznaczało je na cele według własnego upodobania.

Od niedawna zgromadzenie paulinów zobowiązano do umieszczania funduszów swoich w banku państwa, ale nie powiedziano, iż to jest jakiś kapitał żelazny. Miał więc to być fundusz na bieżącym rachunku.

Paulini na Jasnej Górze rządzą się regułą klasztorną, zatwierdzoną przez papieża Klemensa VIII w wieku 17. Reguła ta przez fakt utrzymania klasztoru paulińskiego z nowicyatem została usankcyonowana w akcie kasaty klasztorów w roku 1867.

Na tem tle przedstawiona kradzież pieniędzy klasztornych, — rzecz prosta — inaczej wygląda.

*

* *

Po wejściu sądu do sali, obrońca Macochowej oświadcza, że ma do wypowiedzenia dwie deklaracye, oczywiście takie, które uproszczą śledztwo co do pewnych punktów i które i zmniejszą trud prokuratorowi drobiazgowego dochodzenia w celu ujawnienia owych punktów.

Taki wstęp zaciekawił niezmiernie słuchaczy, więc po pauzie adwokat Korwin-Piotrowski w imieniu swej klientki, po uprzedniem z nią porozumieniu, oświadczył:

1) że Helena Macochowa była w bliskich stosunkach miłosnych z Damazym Macochem do czasu wyjścia swego zamąż za Wacława Macocha, którego po ślubie nie zdradzała i

2) że Helena Macochowa otrzymywała od Damazego Macocha pieniądze na utrzymanie, ale nawet na myśl jej nie przyszło, by Macoch czerpał fundusze z jakichkolwiekbądź źródeł niewłaściwych.

Po przyjęciu do wiadomości tych zeznań, sąd zarządza powtórne zbadanie b.komisarza policyi częstochowskiej Bazylego Denisowa.

Wprowadzają go pod strażą dwóch żołnierzy, Denisów jest bowiem oskarżony w sprawie pewnej organizacyi, która dokonywała napadów i t. d.

— Kiedy wyszedłem z sali przypomniało mi się wiele szczegółów, a ponieważ przysięgałem, więc pragnę je zeznać.

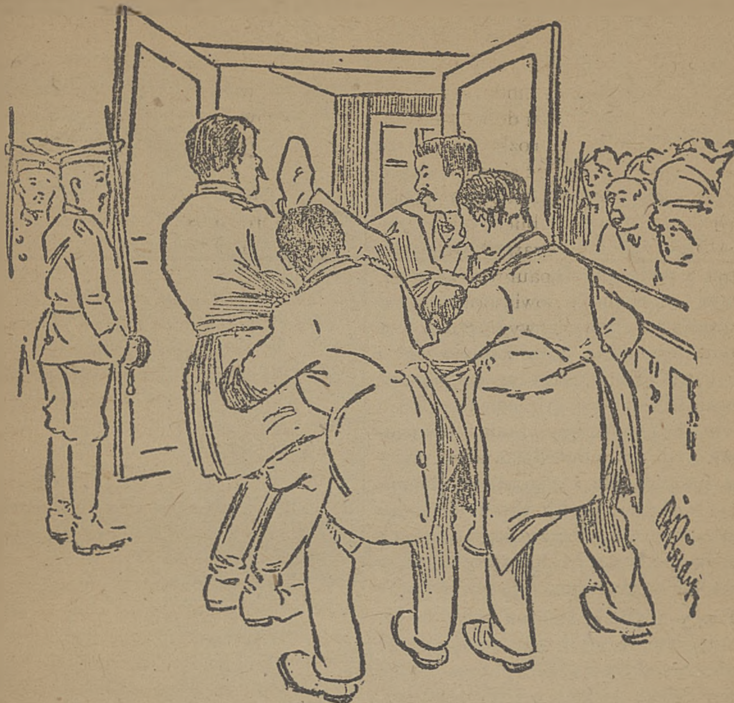
Dalej opowiada Denisów, że po otrzymaniu telegramu, pod adresem Izydora Starczewskiego: "Przejeżdżam przez Częstochowę, bądź na stacyi, Dyzio" udał się do celi Starczewskiego w klasztorze i zapytał od kogo ów telegram pochodzi?

— Od brata z Koła — odpowiedział ksiądz.

— Jakto od brata, kiedy telegram wysłany z Proszowic?

Na to Izydor odpowiedział, że są tam krewni, do których brat pojechał.

Około g. 4 po południu o to samo pytał się Izydora policmajster Czesnakow i otrzymał taką samą odpowiedź.



Zemdlonego Cyganowskiego wynoszą do sali świadków.

Oczywiście nie uwierzono Izydorowi i otoczono go dozorem, mianowicie w klasztorze pozostawiono policyanta w ubraniu cywilnem.

Około g. 2 po północy do kancelaryi Denisowa zatelefonował policmajster i polecił udać się mu niezwłocznie do klasztoru, gdyż otrzymał wiadomość, że Starczewski uciekł.

Pojechał na Jasną Górę, zastał strażującego policyanta, który oświadczył, że nikt się z celi Izydora nie odzywa, pomimo pukania. Jednakże Denisow dostał się do celi i zastał ks. Izydora.
Wówczas Denisow rzekł do niego:

— Daj mi ksiądz słowo kapłańskie, kto wysyłał telegram?

— Damazy — odrzekł Starczewski.
Dowiedziano się następnie, że Damazy ma przejeżdżać przez Gołonóg, ale wysłany tam policyant prawdopodobnie zasnął i nie widział go, chociaż w istocie przejeżdżał tamtędy, gdyż go poznała pewna dziewczyna. Ponieważ dano znać, że widziano również jakiegoś paulina około Mstowa, a jednocześnie dano znać z Łaz, iż tam jest Damazy, więc zarządził pościg w obu w skazanych kierunkach.

Adw. Rudnicki: Kiedy telegram Dyzia został otrzymany?

Św.: Po obiedzie.

Prokurator Niedźwiedzki wnosi, aby Starczewski w sprawie telegramu dał sam wyjaśnienia.

Prezes zadaje oskarżonemu stosowne zapytanie.

Osk. Starczewski.

— Było tak: kiedy otrzymałem telegram z podpisem Dyzio, sądziłem na pewno, że pochodzi od brata mego, ożenionego z córką pana Malca. Aby się o tem upewnić, poszedłem do Malca i pokazałem mu telegram, mówiąc, że pewnie młodzi wybrali się za granicę i stamtąd powracają. Malc, obejrzawszy telegram, powiedział, że wysłany jest z kraju, nie z zagranicy. Poszedłem następnie do ks. Przeździeckiego i pokazałem mu telegram, zapytując, co mam z nim zrobić? Odpowiedział, żeby pojechać na dworzec.

Kiedy przyszła policya i pytała się o telegram, Izydor odpowiedział, że pochodzi od brata, ale potem, kiedy znów poszedł do Malca, zrodziło się podejrzenie, iż telegram wysłany został przez Damazego, postanowił więc nie jeździć na kolej. Gdy w nocy przyszedł do jego celi Denisów i zapytał od kogo może być telegram, powiedział, że od Damazego, chociaż nie był tego pewny.

Prok.: Co pan robił na stacyi?

Oskarż.: Na stacyi nie byłem. Jechałem tylko do zegarmistrza po zegarek, ale kiedym się znalazł na moście kolejowym, dowiedziałem się, że są święta żydowskie, wówczas spotkał mnie policmajster częstochowski.

Prezes: O której godzinie otrzyma pan telegram i kiedy pana się o niego pytano?

Oskarżony: Telegram otrzymałem około godz. 11, a zapytywano mnie około g. 2—3 po południu.

Izydor Starczewski tłomaczył się zwieźle, jasno i w tłomaczeniu brzmiała szczerość.

*

* *

Prezes sądu odczytuje zeznania, złożone na śledztwie pierwiastkowem przez obecnego przeora paulinów ks. Justyna Welońskiego.

Między innemi świadek ten dał złe świadectwo moralności o wszystkich trzech księżach oskarżonych, twierdząc, że postępowanie ich było niezgodne z regułą, wobec czego powiedział im, aby usunęli się z klasztoru i przenieśli się do duchowieństwa świeckiego, przyczem dał im pozwolenie na staranie się o miejsca w archidyecezyi warszawskiej.

Z przedstawionych mu na śledztwie kosztowności nie poznał takich, któreby należały do skradzionych przedmiotów na Jasnej Górze, ale potwierdził, że Damazy mógł brać pieniądze ze skarbczyka i wota z kaplicy, jeśli miał podrobione klucze.

Podprok. Katranowskij prosi sąd o zadanie pytanie Damazemu, ile wnosił sam pieniądzy mszalnych rocznie do kasy klasztornej.

Prezes czyni odpowiednie pytanie.

Osk. Macoch. Ściśle określić nie mogę.

Prezes: Czy oskarżony wnosił takie pieniądze?

Macoch: Wnosiłem.

— Ile pan wniósł?

— Około 800 rubli.

Opowiada dalej, że trzech ich: on, Izydor i Bazyli nie chcieli należeć do komuny, gdyż kiedy wstąpił do zakonu, każdy ksiądz otrzymywał pieniądze do swego rozporządzenia, ale ostatecznie zmusił ich do należenia do ko-



Komisarz policyi Dennisow.

muny wysłannik papieski Lamosz. Wówczas Damazy zwrócił się do przeora Rejmana o uwolnienie go z klasztoru, na co ks. Rejman miał odpowiedzieć: "Ja ciebie nie puszczę, bo cię lubię."

O. Pius Przeździecki,

obecnie kustosz jasnogórski, magister teologii, od lat 16 w zgromadzeniu oo. paulinów, w sutannie czarnej, po której rozpięciu ukazuje się biały habit zakonny. Twarz inteligentna, mówi cicho.

Prezes: Niech ksiądz nam powie, co mu jest wiadomo w tej sprawie?

Świadek: Nie wiem od czego zacząć, proszę o zadawanie mi pytań.

Prezes: Jaki jest porządek zbierania pieniędzy?

Świadek: Mogę odpowiadać po polsku?

Prezes: Owszem, ale daleko lepiej po rosyjsku, w którym to języku ksiądz wyraża się bardzo dobrze, gdyż wszelkie tłomaczenia wychodzą nieściśle.

Świadek nieco się waha, poczem mówi płynnie po rosyjsku: Przyjmuje się ofiary dobrowolne na msze, zbierane są datki na tace i pątnicy składają do puszek.

Prezes: Mówił pan na śledztwie pierwiastkowem, że Damazy zbierał wśród pątników pieniądze i zabierał je sobie.

Świad.: Były takie pogłoski, ale sam tego nie stwierdziłem.

— Ile mógł zebrać za każdym razem?

— Ściśle tego nie można określić, ale zresztą, to nie jest mi wiadomo.

— Czy mógł takie pieniądze sobie przywłaszczyć?

— Żaden tego z braci zakonnej nie robi.

— Ale czy mógł je przywłaszczyć?

— O ileby nie spełniał obowiązku swego powołania, toby mógł.

— W protokóle śledztwa jest wzmianka, że ksiądz mówił, iż Damazy zbiera po rb. 1,000.

— Mówiono tak, ale napewno tego powiedzieć nie mogę, gdyż nie stwierdziłem.

Czy pieniądze zapisywano do ksiąg?

— Zapisywano.

— Czy pan mówił o trzech książkach?

— Tak.

— Jak pan przyjmował książki od Bazylego były one w porządku.

— Prowadzono je chaotycznie, zaprowadziłem inną; główną książka dochodów i wydatków byłą u prokuratora klasztornego, zakrystyan zaś miał książki do odnotowywania.

— Ile pieniędzy przyjął pan od Bazylego, obejmując po nim obowiązki kustosza?

— Przeszło 20,000 rubli.

— Gdzie przechowywano te pieniądze?

— W skarbczyku.

Tutaj świadek objaśnia jakie są zwyczaje co do kluczów skarbczyka, skarbca i zakrystyi, że przechowywane są one przez kustosza i nikomu nie powinny być powierzane nawet wicekustoszowi, którymi bywają co tydzień inni zakonnicy.

Prezes: Jakiego charakteru był Damazy?

Świadek zastanawia się długo, trze sobie czoło, wreszcie oświadcza: Według mego zdania, główną jego omyłką było to, że nie żył wspólnie z nami, że stronił od rzeszy zakonnej.

— Na śledztwie pierwiastkowem mówił pan wyraźniej o jego charakterze.

— Tak jest, ale wtedy za dużo powiedziałem, zbyt go obciążyłem niepotrzebnie.

— Pan mówił, że go Rejman nazywał definitorem, dlaczego tak go nazywał?

— Nie pamiętam tego szczegółu.

— Skąd Damazy mógł mieć dochody?

Świadek tutaj oświadcza, że w tej mierze potwierdza to, co mówił na śledztwie pierwiastkowem.

Prezes: Skąd mógł Damazy kraść pieniądze?

Świadek: Jeżeli miał podrobiony klucz, to ze skarbczyka.

— Z kim Damazy był w dobrych stosunkach?

— Z Izydorem.

— A z Bazylim?

— Tak sobie.

— A jakiż był Starczewski pod względem charakteru?

— Podobny do Macocha.

— Odpowiedz nam pan o notatce o. Bonawentury Gawełczyka.

— Po śmierci o. Bonawentury wezwał mnie przeor Rejman i zapytał, co zrobić z testamentem Bonawentury, który poczynił różne zapisy na cele dobroczynne. Mówił mi przytem, że w testamencie wymieniona została suma 20,000 rb. Odpowiedziałem, że jakkolwiek za życia mógł rozporządzać funduszami, jednak z racyi reguły wszelkie zapisy zakonnika są nieważne. O. Rejman oddał nowemu przeorowi fundusze Gawełczyka, a testament zatrzymał u siebie.

— Czy panu pokazywano przedmioty znalezione u Macochowej?

— Pokazywano, ale nie mogę określić ich pochodzenia, ani nie mogę powiedzieć, że są podobne do kosztowności klasztornych. Podczas świętokradztwa w kaplicy Matki Boskiej nie byłem w Częstochowie.

Prokurator: Ojcze Piusie, dawno pan jest w klasztorze?

Świadek: Stale od r. 1902.

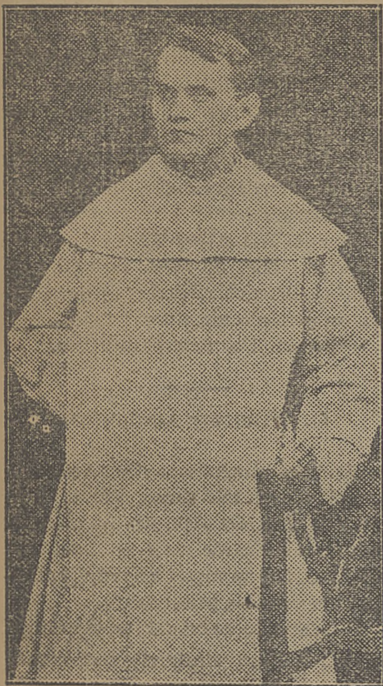
— Ile zakonników jest obecnie?

— Ośmiu duchownych i 7 nowicyuszów.

Prokurator zapytuje ks. Piusa o szczegóły świętokradztwa, ale ten oświadcza, że nie wie o tem wiele, gdyż nie był wtedy na Jasnej Górze.

Prokurator: Ksiądz mówił tutaj, że za wiele powiedział, jak rozumieć?

Świadek: Wszak to moi bracia, ludzie nieszczęśni, powinienem ich bro-



O. Izydor Starczewski.

nić. Sąd im wymierzy karę sprawiedliwą, nie do mnie należy ich sądzić.

Prezes zwraca uwagę świadkowi, że nie jest on tu sędzią, lecz świadkiem, obowiązanym mówić wszystko, co wie w tej sprawie.

Świadek: Obowiązki kapłańskie skłaniają mnie do pobłażliwości błędom ludzkim i wybaczania win, tem się tłomaczę, że nie mogę na nich zwalać wszystkiego.

Prezes: Jaki był podkład moralny oskarżonych?

Świadek: Czy mogę o tem mówić?

— Proszę.

— Niskie wykształcenie Damazego, zarówno domowe, jak szkolne i teologiczne, usuwanie się od towarzystwa ludzi światlejszych, unikanie zgromadzenia, w którem po całych tygodniach nie widywano go, sprawiło, że nie mógł podnieść się na wyżyny powołania. Zależy wiele od przeora, aby podnieść duchowo zakonnika, ale przeor był miękki, dobry, nie zwracał uwagi na nieszczęsnego brata Damazego. Być może, iż nie miał na to czasu, ale zbyt pośpieszył się z kreowaniem Damazego na kapłana. Zaledwie wstąpił do seminaryum, gdy zachorował i wrócił do Częstochowy, a tutaj nie wyszkolił się, jak należy, kiedy przeor przedstawił go do święceń.

Prok.: Czy długo był pańskim uczniem?

Świad.: Przygotowywałem go przez czas krótki.

— Co pan może powiedzieć o innych swoich oskarżonych współbraciach?

— Nie komunikowali się ze mną.

— A Olesiński?

— Mało go znam.

— Na czem polega reguła paulinów? Prosimy o opowiedzenie nam krótkiej historyi zakonu.

O. Pius daje ogólny zarys zakonu paulinów, poczynając od założyciela św. Pawła pierwszego pustelnika.

Zakonnicy obowiązani są do bezwzględnego ubóstwa i wspólnoty. Oczywiście stosunki się zmieniły, wreszcie zaniedbano regułę, ale w miarę możności ludzkiej pragniemy ją stosować przez siebie.

Prok.: Zdaje się, że ustawa zgromadzenia pochodzi z wieku XVII?

Świad.: Tak jest, rządzimy się nią dotychczas w miarę możności.

— Ksiądz jakie odebrał wykształcenie?

— Skończyłem seminaryum we Włocławku.

— A w Kielcach ksiądz był?

— Nie.

— W akademii w Rzymie?

— Nie, w akademii w Petersburgu, w Rzymie byłem jako paulin.

— Jakie miał wykształcenie Bazyli Olesiński?

— Zdaje się, że skończył 4 klasy.

Adw. Kleyna: Czy świadek pamięta, że podczas świętokradztwa Damazy nie był obecny na Jasnej Górze?

Świad.: Tak słyszałem.

— Jaką powagą cieszył się przeor Rejman?

— Dużą.

— Pod każdym względem?

— Nie pod każdym, tylko jako administrator.

— Czy do celi zakonnika może wejść przeor o każdym czasie?

— Może.

— Prezes: Czy klucze od cel są podwójne?

Świad.: Tak: jeden ma przy sobie zakonnik, drugi jest u przeora.

Na zapytanie prokuratora o. Pius opisuje szczegółowo rozkład skarbczyka, skarbca, zakrystyi, kaplicy, kościoła, klauzury i innych ubikacyi.

Damazy mieszkał w celi nr. 38 na drugiem piętrze, Izydor pod nr. 11 na pierwszem, w tym samym korytarzu, co o. Pius. Bazyli mieszkał na końcu korytarza po tej stronie, co Damazy.

Jeden z sędziów: Z ilu pokojów składa się cela?

Świad.: Niektóre z jednego, niektóre z dwóch, o jednem wejściu.

— Gdyby w celi dano strzał, czyby go było słychać w celach sąsiednich.

— Przypuszczam.

Dalej zadaje szereg pytań świadkowi adw. Chądzyński.

— Jak długo był kustoszem Olesiński?

— Pół roku.

— Kiedy została wprowadzona komuna?

— W r. 1902, obowiązkową jednak Lamosz wprowadził w roku 1907.

Adw. Rudziński: Ile otrzymuje na drobne wydatki zakonnik?

Świad. Najwyżej 20 rb. miesięcznie.

— Kto wydaje księżom trunki?

— Ekonom.

Prezes: Też zakonnik?

Świad.: Nie, człowiek świecki.

Adw. Nowicki: Kiedy wprowadzono zabezpieczanie drzwi?

— Świad: Po świętokradztwie.

O. Wincenty Olszewicz,

prokurator klasztoru paulinów, zeznaje mniej więcej tak samo, jak o. Pius Przeździecki, dodając, że na pierwiastkowem śledztwie może za dużo powiedział, to jest więcej oskarżył, aniżeli istotnie wina się przedstawia.

Prezes: Klucze od zakrystyi i skarbczyka, u kogo winny się znajdować?

Św.: U kustosza.

— Czy ksiądz dawno jest prokuratorem?

— Wybrany byłem w styczniu, ale obowiązki te objąłem dopiero 17 lipca.

— Co ksiądz wie o sofie?

— Sofa ta stała w korytarzyku około sali, oznaczonej Nr. 1, a kiedy ją stamtąd wynieśli, to nie wiem, bo wtedy byłem na urlopie.

— Czy rzeczy, jak kołdra, poduszka, prześcieradło, należały do Damazego?

— Były klasztorne.

— A futro było o. Damazego?

— Nie. Widywałem w niem Wacława Macocha.

— Przypuszczałem.

— Czy ksiądz widział Damazego i Izydora Starczewskiego pijanych?



Przeor Rejman.

— Co ksiądz wie o kluczach podrobionych do skarbczyka i korytarzy?

— Ekonom Trubicki przyniósł mi 6 kluczy i oznajmił, że znaleźli je dekarze na strychu i wręczyli mi. Widząc, że klucze wyglądają, jak nowe, wspólnie z kowalem, Stanisławem Pyżąlskim, sprawdziliśmy, do których drzwi one się nadają. Przekonaliśmy się, że jeden klucz był od starych drzwi skarbczyka, 2 klucze małe od elektrowni i od drzwi korytarzowych.

— Czy księdzu były okazywane przedmioty, należące do Heleny Macochowej i czy pochodziły one z klasztoru?

— Widziałem, ale stwierdzić tego nie mogłem na pewno.

Prokurator: Kiedy klucze były znalezione na strychu?

Św: W lecie, w 1 i pół miesiąca po wybraniu nowego przeora.

— Czy o. Bazyli Olesiński był w przyjaźni z o. Damazym?

— Z o. Bazylim mniej, ale z Izydorem więcej, wychodzili często z Izydorem na miasto.

— Czy o. Rejman robił jakie wymówki Damazemu?

— Nie wiem.

— Dla czego pan powiedział teraz na sądzie, że może za dużo powiedział na śledztwie pierwiastkowem?

— Nie wiem, o co chodzi, bo mi tak dużo pytań tu zadano.

— O to, że pan teraz mówił, iż za dużo oskarżył obwinionych.

— Tak jest, teraz to widzę, bo faktów mam mało, a mówiłem wtedy to na podstawie opowiadań ludzi.

— A może panu reguła klasztor na nie pozwała wyznać wszystkiego, może u was w klasztorze takie jest prawo, aby ukryć to złe. (Wśród publiczności poruszenie).

— Prawo zakonne tembardziej nakazuje mówić prawdę i ja też co wiedziałem, to powiedziałem.

Podprok. Kotranowskij:

— Meble klasztorne pod czyim są dozorem i czy można je wynosić bez pozwolenia?

— Dozór ma prokurator i wynosić niewolno.

— A czy Damazy miał prawo kazać Błasikiewiczowi przynieść do swojej celi sofę?

— Prawa nie miał, ale jako zakonnik, co kazał służącemu zrobić, służący obowiązany był to spełnić

— A dla czego nie zauważono że na korytarzu nie ma sofy?

— Bo sofa ta nie była nic warta — stara bardzo, więc też o nią się nie troszczono, a gdyby przedstawiała jaką wartość, znajdowałaby się pod kluczem.

Adw. Rudnicki: Czy w klasztorze istniały dwie partye z których jedna była za dawnym przeorem, a druga za nowym?

Świad.: Tego nie mogę powiedzieć.

— Po czyjej stronie stał świadek?

— Na swojem miejscu. (Śmiech w sali). To rzecz mego sumienia.

— Czy Bazyli i Izydor byli przeciwnikami świadka?

— Nie mogę powiedzieć.

— Czy w nocy można dojść z korytarza do skarbczyka?

— Można.

Adw. Chądzyński: Ksiądz mówił o nowych drzwiach, kto je robił?

Świadek: Slusarz.

— Kiedy?

— W 1910 roku.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Dawniej te drzwi były drewniane.

— Czy nie dlatego, że obraz okradziono?

— Zdaje się, że tak.

— Ksiądz mówił, iż znaleziono sześć kluczów? A ile było wogóle?

— Do każdego zamka było po dwa klucze: jeden u kustosza, jeden u przeora.

— Co się zrobiło ze starymi kluczami po przerobieniu drzwi?

— Nie wiem. Posiadam dużo kluczy starych.

— Czy pieniądze w skarbczyku leżały na wierzchu? I czy ksiądz wchodził do skarbczyka?

— Do skarbczyka wchodziłem, pieniędzmi się nie interesowałem.

— Czy przeor miał zastępcę?

— Miał.

— Czy zastępca był jednocześnie prokuratorem i kustoszem?

— Nie zawsze.

Adw. Nowicki: Czy dawno ksiądz jest w klasztorze?

Świadek: Od 1907 r.

— Czy ksiądz nie słyszał, że o. Bonawentura posypywał podłogę w skarbczyku popiołem, aby sprawdzić, czy tam kto nie wchodzi po zamknięciu przez niego skarbczyka?

— Tego nie wiem.

Piotr Wiernecki,

na zapytanie obrońcy H. Macochowej zeznaje, że żona świadka miała w Łodzi pracownię sukien, w której uczyła się siostra Heleny, Janina, ale czy ta siostra założyła później własną pracownię, tego nie wie.

Kupował różne przedmioty w lombardzie i z tych przedmiotów Helena kupiła u niego przed 7 laty 2 pierścionki z brylancikami za 50 rb. oraz zegarek z łańcuszkiem. Płaciła sama.

Czaplicki,

sekretarz policyi w Łodzi.

Obrońca Macochowej: Czy pan ma córkę Narcyzę?

Świad.: Umarła.

— Czy prawda, że Helena Krzyżanowska dawała lekcye córce pańskiej?

— Tak.

— To pan wie, że Helena K. zajmowała się nauczycielstwem? Ile miała wtedy lat?

— Tak, miała lat 15.

Prezes: Ile pan płacił.

Świad.: 5 rb. miesięcznie.

*

* *

Po zeznaniach Jana Chęcińskiego Jana Możykowskiego, zeznaje

Franciszek Malc,

b. organista na Jasnej Górze, zeznaje, że pierwsza żona zostawiła dom w spadku dla niego i jego córki. Ożenił się po raz drugi. Córka skończyła pensyę zagranicą. Po powrocie do domu, jako spowiednika miała o. Izydora.

— Nie wiem co się stało, ale w trakcie tym córka zmieniła wobec i mnie postępowanie, była nieszczera i nie okazywała mi zaufania. Ponieważ była już pełnoletnią, więc zażądała, abym część jej spadku po matce oddał. Musiałem sprzedać dom. Na jej część przypadło 7,850 rb., które zahypotekowałem dla niej. Wiem, że podniosła raz z tej sumy 500 rb. i procenty oraz 2 razy po 1,000 rb., a w krótkim czasie wybrała do 5,000 rb.

Prezes: Czy córka pańska miała stosunki z Izydorem?

Świad.: Tego nie wiem. Pewnego razu pojechała do Warszawy, jakoby na posadę guwernantki. Była 2 miesiące. Podobno było dziecko, które jak mi zięć, a brat ks. Izydora pisał (pokazuje list w kopercie), przyjął je na siebie.

— Czy Starczewski dawał pieniądze córce pańskiej?

— Jakim sposobem? Chyba córka mu dawała, gdyż wybrała tyle pieniędzy.

— Czy pan znał Helenę Macochową?

— Znałem. Była nawet z mężem swym na weselu córki mojej stawała w klasztorze u Morzynowskiego, obiad jej noszono z kuchni klasztornej.

— Za co pana wydalono z klasztoru?

— Właśnie nie wiem. Byłem tam organistą przez lat 35. Nowy przeor mnie wezwał i powiedział, że wydala mnie za to, że córka moja była kochanką o. Izydora.

— Czy panu jest znane postępowanie o. Bazylego?

— To był mój zwierzchnik.

— Czy pan znał Nowacką?

— Znałem, przyjeżdżała z Zawiercia. Ludzie mówili różnie, ale ja nic nie wiem.

Prokur.: Czy ludzie mówili w klasztorze, iż Damazy ma kochankę i że pije?

Świad.: Mówili.

— Czy często przyjeżdżała "kuzynka" Helena Krzyżanowska?

— Raz na miesiąc, co dwa miesiące.

Adw. Rudnicki: Ile pańska córka ma lat?

Świad.: 23.

— Gdzie był ślub?

— W Krakowie.

— Ile razy wyjeżdżała córka pańska do Warszawy?

— Dwa razy.

Adw. Kleyna: Czy Wacław Macoch podniósł na weselu córki toast za zdrowie Damazego?

— Tak.

Adw. Chądzyński: Wspominał świadek o Nowackiej. Kto to jest ta osoba?

Świad.: Żona dyrektora z Zawiercia, ludzie zamożni, on pobiera 4,000 rb. rocznie, ona otrzymała spadek po ojcu, matka jej bogata, ma i dziś dom na Częstochówce.

Prokurator. Czy pan wie, że Nowacka kupowała dom niedawno temu?

Świad.: Matka chciała kupić za jej pieniądze. Mąż Nowackiej ma dom w Koluszkach.

*
* *

Po odczytaniu zeznania Trubickiego, przesłuchano Jakóba Starczewskiego, Dzieniakowskiego, Wybrańca, Basiewicza, Wióry, Pyżalskiego, Karczmar-

ka, Wojciecha Machnawskiego, Maciejewskiego, Szymańskiego, Kulamowiczową, Bokalską, Walerego Karwasińskiego, Sobocińskiego, Rogulskiego, Szymona Willingera, Gruszczyńskiego i Otrombka.

O g. 7 min. 10 prezes zarządził przerwę do jutra.

Dzień piąty.

Zbadano dotychczas 77 świadków. Śledztwo sądowe ciągnie się powoli, napotyka bowiem wciąż na rafy w postaci krzyżowych pytań prokuratora i ławy obrończej.

Jan Chęciński.

Świadek żył bardzo dobrze z Wacławem Macochem, który nazywał Damazego szubrawcem.

Prezes: Co pan więcej wie?

Świadek: Potwierdzam to, co zeznałem na śledztwie pierwiastkowem.

— A czy nie mówił panu Wacław o jakich pieniądzach, które dostał od Damazego?

— Mówił, że mu Damazy kupił ubrania za 350 rb., że zapłacił w hotelu Europejskim około 1000 rb., że dostał od niego dużo kosztowności za kilka czy kilkadziesiąt tysięcy rb.

Prokurator: Czy był u pana Wacław przed dniem krytycznym?

Świadek: I owszem, był zaraz po przyjeździe z Warszawy, było to 21 czy 22 sierpnia, zdaje się w piątek, czekał na mnie w domu, gdyż nie byłem obecny, jeździłem do Poraja. Mówił mi wtedy, że idzie w ważnej sprawie do Damazego i chciałby koniecznie dziś o 6 m. 45 wracać do domu, gdyż żona jest niezdrowa i oczekuje na niego. Oświadczył mi jednocześnie, że jeśli za godzinę nie przyjdzie do mnie, to będzie znaczyło, że pogodził się z Damazym i pojechał do domu. Gdyby zaś to nie nastąpiło, to przyjdzie do mnie i zakomunikuje bardzo ważną rzecz. Kiedy o tem mówił, był bardzo wzburzony. Pożegnaliśmy się, Wacław wyszedł i więcej go nie widziałem.

— Czy mówił panu Wacław, że Rejman zwracał uwagę na niewłaściwe postępowanie Damazego?

— Owszem, mówił, że Rejman ostro za coś strofował Damazego, który w odpowiedzi miał zagrozić Rejmanowi, iż tak zrobi, że klasztor na tem ucierpi. Podobno Damazy wiedział o jakiejś tajemnicy.

Adw. Nowicki: Co pan przez to rozumiał, że Wacław wie o jakiejś tajemnicy z życia Damazego?

Świadek: Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Jan Morzykowski,

muzykant na Jasnej Górze.

Prezes: Czy Helena Macochowa u pana zamieszkiwała?

Świadek: Tak, miałem mieszkanie z 3 pokojów, z których 2 wynajmowałem pątnikom, a w jednym sam się z rodziną mieściłem. Pewnego razu ks. Damazy zapowiedział, że przyjedzie jego kuzynka. Przyjechała, a potem co pewien czas przybywała sama, z bratem, z matką. Damazy odwiedzał ich, mówił Helenie po imieniu, a do matki: "cioci."

Prokurator: Skąd Helena przyjeżdżała?

Świadek: O ile pamiętam, to w latach 1907 i 1909 przyjeżdżała z Łodzi, potem z Warszawy, z zagranicy, początkowo jako Krzyżanowska, a następnie jako Macochowa.

— Co Helena opowiadała żonie świadka?

— Że jest wdową po rodzonym bracie Damazego.

— Kto płacił za mieszkanie i gdzie się stołowała?

— Płaciła sama, a jedzenie przynosili jej z kuchni klasztornej.

Prezes: Z czyjego to było rozporządzenia?

Świadek: Nie wiem, prawdopodobnie ksiądz się o to postarał.

— A czy bywał tam i Starczewski?

— Zdaje się, że był dwa razy.

Adw. Kleyna: Czy widywał pan Wacława w klasztorze?

Świadek: Widywałem, ale jakie go stosunki łączyły, nie wiem.

Aleksy Karczmarek,

kościelny przy zakrystyi.

Pewnego razu, kiedy świadek poszedł na obiad z o. Bazylim, po zamknięciu zakrystyi i korytarzy, wkrótce potem powrócił i zastał drzwi od korytarzy otwarte. Na dolnym korytarzu spotkałem o. Damazego. Zdziwiło mnie to i pobiegłem zawiadomić o tem o. Bazylego jako kustosza. O. Bazyli odpowiedział, ażebym na przyszłość pilnował zamykania drzwi.

Adw. Chądzyński: Czy drzwi od skarbczyka były wtedy zamknięte?

Świad. Zamknięte.

— Czy świadek był kiedy w skarbczyku i czy widział tam pieniądze w skrzynkach na wierzchu i czy skrzynki miały zamki?

— W skarbczyku bywałem, ale czy skrzynki miały zamki, tego nie wiem.

Wojciech Machuderski,

mularz klasztorny.

Prezes: Podobno pan wstawiał drzwi do skarbczyka, kiedy to było?

Świadek: Wstawiałem, było to po okradzeniu obrazu.

Adw. Chądzyński: Kto kazał?

Świadek: O. Bazyli.

Adw. Kleyna: Czy pan zna dobrze podziemia klasztorne?

Świadek: Znam.

— Gdzie byłoby dogodniej zabić człowieka: w podziemiach, czy w celi?

Prokurator protestuje przeciwko takim zapytaniom.

Adw. Kleyna wyjaśnia, że pytanie to jest potrzebne i prosi prezesa o pozwolenie zadawania pytań.

Prezes zgadza się.

Adw. Kleyna do świadka: Czy można było kogo zwabić do podziemi i zabić tak, żeby nikt nie usłyszał i nie wiedział o tem?

Świadek: Naturalnie, że można.

Adw. Chądzyński zwraca się do prezesa z prośbą, jako do gospodarza w tej sprawie, aby zainterweniował co do tego, żeby oskarżyciel publiczny nie krępował obrony w zadawaniu pytań niezbędnych dla wyjaśnienia sprawy.

Oświadczenie to poparła cała ława obrońców.

Prezes odpowiedział, że obrony nie krępuje, przeciwnie pozwala na wszelkie pytanie, mające jakikolwiek związek ze sprawą.

Władysław Sobociński,

b. pisarz gminy Drzewica.

Pewnego razu przyjechał jakiś zakonnik i przedstawił się jako Damazy Macoch, przyjaciel proboszcza miejscowego, znany z okolicznym obywatelom.

Po przedstawieniu aktu ślubnego, prosił o zapisanie krewnej swojej Heleny do ksiąg stałej ludności i wydanie paszportu.

Na razie odmówiłem, ale kiedy zaręczył słowem kapłańskiem, zgodziłem się i wydałem paszport. To mnie zgubiło, bo straciłem chleb.

Prezes (zdziwiony): To pana za to wydalono?

Świad.: Tak jest, panie prezesie, w jedenaście miesiący po wydaniu tego nieszczęsnego paszportu.

— I pan dziś jest bez posady?

— Tak, panie prezesie, jestem bez kawałka chleba.

— Co pan dostał za ów paszport?

— Chciał mi coś dać, ale od księdza nie chciałem przyjąć. Zostawił mi tylko bilet wizytowy, prosząc, abym go odwiedził w Częstochowie.

Szymon Witinger,

uczeń Cyganowskiego, jest w terminie u niego od od trzech lat, zeznaje że nie wie, czy ta pieczątka, którą pokazywano mu na śledztwie pierwiastkowem zamawiana była w zakładzie Cyganowskiego, ale robiona była u Cyganowskiego, bo na pieczątce jest strzałka, po której poznaje, że mogła być u nich robiona.

Obrońca Cyganowskiego: Co znaczy ta strzałka?

Świadek nie umie objaśnić.

Obrońca: Czy Cyganowski wykonywał tylko u siebie zamawiane roboty, czy też przyjmował od pośredników?

Świadek: Chasielewicz też przyjmuje roboty i oddaje Cyganowskiemu.

Obrońca: Czy świadek przyjmuje zamówienia i jak dawno pracuje u Cyganowskiego?

— Nastałem do nauki po zrobieniu pieczątki.

Na wniosek prokuratora Macoch opowiada, że nie wie, któremu grawerowi kazał zrobić pieczątkę, a zamówienie przyjmował od niego chłopiec może 12-letni, który oddał mu też robotę i wziął pieniądze.

Cyganowskiego ani w Częstochowie, ani w sądzie na sprawie nie widział.

Prezes (do świadka): Czy Cyganowski ma dzieci?

Świadek. Ma jedno.

— Ile lat ma dziecko?

— Nie wiem.

Obrońca. Przecież świadek może określić — czy rok, dwa dziesięć? Czy dziewczyna, chłopiec?

Świad. (zdziwiony): Un się dopiro teroz urodził.

(Śmiech).

*

* *

Dziś w pierwszej części posiedzenia przesunęła się galerya osób, zwłaszcza kobiet, z któremi Damazy bliżej i stykał się często, wprowadziwszy w to grono ostatnią swą kochankę, Helenę z Krzyżanowskich.

Adam Jeżewski,

właściciel zakładu golarskiego w Warszawie.

Prezes. Gdzie pan poznał Damazego?

Świad. U teścia swego Ostrowskiego.

— Czem jest teść?

— Konduktorem kolejowym.

— A teść gdzie poznał Damazego?

— Teść jeździł do Częstochowy i tam poznał księdza.

— Kiedy świadek poznał Helenę Krzyżanowską?

— W r. 1909 u Ostrowskich, z którymi się poznała przez Damazego.

Dalej zeznaje szczegóły znane z aktu oskarżenia co do zachowania się Heleny i Damazego na imieninach; na których bawili tylko dwie godziny.

Prezes: Co to były za telegramy, które pan otrzymywał?

Świad. Nie wiedziałem od kogo pochodzą.

— Ile ich było?

— Dwa: W jednym było, że wszy-

stko jest w porządku, co objaśnił Damazy tem, że nie ma przeszkód do otrzymania wikaryatu, który otrzyma niebawem. Drugiego telegramu o grożącem niebezpieczeństwie nie doręczyłem, gdyż ks. Damazy wyjechał i więcej go nie widziałem.

— Czy Damazy chrzcił u pana?

— Ks. Damazy trzymał do chrztu brata żony.

— Dlaczego na ręce pana przychodziły telegramy?

— Nie wiem. Nie umawiałem się o to z ks. Damazym.

— Czy Załoga pana znał? I kiedy go pan po raz pierwszy widział?

— Widziałem Załoga na jakiś tydzień przed wykryciem zabójcy, był u mnie w Warszawie.

— Damazy jadł z Załogą kolacyę u pana?

— Tak.— Kiedy się pan dowiedział, że Damazy jest zabójcą Wacława?

— Po jego wyjeździe, a dowiedziałem się z gazet.

Dalej potwierdza zeznania na śledztwie pierwiastkowem.

Adw. Korwin-Piotrowski: Czy świadek widział Damazego w stanie pijanym?

Św.: Raz.

— Jakież miał wady usposobienia, był zły czy dobry?

— Zmian żadnych nie widziałem, zawsze był dobry.

— Czy pan nie spostrzegał poufałego zachowywania się Damazego względem kobiet? Czy ich nie całował?

— Nie.

— A może tylko w czoło całował?

— Nie.

— Czy świadek nie wie, że Damazy dawał prezenty kobietom, np. żonie pańskiej zegarek złoty, pierścień brylantowy?

— Kiedy była panną otrzymała od ks. Damazego zegarek z łańcuszkiem. Co zaś do pierścienia, to był zastawiony w lombardzie za 100 rb. Ks. Damazy wziął kwit i wykupił:

— A innym dawał, siostrom pańskiej żony?

— To one mogą same powiedzieć.

— My wiemy, że mogą — mówi ostro obrońca — ale chcemy i od pana się dowiedzieć, czy dawał?

— Dawał.



Anna Jeżewska

żona poprzedniego, elegancko i modnie ubrana.

Prezes: Czy dawno pani znała Damazego i gdzie go pani poznała?

Świad.: W Częstochowie, przed kilkunastu laty.

— Często przyjeżdżał ks. Damazy do Warszawy?

— Dość często.

— Kiedy się pani poznała z Heleną?

— Cztery lata temu, mówił, że przedstawi nam swoją kuzynkę z Łodzi. Istotnie, przyszedł do rodziców z panną Krzyżanowską, później dowiedzieliśmy się, że jest wdową po Franciszku Macochu, bracie ks. Damazego. Ten Franciszek umarł.

— Ależ nie umarł, był wszak w sądzie.

— Mówiono, że umarł, gdyż zaziębił się na weselu brata Ignacego, a ożenił się z Heleną już na łożu śmiertelnem.

— Kiedy pani otrzymała zegarek od Damazego?

— Ośm lat temu otrzymałem zegarek złoty, a następnie ks. Damazy wykupił z lombardu pierścionek brylantowy, ale o tem nie wiedziałam. Wzamian też dawałam księdzu prezenty, mianowicie stułę, na którą wydałam 25 rb.

— Pani Macochowa mówiła, że pieniądze dostaje od matki i ze spadku po mężu.

— Gdzie się Damazy w Warszawie zatrzymywał?

— Z początku u moich rodziców, a później u wdowy Macochowej.

(To pierwsze "wdowieństwo" oskarżonej budzi śmiech w sali).

— Ile przyszło telegramów?

— Trzy.

— Co się z nimi stało?

— Dwa oddaliśmy ks. Damazemu, jeden spaliliśmy, był to ostatni, że grozi niebezpieczeństwo 31.

— Czy, będąc u pani, mówiła Helena, że jest brzemienna?

— Tak.

— Kiedy to było?

— Na trzeci dzień po ślubie.

— Jakto, już na trzeci dzień po ślubie? Czyż to być może?

— Tak mówiła.

(Śmiech).

— Jak się dowiedzieliście państwo, że zabójcą jest Damazy, co zrobiliście?

— Daliśmy znać do wydziału śledczego, bo ks. Damazy zostawił u nas walizkę z rzeczami.

— Czy Damazy mówił skąd ma pieniądze?

— Mówił, że wygrał na loteryi raz rb. 800, raz 10,000.

Adw. Korwin-Piotrowski: Czy eksksiądz Damazy mówił pani "ty"?

Św.: Nigdy, mówił mi zawsze panno Anno lub pani Anno.

— Czy siostra pani nie dostała od Heleny Macochowej pianina?

— Pani Macochowa mówiła, że jak sobie kupi fortepian, to ustąpi siostrze pianino, gdyż wiedziała, że siostra ma zdolności muzykalne, a ja miałam fortepian stary. Kiedy kupiła fortepian, ustąpiła pianino.

— Jakto ustąpiła? Czy zapłaciła co za nie siostra?

— Nie.

— Więc darmo dostała.

Następnie obrońca bierze świadka w krzyżowy ogień pytań co do podarków z szafirami, rubinami, brylantami od Damazego, z których to pytań wynika, że Damazy robił prezenty z różnych kosztowności rodzinie Ostrowskich.

— Pani dostała naszyjnik, broszę, siostra pani inne prezenty.

Świadek zasypany pytaniami i rewelacyami miesza się, potwierdza pytania i wreszcie pokazuje na szyję:

— Oto ta broszka pochodzi też z daru ks. Damazego.

Obrońca przygląda się przez monokl i macha ręką:

— To nic osobliwego.

Adw. Kleyna: W jakich okolicznościach widziała pani Wacława Macocha?

Świad. Kilkanaście lat temu starała się o miejsce telegrafistki i udała się do proboszcza, u którego się Wacław Macoch uczył, zastała go tam razem z ks. Damazym, który się pytał profesora, kiedy Wacław zda egzamin.

— Czy pani wie, że ks. Damazy bywał co roku zagranicą?

— Tak, co roku jeździł na kuracyę.

Adw. Korwin-Piotrowski: Wobec sprzeczności w zeznaniach tego świadka z zeznaniami męża co do telegramów, mianowicie mąż mówił, że nie wiedział, iż będą do niego przychodziły, tymczase, żona twierdzi, iż wiedziała, proszę o skonfrontowanie obojga małżonków.

Adw. Rudnicki sprzeciwia się konfrontacyi.

Prezes pyta obojga Jeżewskich, jak to było i żona przypomina, że ks. Macoch obawiał się suspendy ze strony biskupa krakowskiego (?) o to, że opuścił klasztor.

Wogóle wyjaśnienia te były dość niejasne.

Mieczysław Ostrowski,

telegrafista z Warszawy.

Poznał Helenę Macochową, jako wdowę po Franciszku, który umarł w dwa tygodnie po ślubie, dalej zeznaje to, co znane jest z aktu oskarżenia w kwestyi ślubu Wacława z Heleną i wesela, na którem był.

— Kiedyśmy rozmawiali — mówi świadek — z ks. Damazym na podstawie wiadomości w gazetach o znalezionym trupie w sofie, ks. Damazy uroczyście rzekł do mnie:

"Ręka Boska dosięgnie zbrodniarza!



Zofia Zajączkowska.

(Sprawia to w sali silny efekt).

Adw. Kor.-Piotr.: Pan jest żonaty z kuzynką swoją, nieprawdaż?

Świad.: Tak jest.

— Czy pan nie robił wyrzutów żonie o to, że ją ksiądz całował i na przyszłość zastrzegał pan, aby tego nie było?

— Nie podobała mi się zbytnia poufność w postępowaniu księdza, dlatego zwracałem na to uwagę żonie.

— Nawet pisany był list do ks. Damazego, żeby nie całował żony. Jak się ten list zaczynał?

— "Drogi księżulku!" Ale żony mojej nie całował.

— A może pańska żona całowała ks. Damazego?

— Nigdy tego nie było, aby się nieprzyzwoicie zachowywała.

— Przecież to jest we zwyczaju, że

księży całują po rękach, a zresztą w tym wypadku chodzi o to, że ks. Damazy zachowywał się nieprzyzwoicie.

Antonina Ostrowska,

panna, córka konduktora.

Powtarza to, co na śledztwie pierwiastkowem, była na weselu, znała Helenę Macochową jako pannę, wdowę i mężatkę.

Zofia Zajączkowska,

siostra oskarżonej Heleny Macochowej, z rysów twarzy podobna do niej, ale przystojniejsza i sympatyczne sprawia wrażenie.

Jest wzruszona, na widok jej Helena dostała wypieków na twarzy.

Pani Zajączkowska oświadcza, iż jest żoną urzędnika z cukrowni Szreniawa.

Mówi, że do tego, co zeznała na śledztwie pierwiastkowem, może dodać, iż po przyjeździe siostra Helena prosiła ją, aby nie zatrzymywano ks. Damazego, gdyż musi jechać zaraz do Częstochowy, a następnie prosiła, aby ją zaraz zameldować u wójta.

Prokur. O czem pisała do państwa Helena Macochowa po ślubie swoim?

Świad.: Pisała, że jest bardzo zadowolona z męża, dobrze ze sobą żyją.

— Kiedy ten list pani otrzymała?

— W parę tygodni po ślubie.

— Jak długo ze sobą żyli?

— Nie pamiętam tego dokładnie.

Michał Zajączkowski,

szwagier oskarżonej.

Badanie tego świadka trwało dłużej.

Damazego Macocha poznał w r. 1908 w Warszawie u Heleny Macochowej, która zapewniała ich, że jest wdową po Franciszku, zmarłym na tyfus.

Widział Damazego 6 razy, przedtem zanim Damazy przyjechał do Szreniawy, był w Częstochowie na wystawie i mieszkał w celi Damazego.

Prezes: Czy panu się nie wydawał podejrzany stosunek Damazego do Heleny?

Świad. Owszem. Było to w r. 1909. Kiedy znalazłem się w Warszawie i widywałem ich razem, prosiłem żonę, aby zbadała bliżej rzecz całą. W odpowiedzi dowiedziałem się, że Damazy przysiągł umierającemu bratu, Franciszkowi, iż będzie dla wdowy po nim opiekunem. Uwierzyłem w to i nawet miałem pewne uczucie wdzięczności.

— Czy pan widział dowody małżeństwa i śmierci?

— Tak, pokazywano mi jedno i drugie.

Dalej szczegółowo opowiada rozmowę swoją z Damazym po przyjeździe do Szreniawy, jak go się wypytywał, którędy można dostać się do Galicyi, radził mu przykomórek Baran i nie wiedząc, że Damazy się spieszy, zatrzymał go w Szreniawie, skutkiem czego dopiero na 3 dzień wyjechał; Helenie powiedział, że niema zwyczaju meldowania zaraz, iż dość będzie formalność tę załatwić po kilku dniach; tymczasem zjawił się pomocnik komisarza Arbuzow, aresztował Helenę i zabrał razem z jej rzeczami — przedmioty będące własnością żony oraz jego 200 rubli.

Prokur. Kiedy przyszedł telegram, zapowiadający ich przyjazd?

Świadek: W sobotę, a przyjechali nazajutrz.

Ad. Korwin.-Piotrowski: Pan był świadkiem ślubu Heleny z Wacławem?

Świadek: Tak.

— Podpisywał pan akt w parafii,

czy to była strona w księdze wypełniona, czy czysta?

— Podpisywałem, ale nie pamiętam tego szczegółu, jak było.



Michał Zajączkowski.

— Podpisywał pan i nie pamięta pan, co podpisywał. Dziwne!

— Dziwne, a jednak tak jest.

Dalej świadek mówi, że od Damazego otrzymał zegarek złoty, który podczas rewizyi był w reperacyi w Krakowie, odebrał go stamtąd.

— Nie chcę mieć nic z tego — oświadcza Zajączkowski — co pochodzi od Damazego i proszę sąd o przyjęcie tego zegarka!

Kładzie zegarek na stole.

Wynika kwestya, co z tym fantem zrobić i na wniosek prokuratora zostaje dołączony do dowodów rzeczowych.

— Ale pragnąłbym odebrać, co moje — mówi p. Zajączkowski. — A moimi i żony są przedmioty (wylicza je).

Z aktów okazuje się, że owe przedmioty zostały wyłączone z dowodów rzeczowych i przesłane przez sędziego śledczego w kwietniu r. z. do policmajstra częstochowskiego.

— Od policmajstra w Częstochowie może je pan odebrać, oświadcza prezes.

Prokur.: Ile lat pan jest żonaty?

Świadek: Szósty rok.

— Czy Irena siostra żony jeździła z Heleną za granicę?

— Jeździła.

— Czy z Damazym?

— Nie, sama.

— A kiedy jeździła Helena z Damazym?

— W r. 1909.

— Widział ich pan oboje?

— Przejeżdżając, wstępowali do nas.

Edmund Grudziński,

rządca domu przy ul. Żelaznej, stwierdza, że mieszkanie wynajmował ksiądz w obecności Heleny Macochowej, na jej imię i sam za to mieszkanie płacił, oddając zaś kontrakt, powiedział:

— Weź to Hela.

Rzeczy księdza sprowadzono, wbrew umowie, przed d. 8—10, ale że to był dom nowy, więc nie miał nic przeciwko temu, że je wniesiono do mieszkania.

Ani ksiądz, ani Helena Macochowa nie chcieli się zameldować, bo zaraz wyjechali, a tylko zameldował służącą, która została w mieszkaniu, przyczem Macochowa powiedziała, aby po zameldowaniu służącej, zatrzymał książeczkę jej u siebie.

Odczytano zeznanie Bulzackiego, który przyjechał do Warszawy z tego powodu, że wyekspirował kontrakt jego z telefonami w Łodzi.

Naprzeciwko domu jego ojca przy ul. Teodora zamieszkała Krzyżanowska, która dawała mu jeszcze w Łodzi do zrozumienia, że wyszłaby za niego za mąż. Ale nie uważał on jej za kobietę bez skazy. Żadnych szczególniejszych stosunków z Heleną nie miał. Ożenił się w Warszawie.

*

* *

Po przesluchaniu dozorcy więziennego Pruta i pomocnika naczelnika więzienia Grabskiego, którzy zeznali odnośnie korespondencyi więziennej szczegóły znane z aktu oskarżenia, zarządzona została przerwa.

Następnie zbadano Rocha Panczyka i Władysława Nowakowskiego, którzy nic nowego nie powiedzieli.

Marta Ostrowska

opowiedziała, co jej jest wiadomo o zniknięciu Wacława Macocha.

Adw. Kor. Piotrowski: Czy pani wie, że Helena płakała w obecności Damazego?

Świadek: Płakala i skarżyła się na to, że ją mąż porzucił. Matka ją uspakajała.

Bol. Sakowski.

Prezes: Jakie pan miał stosunki z klasztorem?

Świad. Dostarczałem paszę i inne produkty.

Adw. Chądzyński: Czy znał pan Nowacką z Zawiercia.

Świad. Znałem. Są to ludzie zamożni.

— Czy świadek nie wie o znajomości z nią Bazylego i czy ten ostatni bywał u matki Nowackiej, Posyłkowej?

— Nie wiem, bo tam nie bywałem.

— A Damazego Macocha, Starczewskiego i Olesińskiego zna pan.

— Raz na wystawie w Częstochowie było to około 15 września, przyszlo do restauracyi dwóch z tych zakonników (wskazuje ręką na ławę oskarżonych).

— Którzy to ci dwaj zakonnicy.

— Ci — znów wskazując ręką

Prezes: Czy Damazy i Starczewski?

Świad.: Tak.

— A dlaczego pan nie wymienia ich nazwisk?

— Bo już nie chcę mówić o nich.

— Niech pan mówi dalej.

W restauracyi owej zachowali się z kobietami nieprzystojnie, co oburzyło całe towarzystwo tam będące. Podszedłem wówczas do nich i powiedziałem, że o zachowaniu się ich doniosę przeorowi. Nazajutrz przeprosili mnie, wtedy im darowalem.

— Czy wtedy, kiedy panu wypłacał, Olesiński był kustoszem?

— Za życia Bonawentury, był jego pomocnikiem i nim się wyręczał.

Adw. Kleyna: Czy pan znał te damy?

Świad: Nie.

— A może pan je tu zobaczył?

— Tu ich niema.

Stefan Pawłowski,

b. ślusarz klasztorny.

Na zapytanie adw. Chądzyńskiego świadek odpowiada, że Damazy skarżył się na o. Bazylego, iż mało mu pieniędzy daje. Powiedział na to, że chyba teraz tak źle nie będzie, ale Damazy stanowczo twierdził, iż Bazyli jest gorszy.

Katarzyna Pianko,

żona oskarżonego opowiedziała, jak został wynajęty do wyjazdu w drogę z klasztoru. Dowiedziała się o tem co wywoził, gdy aresztowano męża.

Według świadectwa Jana Fijałkowskiego i Wład Białego, sąsiadów Pianki, oskarżony był człowiek uczciwy i bogobojny.

Powtórnie badany naczelnik Czernogołowkin potwierdził niektóre szczegóły z badania poprzednich świadków.

O. Pius Przeździecki,

badany powtórnie, na zapytanie, czy Bazyli często wyjeżdżał z klasztoru i czy z wiedzą władzy, odpowiedział, że kiedy był kustoszem, wyjeżdżał na 1 lub 2 dni.

— Jestem pewny, że z wiedzą władzy i w interesie klasztoru.

Obrona: Czy ks. Bazyli był akuratny w spełnianiu swoich obowiązków?

Świadek po pewnem wahaniu: Czasem uchylał się od ogólnych rozmyślań, które, jako zakonników, dwa razy dziennie nas obowiązują.

Adw. Kleyna: Czy po wyborze o. Welońskiego wydalono wszystką dawną służbę?

Świadek: Właśnie wczoraj słyszałem tu kłamliwy zarzut, jakobyśmy wydalili tę służbę, która była przyjęta przez o. Rejmana. Ów świadek, który to mówił, został wydalony za to, że w jego mieszkaniu działy się takie rzeczy, które stały się upadkiem naszych nieszczęsnych dwóch braci.

Eksperci.

Prezes odczytał protokóły oględzin trupa w sofie.

Dr. Gurbski, lekarz powiatowy z Radomska, oświadcza, że śmierć Wacława Macocha była momentalna; rana, zadana w głowę, była śmiertelna. Raz był zadany siekierą, dość ciężką, o szerokości 10 centimetrów. Ofiara mordu spała podczas uderzenia, o czem świadczą zamknięte oczy i usta, oraz nieco uśmiechnięte usta. — Wszystkie razy inne zadane były w jednym kierunku, co świadczy, że ofiara spała. Gdyby zamordowany zmienił pozycyę, to i razy byłyby zadawane w innym kierunku.

Dr. Szancer przyłącza się do niektórych szczegółów opinii dra Gurbskiego, ale tego, że śmierć nastąpiła momentalnie, nie podziela. Ofiara mordu mogła się zerwać i chwycić za rękę zabójcę.

Dr. Gurbski polemizuje z drem Szancerem, podtrzymując swoją opinię.

Prok. Niedźwiedzki do Gurbskiego: Czy prawda, że w żołądku trupa znaleziono pokarm?

Ekspert: Znaleziono około szklanki strawionego pokarmu.

Podprok. Katranowskij: Czy była w żołądku obecność alkoholu?

— Może była, ale alkohol po kilku dniach zamienia się w kwas octowy, którego zapach dał się czuć.

*

* *

Następnie stwierdzono, że listy, znalezione w więzieniu, pisane były przez Macocha, Starczewskiego i Pertkiewicza.

Damazy Macoch przyznał się do sfałszowania własnoręcznie podpisu ks. Dakowskiego.

Sąd udał się na naradę; po powrocie prezes Wołkow oświadczył że ponieważ oskarżeni przyznali się do pisania okazanych im listów, więc opinia eksperta Iwanowa jest zbyteczna.

Prokurator Niedźwiedzki wobec tego, iż rzeczą niezbędną jest stwierdzenie stosunku miłosnego Heleny z Damazym po zabójstwie Wacława, wnosi, aby ta część rozpraw dokonana została przy drzwiach zamkniętych.

Oskarż. Macoch daje wyjaśnienia co do wywiezienia trupa. W sprawie

kradzieży ze skarbczyka pieniędzy przez Bazylego, to on tego nie twierdził, raz go tylko widział wskarbczyku. Bazyli dawał mu pieniądze, ale z funduszów księżych. Klucz u Pertkiewicza zamawiał Starczewski przy nim i za klucz ten Starczewski płacił. Klucz był od skarbczyka.

Prokurator: Oskarżony Macoch daje wyjaśnienia niezupełne.

Macoch: Cały drżę!

Prezes: Siadaj pan i uspokój się.

Na wniosek prokuratora zapytany Starczewski potwierdził to samo, co na śledztwie pierwiastkowem.

Błasikiewicz: Ja nic nie widziałem.

Pertkiewicz: Przyszedłem na wezwanie Starczewskiego, klucz kazał zrobić Damazy, obaj wręczyli mu model i dali rb. 5. Nie wiedział do czego jest klucz potrzebny.

Pianko niema nic do powiedzenia.

Macoch stwierdza, że Błasikiewicz nic nie wiedział. Wszystkie dokumenty dla Heleny sam wyrabiał. Pieniądze jej doręczał mimo jej woli. Helena pieniędzy odeń nie wymagała.

Olesiński prosi, aby mógł wprost w oczy zapytać się Damazego, kiedy go spotkał w skarbczyku.

Prezes zezwala.

Damazy i Bazyli wezwani zostali przed stół sędziowski.

Sprawiło to ogólne poruszenie.

Damazy potwierdził wszystkie pierwotne swoje zeznania.

Kiedym ja ci dawał 500 rb.? — pyta Olesiński.

— Dostałem! — odpowiada Macoch.

Następuje wymiana zarzutów i zaprzeczeń.

Olesiński w uniesieniu: — Powiedz, za co zabiłeś Wacława?

Macoch: Mówiłem już.

Następnie sąd zarządził

Posiedzenie przy drzwiach zamkniętych,

które trwało sześć minut.

Po otwarciu drzwi badano dodatkowo ekspertów.

Następne posiedzenie w poniedziałek o godz. 10 rano.

Cztery dni słuchano świadków. Przed naszemi oczami przesunęło się przeszło sto osób, głównie z tego środowiska, w którem żyli Damazy i Helena.

Rodzina jego to ludzie prości, którzy ufali księdzu i szczycili się, że go mają w rodzie; przyjaciele i przyjaciółki — to ludzie, którzy zamykali oczy na zboczenia księdza od linii powołania. — Ci, którzy mogli byli nań jakiś wpływ dodatni wywrzeć, usuwali się od Damazego i pogardzali nim.

I rodzina Macochowej nie jest wolna od zarzutu, że przez cześć dla pieniędzy, nie widziała niewłaściwego postępowania Heleny, chętnie korzystając z nieczystych źródeł jej dochodów. Nie troszczono się bynajmniej o sprawdzenie kłamstwem bijących faktów, wierzono na słowo temu wszystkiemu, co ją w ostateczności zaprowadziło na ławę oskarżonych.

A jej przyjaciółki warszawskie? Znały upodobania Damazego, ale ponieważ okoliczności tak się ułożyły, iż nie mogły bezpośrednio ciągnąć od niego, więc Helena musiała im opłacać znajomość z Damazym.

Ten ostatni, dopóki nie popełnił zabójstwa, zdradzał tylko nadmiar żywotności męskiej, namiętnie lubił kobiety, biegając za niemi na wszystkie strony i jednając je dla siebie kosztownemi cackami. Stan, w którym pozostawał, również miał pewien urok dla chciwych upojeń w przygodnym romansie.

Dłuższy z księdzem romans gorzko

przypłaciła, wprost okropnie, Helena Macochowa; dla księżych kochanek przykład to tak przerażający, że na długo będzie skuteczniejszy niż wszelkie, najwymowniejsze epistoły umoralniające.

W ostateczności śledztwo nie ujawniło ściśle, jaki był motyw zabójstwa Wacława Macocha? Za co go Damazy zabił? Mówiono o jakiejś tajemnicy, o której wiedział Wacław. Co to była za tajemnica? Oskarżony Macoch tylekroć zmieniał swe zeznania co do pobudek, które go skłoniły do mordu, że niewiadomo któremu z tych zeznań dać wiarę? W sądzie tłomaczył się, że zabił w uniesieniu. Słabe jednak daje motywy tego uniesienia. Toż jeszcze jakieś paręset rubli, doręczone Wacławowi, uspokoiłoby go o tyle, że nie wymyślałby księdzu w jego własnej celi. Pocóż go wreszcie trzymał Damazy u siebie dwa dni, gościł, upajał? Czyżby Wacław, widząc niezadowolenie księdza, zwłaszcza potem, kiedy go spoliczkował, nie opuściłby natychmiast celi? Czyż można w to uwierzyć, że ktoś daje gospodarzowi w twarz, w dodatku księdzu, w klasztorze, i jakby nigdy nic, udaje się w jego własnem mieszkaniu na spoczynek i zasypia twardo?

I prawdopodobniejsza byłaby hypoteza, że Damazy zabił Wacława, aby się pozbyć niewygodnego parawanu dla Heleny, czyli wprost przez zawód na tle zazdrości względem ukochanej kobiety. Ale Damazy jest daleki od stawiania w ten sposób motywu psychologicznego zabójstwa. Zabił w uniesieniu i basta!

A kto wie, czy przyznanie się Damazego do rzeczywistego powodu, nie rzuciłoby jasnego światła na nieodsłonione tajemnice pochodzenia tych klejnotów, któremi rozporządzał i rozdawał kochanicom, tych pieniędzy, któremi szafował?...

*

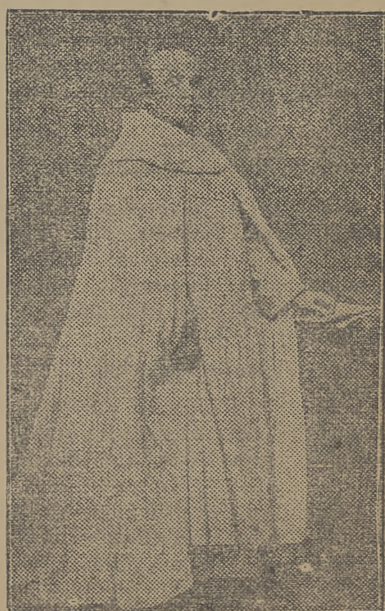
* *

Przejdźmy do ostatnich momentów wczorajszego posiedzenia, o których pobieżenie już pisaliśmy.

WYJAŚNIENIA DAMAZEGO.

Co do Błasikiewicza.

— Błasikiewicz nic nie wiedział, na co sofa była mi potrzebna. — Załóg, nie mogąc sam jej udźwignąć, zwrócił się do niego o pomoc. Nie wiedziałem o tym szczególe, dopiero mi o nim Załóg powiedział. Solę ustawiono przy drzwiach mojej celi, kiedy byłem w refektarzu na obiedzie. Po powrocie



Damazy Macoch.

moim z obiadu, sofę wniosłem do celi razem z Załogiem.

Co do Olesińskiego.

— Olesiński, ja i Starczewski, nie chcieliśmy stanowczo zgodzić się na komunę. Gdy w tej sprawie pewnego razu była o tem mowa, Olesiński rzekł do nas: Jeżeli wam się uda brać pieniądze komunalne, to bierzcie je sobie sami. Nie mogę pomimo to powiedzieć, że Bazyli kradł. Spotkałem go w skarbczyku, a widziałem, że klucze wyjmował z pod poduszki. Na moje żądanie Bazyli mi dawał po 5, 10, 15 i 500 rb.

C. do Pianki.

— Dorożkarz tem wynajęty został przypadkowo, nie widział, co wiezie, dopiero po zrzucaniu sofy dowiedział się o trupie. Ale nie wiedział, iż to trup zamordowanego. Kazałem mu przysiądz, że nikomu nie powie. Przysiągł.

Co do Heleny Macochowej.

— Kiedym się jej przyznał, że zabiłem Wacława, zemdlała. Aby ją uspokoić, cofnąłem przyznanie i upewniłem, że pojechał do Ameryki. Helena chciała koniecznie jechać za nim.

Badanie Macocha.

Prokurator Niedźwiecki: Sekretarz magistratu m. Częstochowy mówił wczoraj, że po zabójstwie brał oskarżony paszport na imię Wacława Macocha.

Oskarż.: Brałem, dlatego, że Helena nie miała uregulowanych dowodów legitymacyjnych, więc formalnościami temi sam się zająłem.

Pieniądze Helenie sam dawałem, prosząc o ich przyjęcie. Nigdy żadnych żądań w tej mierze sama nie stawiała

— Na śledztwie pierwiastkowem oskarżony mówił, że klucz zamówił Izydor?

— Tak powiedziałem, gdyż istotnie klucz zamawiał Izydor.

Adw. Kański: Czy wiadomo oskarżonemu, co mówił Załóg do Błasikiewicza? I kto kładł trupa do sofy?

Oskarż.: Co mówił, nie wiem, lecz w każdym razie do tajemnicy go nie dopuścił. Trupa wkładał do sofy Załóg, a ja mu pomagałem.

Prezes (własne pytanie): Przecież mieszkanie było ciasne, jakże się tam sofa zmieściła?

Oskarż.: Tamby i co więcej się zmieściło.

Na wniosek adw. Kańskiego oskarżony potwierdza sądowi znane szczegóły o przeniesieniu sofy i biernej roli Błasikiewicza, dodając, że Załóg o zabójstwie nikomu nie mówił.

— Po wywiezieniu trupa byłem u spowiedzi. Spowiednik przerażony moim czynem, nakazał mi w tej chwili opuścić klasztor, bo, jakby się o tem sędziwy przeor Weloński dowiedział, umarłby ze strachu.

Podczas zabójstwa Starczewski był na urlopie. Spowiadałem się i u niego, ale było to przed wyjazdem do Żytomierza, gdzie obaj staraliśmy się o posady.

Prokur.: Podobno Błasikiewicz podejrzewał oskarżonego i Załoga? Dali mu rb. 12 za milczenie?

Oskarż.: Załóg coś wspominał mi o tem, ale Błasikiewicz nic podejrzewał zabójstwa. Załóg mi mówił, że do niego, Błasikiewicz powiedział, iż nie jest on taki człowiek, żeby trąbił na świat cały.

Adw. Kański: Za co oskarżony płacił, czy za to, że sofę przyniósł i wyniósł?

Oskarż.: Błasikiewiczowi dawał pie-

niądze Załóg. Błasikiewicz był przekonany, że w sofie znajdują się książki. O trupie nic nie wiedział.

Prezes (własne pytanie): Kiedy Błasikiewicz dostał pieniądze?

Oskarż.: Po jakich czterech tygodniach.

— Czy potem, kiedy w Zawadach trup był wykryty?

— Tak.

Prokur.: Czy oskarżony mówił do Heleny, że mu jest wiadomo, iż Bazyli dał Nowackiej pieniędzy na kupno domu?

Oskarż.: Nic podobnego nie mówiłem.

WYJAŚNIENIA BAZYLEGO.

Bazyli prosi sąd, aby pozwolił stanąć mu do oczu Damazemu.

— Chciałbym się od niego oko w oko dowiedzieć, kiedy mnie widział w skarbczyku? Od r. 1905 byłem pomocnikiem kustosza, miałem prawo chodzić do skarbczyka, a większej kwoty nie mogłem ani sam sobie brać, ani komu dawać. Bo, według praw zakonnych, popadłbym za to w klątwę, nie miałbym prawa do pełnienia obowiązków kapłańskich, ani przy ołtarzu ani przy konfesyonale. I żaden kapłan nie mógłby mi dać rozgrzeszenia, dopóki bym pieniędzy nie zwrócił.

Jako kustosz, na żądanie zakonników, miałem prawo do wypłacenia im z funduszów komunalnych jednorazowo do dwudziestu rubli. Macoch mógłby więc wziąć odemnie kilka razy na dzień taką sumę, lecz gdybym zauważył, że Macoch za dużo pieniędzy bierze, musiałbym zawiadomić przeora. Macoch nie mógł sam brać pieniędzy, mógł je dostać tylko od przeora lub kustosza.



O. Bazyli Olesiński

Jeżeli za życia Bonawentury niekiedy znajdowały się klucze u mnie i były pod poduszką w mojem mieszkaniu, to działo się z polecenia Bonawentury, którego nieraz zastępowałem, czy to przez dni kilka, czy nawet miesiące, gdy Bonawentura wyjeżdżał do Ciechocinka na kuracyę, Bonawentura miał do mnie zaufanie.

Co do tego, że dawałem Damazemu po 50 i 100 rubli, a nawet i więcej, byłoby to rzeczą możliwą, gdyż Damazy przez pewien czas pełnił obowiązki prokuratora (gospodarza klasztornego) i jeżeli zwrócił się do mnie i usprawiedliwił na co są pieniądze potrzebne —

może na jakie wypłaty — nie miałem prawa odmówić.

I przed Bogiem i przed panami oświadczam — mówił z płaczem w głosie, nie jestem w tej sprawie nic winien.

Kiedy ostatnio Bonawentura ciężko zachorował i rozeszło się to po mieście — przyszły do mnie jakieś kobiety z oświadczeniem, że złożyły Bonawenturze pieniądze na depozyt.

Poszedłem wtedy do skarbczyka — depozytu nie znalazłem, szukałem w zakrystyi — nie było. Wówczas udałem się do chorego Bonawentury, który wskazał mi 13,000 rb. jako swoją własność oraz pieniądze depozytowe.

Prawo zakonu jest takie, że jeśli u zakonnika znajdą się jakie ukryte pieniądze, to wówczas odmawia się mu pogrzebu chrześciańskiego. Bonawentura więc powiedział, że owe 13,000 rb. przeznacza na "Via Crucis (Stacye Męki Pańskiej).

A teraz co do Szymańskiego. Kiedy przeor dowiedział się od Bonawentury, że pieniądze zabrał Szymański, kazał zatelegrafować do niego. Telegram podpisał dogorywający Bonawentura. Gdy Szymański przyjechał, zastał Bonawenturę już bez życia. Przeor Rejman wezwał do siebie Szymańsk'ego i zagroził mu, aby pieniądze zwrócił, gdyż jako należące do zakonnika stanowią one własność klasztoru. Szymański pieniądze zwrócił.

Po pogrzebaniu zwłok Bonawentury, udaliśmy się, ja, o. Rejman i Damazy do celi nieboszczyka, lecz nic z pieniędzy nie znaleźliśmy. A ponieważ byliśmy pewni, że muszą tam być obligi mszalne, więc polecił o. Rejman mnie i Damazemu powtórnie zrewidować celę. Szukając, przechyliłem na siebie szafę i wówczas spadła jakaś paczka. Zanim szafę postawiłem, już Damazy paczkę podniósł, poczem zaraz mi ją oddał. Tak, jak ją wziąłem do ręki, tak ją odniosłem prosto do przeora Rejmana. Pieniądze zaraz obliczyliśmy. Było w listach zastawnych rb. 15,000.

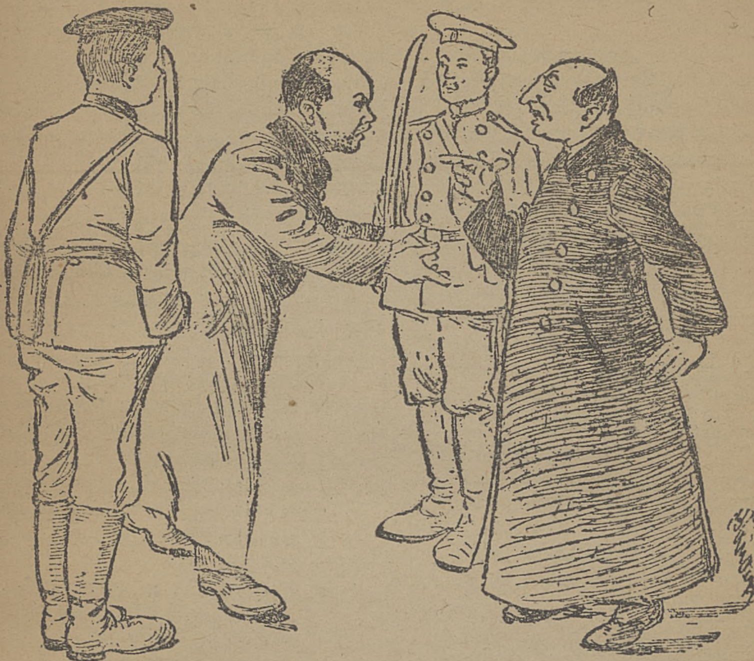
Jeżeli wypłaca'em kiedy Damazemu listami zastawnemi, to widocznie z poleceniem, aby je zmienił, jakto robiłem często, upoważniając do zmiany ekonoma Trubickiego lub którego z zakonników.

Kradzież ze schowanka.

Do skarbczyka podczas dnia nikt wejść nie mógł, gdyż były tam, oprócz zamka, — drzwi zawierane na sztaby. Skąd miał Damazy odrazu tyle pieniędzy? W tej mierze swoje podejrzenia, jak i innych zakonników opowiem. Było to w d. 19 marca 1909 r., w dzień św. Józefa w klasztorze dokonana została kradzież z włamaniem. Mianowicie włamał się złodziej do "konserwy" (schowanka), należącej do o. Bonawentury, obok jego celi. Skradziono z niej jakieś przedmioty, a może i pieniądze, gdyż Bonawentura był tą kradzieżą bardzo przygnębiony...

O. Bonawentura w skarbczyku miał nadzwyczajny porządek. Nieboszczyk był do przesady akuratny i kiedy im dał jakie polecenie, to za każdym razem zwracał uwagę, aby zrobić tak, lecz nie inaczej. Żeby więc z kasy mógł wybrać Damazy 10,000 rubli, to wprost jest niemożliwością.

Kustosz zwykle brał dla siebie największe obligi na msze św., pięcio i dziesięciorublowe i ja przez 11 lat kapłaństwa, pięć lat prokuratorem, kilka lat pomocnikiem kustosza, pół roku kustoszem, jak obliczyłem, wybrałem około 10,000 rubli. A skąd Damazy na raz mógł mieć tyle pieniędzy, nie mogę wyjść z podziwu.



Damazy Macoch i ks. Bazyli Oleśński oko w oko.

Prokur.: Skądże jednak Damazy mógł brać pieniądze?

Oskarż.: Mógł je tylko kraść z owej konserwy. Po tej kradzieży Bonawentura był zawsze zgryźliwy i to w końcu przyczyniło się nawet do jego śmierci.

Podprok. Katranowskij: Czy za Bonawentury skrzynki w skarbczyku były zamykane i dlaczego posypywał pieniądze piopiołem?

Oskarż.: Skrzynki takie były, a posypywał popiołem dlatego, że nie mógł pieniędzy codziennie liczyć.

— A czy były przedtem jakie kradzieże takich pieniędzy?

— Nie wiem.

— Podczas największego odpustu jaki mógł być największy wpływ pieniędzy?

— Podczas koronacyi obrazu było 15,000 rubli.

Oko w oko.

Prezes wzywa obu oskarżonych: Damazego i Bazylego przed stół sędziowski. Stają naprzeciwko siebie: Damazy obojętny, Bazyli zgorączkowany.

Publiczność niezmiernie jest zacie-

kawiona tym przyszłym pojedynkiem na słowa dwóch oskarżonych.

— Przecież ty najlepiej wiesz, jak to było — mówi Bazyli do Damazego— opowiedz!

— Brałem pieniądze ze skarbczyka— odpowiada z rezygnacyą Damazy. — Gdybym brał skądinąd, tobym powiedział teraz całą prawdę.

Wówczas Bazyli z uniesieniem zapytał:

— Powiedz, za co Wacława zabiłeś.

I przypomina zeznania Chęcińskiego co do owej tajemnicy, o jakiej Chęcińskiemu Wacław wspominał.

— Chciałbym przecież za to wszystko sam odpowiadać — mówi Macoch. — Cóżby mi na tem teraz zależało mówić inaczej. Potwierdzam to, co początkowo zeznałem.

— Kiedyś ty bywał w skarbczyku?— pyta Bazyli.

— W porze obiadowej — odpowiada Macoch.

Rozmowa wzięła obrót tak gorący, oskarżeni jeden drugiego chciał przegadać, że prezes zwrócił uwagę, aby mówili pojedynczo.

Duet się skończył — ale nic nowego nie przyniósł — chyba wrażenie, iż w pochodzeniu pieniędzy macochowych kryje się tajemnica...

Prezes polecił oskarżonym zająć swoje miejsca.

Siedli.

* *
*

Dziś odczytywanie dokumentów i oględziny dowodów rzeczowych, czyli zakończenie śledztwa sądowego.

Dziś też zacznie swą mowę oskarżającą prokur. Niedźwiedzki.

—*—

Szanowna Redakcyo!

Proszę uprzejmie o uzupełnienie sprawozdania z zeznań moich i żony w sprawie Macocha. Gdy byłem zapytany przez p. K. Piotrowskiego, czy Macoch dawał prezenty, zaznaczyłem, że dał zegarek, lecz bez dewizki, następnie zeznałem, że ja również odwzajemniałem się prezentami i dałem jedwabne chusteczki w cenie 18 rb., przybory na biurko (10 rb.), stułę (25 rb.) nie licząc własnej pracy, koszyk srebrny ofiarowany p. H. Macochowej (10 rb.) i wiele innych drobnych. Od rodziców Macoch dostał kożuch wartości 30 rb.

Żona moja zeznała, że otrzymała miniaturową kolię w cenie 10 rb., a nie z szafirami, rubinami i brylantami, następnie broszkę koralową wartości rb. 10.

Wacława i Damazego Macocha żona poznała nie u proboszcza, lecz w telegrafie, gdy Wacław zdawał egzamin, a żona moja miała zamiar wstąpić do telegrafu na urzędniczkę. Zaznaczam, że otrzymane od Macocha i Macochowej podarunki ofiarowuję klasztorowi Jasnogórskiemu.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku.

Adam Jeżewski.

Przyłączając się do powyższego zaznaczam, że stare pianino, pochodzące z niewiadomego mi źródła i podarowane mi przez H. Macochową, ofiarowywuję, spieniężywszy je na klasztor Jasnogórski.

Antonina Ostrowska.

Dzień szósty.

Zbliżamy się do końca.

Publiczności zgromadziło się więcej niż zwykle.

Godz. 10 min. 40. Nagle w sali zrywa się jazgot piskliwy, to panie obecni' na sali zaczęły swój "szczebiot" o miejsca na pierwszych ławkach: "Ja przyszłam pierwsza." "Nie, ja pierwsza,'-

"Mnie się należy!" Wreszcie woźny spór rozstrzygnął:

— Pierwsze miejsca zająć mogą panie najstarsze wiekiem.

Wszystko naraz umilkło. Dopominające się o miejsca na ławkach, przeznaczonych dla świadków, a dziś pustych, panie siadły tam, gdzie siedziały. Nie było najstarszej wiekiem, a z miejsc na ławkach pierwszych zaczęły korzystać te osoby, które później przyszły.

Ale oto nowe zajście.

Za stołem prasowym siada p. Szebujew, autor zjadliwego artykułu o adw. Korwin-Piotrowskim.

Ten ostatni zoczył go przez swój monokl i po przez przestrzeń dzielącą stół od ławy obrończej, monologuje:

— Szebujew, mógłbyś usiąść gdzieindziej, a nie naprzeciwko mnie, boś mi obrzydł i uprzykrzył się. Nazwałeś mnie w jednem ze sprawozdań Puriszkiewiczem, ale nie zapominaj, że na taki występ od Puriszkiewicza dawnobyś dostał po twarzy, lecz ja jestem Korwin-Piotrowski i bić cię nie będę, bo szkoda brudzić rękę.

Sensacya!

Czekamy, co będzie...

P. Szebujew zmilczał, a dopiero później mówi do sąsiadów:

— Przecież i Puriszkiewicz tak samo odpowiada.

Bardzo dobrze. Wesołość ogólna.

Wprowadzają więźniów.

Rozmowa na temat:

— Za co zabity został Wacław Macoch?

Jeden z sądowników jest zdania, że na tle romantycznem, —przez zazdrość, iż odbił naprawdę Helenę Damazemu.

Drugi — że wiedział o tajemnicy Damazego, który się bał zdrady.

Trzeci powiada:

— Et, był to sobie szantażysta, który przeciągnął strunę i Damazy z irytacyi zabił go, gdy złość w nim wezbrała.

Sąd wchodzi. Poruszenie.

Proszę siąść!

Siadamy.

Woźny sądowy oznajmia, że zjawił się świadek Władysław Śląskowski.

Obrońca Macochowej prosi o dodatkowe zbadanie ks. Piusa Przeździeckiego; podtrzymuje tę prośbę obrońca Starczewskiego, prokurator niema nic przeciwko temu. Sąd postanawia zbadać. O. Pius jest po raz trzeci badany.

Prezes: Ksiądz był już zwolniony do domu, czy ksiądz przyrzekł komu pozostać w sądzie?

O. Pius: Nie, dla własnej ciekąwości chcę pozostać do końca.

Adw. Korwin-Piotrowski: Chciałbym się dowiedzieć, czy o. Piusowi wiadomo, że zabity w Krakowie Rybak powoływał się na Damazego Macocha i czy nie słyszał, że ów Rybak chciał w klasztorze jasnogórskim urządzić skład "bibuły" i broni?

Prezes: Ależ co to ma do sprawy?

Adw. Korwin-Piotrowski: Właśnie, ekscelencyo, chodzi o charakterystykę oskarżonego Macocha.

O. Pius: Czytałem w prasie zagranicznej, którą to wiadomość powtórzyła prasa polska tutejsza, że jakiś Rybak był w porozumieniu z Damazym Macochem.

Prezes: Kto to był ów Rybak?

O. Pius: Nie wiem, był to jakiś proces...

(Podpowiadają z boku: Trudnowskiego!)

— Proces odbył się w Krakowie.

Adw. Korwin-Piotrowski: Ależ proszę świadka, chcielibyśmy wyraźnie usłyszeć, kto był ów Rybak: prowokator? szpieg?

Prezes (do adw. Piotrowskiego): Panie adwokacie przysięgły, nie do pana należy zwracać uwagę świadkowi. (Do świadka): Gdzie pan czytał?

O. Pius: Zdaje się w "Czasie" pisano o tem, ale stanowczo nie wiem, aby nieszczęsny brat Damazy był w porozumieniu z owym Rybakiem.

Prokurator: Na ostatniem posiedzeniu świadek opowiedział nam dzieje zakonu paulinów, czyby nie mógł dziś nam opowiedzieć, dlaczego nastąpiło takie rozprzężenie w klasztorze?

O. Pius: Reguła nasza jest surowa, gdyby ją obserwowano ściśle, jestem pewny, że nie doszłoby do takich objawów, jak naprz. zbrodnia zabójstwa. Regułę naszą, która nie zawiera w sobie absolutnie nic przeciwrządowego, rząd akceptował, pozostawiając nasz zakon. Ale nie wniknięto w ducha naszej reguły. Ustanowiono dla zgromadzenia proboszcza (nastojatiela), któremu nadano wszelką władzę, zarówno na zewnątrz jak i na wewnątrz klasztoru, tymczasem nasza konstytucya zakonna zezwala na rozstrzyganie spraw kolegialnie, przez całe zgromadzenie. Dawniej tak bywało, że o przyjęciu każdego, kto chciał wstąpić do klasztoru, decydował konwent. — Nakaz władz rządowych, a rozporządzeń takich pilnują w stosunku do Jasnej Góry wszyscy, począwszy na stójkowym, znalazł się w sprzeczności z regułą zakonną i to właśnie dało zupełną władzę przeorowi, który sam przyjmował kandydatów i sam o ich losie decydował.

Przed ośmiu laty zwracano uwagę na niewłaściwe postępowanie Damazego przeorowi, który jednak odpowiedział: to nie wasza rzecz, ja jeden tylko mam władzę rozstrzygania spraw takich.

Sprzeczność rozporządzeń z regułą coraz większe powodowała rozprzężenie, a doszło do tego, że wszystko niemal działo się bez wiedzy zgromadzenia. Tymczasem co jak co, ale o tem, kto między nas wejdzie, powinniśmy nietylko wszyscy wiedzieć, ale upewnić się co do konduity kandydata. Przecież na zakonnika może wstąpić, według przepisów rządowych, tylko taki mężczyzna, który skończy lat 24, więc z pewną przeszłością życiową.

Dziś te warunki pogorszyły się, bo po strasznej zbrodni w klasztorze władze rządowe zabroniły kandydatom przebywać przez czas jakiś sposobem próby, lecz odrazu mają być zakonnikami. Nie mamy więc nawet możności poznania ich charakteru, nie mamy możności zaobserwowania w nich dobrych czy złych stron duszy.

Sprzeciwia się to regule paulinów, ale zgodne jest z przepisami rządowemi.

Wogóle w ingerencyi nie zadawano sobie trudu zaznajomienia się z konstytucyą zakonną, ale zalecano to, co sprzeciwiało się zasadom reguły.

Adw. Kleyna: Czy wieści o Damazym Macochu odnośnie jego rzekomych stosunków z Rybakiem pochodziły ze źródeł bezpośrednich, czy też czerpane były tylko z gazet?

Świadek: Tylko z gazet.

Prezes poleca wezwać świadka Ślązkowskiego, który zjawia się. Wynika kwestya co do zaprzysiężenia go.

Jeden z adwokatów podchodzi do stołu sędziowskiego i rekomenduje ks. Przeździeckiego na odbierającego przysięgę, prezes mówi, że to nie do adwokata należy, tembardziej nie do adwokata, który nie jest obrońcą Bazylego Olesińskiego, a świadek właśnie z jego strony jest wezwany.

Tem nie mniej prezes prosi, aby o. Pius odebrał od świadka przysięgę. Ks.

Przeździecki zdejmuje czarną sutannę i ukazuje się w białym habicie, nakłada komżę i stułę i w języku polskim odbiera od świadka przysięgę.

Władysława Słąskowski jest zawiadowcą stacyi Radomsk od półtora roku, był przedtem urzędnikiem kolejowym w Częstochowie, jest siostrzeńcem o. Rejmana.

Opowiada, że po wyjściu z gimnazyum w Warszawie, sposobił się do stanu duchownego, skończył seminaryum we Włocławku, był w akademii duchownej w Petersburgu, ale jako kleryk wystąpił i wszedł na inną kolej życia.

Na Jasnej Górze bywał od lat 24, odwiedzał wuja Rejmana po kilka razy na miesiąc, znał się z Bazylim dobrze.

Kiedy rozeszła się wieść, iż umarł o. Bonawentura Gawełczyk zwrócił się do niego urzędnik kolejowy z Radomska, Michał Gruszczyński, syn sekretarza magistratu z Częstochowy i powiedział, że babka jego Hombkowa dała do przechowania o. Bonawenturze 5,000 rubli, prosząc, aby świadek dowiedział się, jak to jest z tym depozytem.

Pojechał do Częstochowy i kiedy wszedł do mieszkania o. Rejmana z Bazylim o znalezionej w celi Gawełczyka paczce z 15,000 rubli mówiono otwarcie, nie kryjąc się przed świadkiem.

Kiedy się zapytał wuja Rejmana, czy nie pozostał jaki depozyt w kwocie 5,000 rb., o. Rejman odpowiedział, że takiego depozytu niema.

Po tej odpowiedzi, wyszedł z Bazylim do jego celi, siedział tam do godz. 10 wieczór i Bazyli szczegółowo opowiadał mu, jak owa paczka z 15,000 rublami została znaleziona.

Przechodząc przez zakrystyę, widział Damazego jako dyżurującego tam.

W dwa tygodnie po tem spotkał wa Radomsku Izydora Starczewskiego, który mu mówił, że depozyt Hombkowej jest to tylko bajka.

O Damazym świadek słyszał różne niepochlebne wieści i kiedy pewnego razu zwrócił był na to uwagę Rejmanowi, ten odpowiedział, że boi się usuwać od godności klasztornych Damazego, gdyż mu zagroził, że tak zrobi, iż klasztor zamknie.

(W tem miejscu Macoch drwiąco się śmieje).

Olesiński miał w swem rozporządzeniu kasę; nie potrzebowałby brać z niej pieniędzy pokryjomu.

Adw. Chądzyński: Czy Damazy dobrze był z Olesińskim?

Świad.: Mówiono mi, że Damazy skarżył się przed wizytatorem klasztorów na o. Rejmana i Olesińskiego, że mało dają mu pieniędzy.

Adw. Kleyna prosi sąd, aby zapytał oskarżonego Macocha, co do rzekomego jego stosunku z Rybakiem.

Prezes czyni odpowiednie zapytanie.

Macoch (wzburzony): Ja żadnego Rybaka nie znałem. Kochałem klasztor i źle mu nigdy nie życzyłem. Byłem księdzem katolickim, prawda, upadłem, ale szpiegiem nie byłem. Takie oskarżenie mi ubliża. Kłamstwem jest takie podejrzenie, kłamstwem jest to, że mnie się Rejman bał i mnie nie lubił. Nigdy nie było tego, abym chciał klasztor zdradzać lub mówić o jego tajemnicach.

Prezes zadawala się tą odpowiedzią i oświadcza Macochowi, żeby przestał, poczem zarządza obejrzenie zawartości pudełka z precyozami Heleny, znalezionego podczas jej aresztowania w Szreniawie.

Kosztownych tych świecidełek jest liczba spora: bransolety, broszki, zegarek damski złoty, 7 pierścionków z bryntami, tudzież kilkanaście sztuk mo-

net złotych, wszystkie belgijskie, prócz dwóch węgierskich i jednego dukata polskiego.

Poczem prezes ogłasza, że śledztwo sądowe zostało ukończone.

Ogółem wezwano świadków ze strony oskarżenia 90, ze strony obrony 23, razem 113, przesłuchano ogółem 91. Nastąpiła przerwa, po której prezes o godz. 1 m. 40 udzielił głosu oskarżycielowi publicznemu, podprokuratorowi izby sądowej, p. Niedzwieckiemu. Mówił przeszło godzinę, poczem zażądał przerwy, którą prezes ogłosił do godz. 3 po poł.

Mowa prokuratora.

"Panowie sędziowie! Przed rokiem i siedmiu miesiącami ludność i władze pow. radomskowskiego zostały wzburzone i zakłopotane niezwykle zagadkową zbrodnią, której ofiara w postaci zwłok zabitego nieznanego człowieka, zapakowanego do wnętrza sofy, wykryta została wypadkowo z rana dn. 26 lipca r. 1910 pod wsią Zawady przy drodze.

Trzeba było prowadzić poszukiwania nie tylko w celu wykrycia sprawców zabójstwa, ale i w celu stwierdzenia osobistości zabitego.

Jak to bywa w tego rodzaju wypadkach, stoustna fama ludowa, a w części za nią prasa podała pogłoski i dane, że zabity został jakiś oficyalista dworski, to jakiś hrabia z gub. kieleckiej. Również prasa ogłosiła dane, że zabitym jest niejaki Wujcikowski, wreszcie, iż zabitym być może jest właściciel ziemski Więckowski, brat nauczyciela jednego z gimnazyów w Petersburgu. Już w d. 7 sierpnia "Kuryer Warszawski" napewno twierdził, że zabitym jest nikt inny, tylko Wujcikowski.

Ale rychło okazało się, że ten rzekomy nieboszczyk jest zdrów i cały, przytem władze, prowadząc poszukiwania w innym kierunku od samego początku wykrycia trupa w sofie, natrafiły na trop właściwy, jednak od czasu znalezienia zwłok do wykrycia zabójstwa upłynęło przeszło dwa miesiące. W ciągu całego tego czasu zainteresowanie sprawą wykrycia trupa nie zmniejszało się ani wśród społeczeństwa, ani wśród prasy, która już w drugiej połowie września zaczęła rozważać wyniki poszukiwań, skierowanych do klasztoru, ogłaszając zdobyte dane.

Tymczasem ks. Damazy Macoch, przebywający w tym samym czasie w w Warszawie w mieszkaniu Heleny Macochowej, dowiedziawszy się, że na niego padło uzasadnione podejrzenie o zabójstwo męża Heleny, postanowił uciec i d. 1 października zbiegł razem z Macochową do gub. kieleckiej, a d. 6 października za granicę.

Dzięki temu, że policya i prasa (!) nie zasypiała sprawy, szczęśliwie udało się w d. 7 października ująć Damazego Macocha w Krakowie i Helenę Macochową w Szreniawie.

Oto dla czego ks. Damazy Macoch stanął pp. sędziowie przed wami, przyczem smutny swój los związał z losem szeregu innych osób, które panowie widzicie również przed sobą na ławie oskarżonych. Będąc zaskoczony, ks. Damazy spostrzegł, iż nie wyrwie się z rąk sprawiedliwości i przyznał się nietylko do zabójstwa męża Heleny Macochowej, ale i do systematycznej kradzieży pieniędzy z kasy klasztornej i do udziału z ks. Bazylim Olesińskim w kradzieży rb. 5,000 z funduszów zmarłego ks. Bonawentury Gawełczyka. Podczas śledztwa Damazy uzupełnił swe zeznanie tem, że pieniądze klasztorne kradł, nietylko on, ale i księża: Bazyli Olesiński i Izydor Starczewski,

przy pewnej pomocy Pertkiewicza, który podrobił klucze, dalej uzupełnił tem, że pociąg miłości i związek z Heleną zmusiły go zaopatrywać ją w kradzione pieniądze i wreszcie, że w interesie tej samej Heleny sporządził dwa fałszywe dokumenty i podrobił pieczęć urzędową, zrobioną na jego obstalunek przez grawera Cyganowskiego.

Popełnienie zbrodni zabójstwa i świętokradztwa w starożytnym i niezmiernie czczonym klasztorze jasnogórskim i bezpośredni udział w tych zbrodniach trzech księży — zakonników tegoż klasztoru sprawiły olbrzymie wrażenie wśród społeczeństwa polskiego i głęboko zasmuciły lud wierzący. Społeczeństwo bowiem nie zdążyło jeszcze zapomnieć o haniebnem wydarzeniu, jakie stało się na rok przedtem w tym samym klasztorze, kiedy to w nocy na 23 października 1909 r. jakieś nie wykryte w zupełności dotychczas ręce świętokradcze zuchwale zerwały z częstochowskiego Cudownego Obrazu Matki Boskiej i zrabowały kosztowne korony i sukienkę, które obraz ozdabiały od wieków.

Wieść o zabójstwie w obrębie klasztoru, już przy majestatycznej świątyni chrześciański, istniejącej szóste stulecie w klasztorze częstochowskim, a przytem o zabójstwie, dokonanem przez księdza mnicha, zadała wielki cios uczuciom religijnym narodu polskiego, a systematyczna kradzież pieniędzy klasztornych i dalekie od zakonnego życia postępowanie mnichów, jeszcze bardziej zasmuciło społeczeństwo, że takim ludziom, między innemi, powierzona została czczona bogobojnie przez wszystkich świątynia chrześciańska.

Istotnie, takie wydarzenia w klasztorze — mogły wywołać popłoch w społeczeństwie i skłonić je do zastanowienia się. Lud nawykł wierzyt, że klasztor, jego skarby i świątynia znajdują się w pewnych rękach. Kroniki dawnych czasów pozostawiły nam wiadomości o innych czynach bohaterskich ojców — paulinów klasztoru częstochowskiego, innych niż te, które stanowią przedmiot sprawy niniejszej. Były to czyny prawdziwej wiary, pokory, poświęcenia chrześciańskiego i patryotyzmu. Jedno z takich bohaterstw podczas obrony klasztoru, dokonane przez przeora tegoż mnicha, Augustyna Kordeckiego, poetycznie opisane zostało w znanem utworze Sienkiewicza "Potop."

Ostatnie wydarzenia w klasztorze, których religijno-społeczne znaczenie z ożywieniem było komentowane i szeroka fama, która uchyliła nieco ciemną zasłonę życia klasztornego, pełnego pikantnych szczegółów, stworzyła dla niniejszego procesu sławę głośnego i sensacyjnego.

Haniebne przestępstwa trzech osób z braci klasztornej, oczywiście same przez się nie mogły i nie mogą zachwiać silnej wiary ludu polskiego. Jasna Góra niewątpliwie po dawnemu będzie przyciągała setki tysięcy pielgrzymów, szukających przed Cudownym Obrazem Najświętszej Władczyni pociechy duchowej, uzdrowienia i łask wszelkich.

Jednakże, na zasadzie danych procesu niniejszego społeczeństwo nie może nie wyprowadzić wniosku, że ojcowie paulini częstochowscy, którym zostało powierzone Sanktuaryum Polski — nie wszyscy stoją na wysokości swojego powołania i ślubów zakonnych i że życie klasztorne oraz porządki wymagają odnowienia. Nie przepisy ale ludzie stwarzają sławę dla każdej instytucyi."

W dalszym ciągu prokurator przystępuje do oskarżenia osobistego obwi-

nionych. "Oskarżony ks. Damazy Macoch oddany został pod sąd pod zarzutem pięciu przestępstw"—tu prokurator zastanawia się szczegółowo nad każdem z tych przestępstw i dochodzi do wniosku, że przyczyną zabójstwa mogła być, jak twierdzi Helena, zazdrość Macocha o Helenę, gdy dowiedział się od niej, że pokochała swego męża i nie zdradzi go. "Oskarżony niewątpliwie był przywiązany do Heleny i żeniąc ją ze swym stryjecznym bratem, sądził, że stworzy sobie parawan, a pod firmą pokrewieństwa będzie utrzymywał w dalszym ciągu stosunek."

Jednocześnie mniemam, że był też inny motyw zbrodni, mianowicie obawa Damazego Macocha przed tem, że zmarły, domagając się odeń wielkiej kwoty pieniężnej, odsłoni w razie odmowy, jakąś jego tajemnicę, a przedewszystkiem ujawni kradzieże pieniędzy z klasztoru. Wacław Macoch niewątpliwie mógł się dowiedzieć o tych kradzieżach od Heleny w chwili ścisłego sam na sam i w chwilach szczerości lub sam się domyślić i zagrozić Damazemu.

Nie zabił też Damazy Wacława w chwili uniesienia, lecz z premedytacyą.

Co do oskarżonego ks. Starczewskiego to jest on pod zarzutem dwóch przestępstw: ukrywania zabójcy i kradzieży z funduszów klasztornych.

Prokurator dowodzi ukrywania na podstawie telegramów i listów Izydora do Damazego.

Między innemi co do charakteru Izydora prokurator przytacza, że miał znajomości w Sosnowcu z damami, które w listach poufale i żartobliwie nazywały go: "Jaśnie oświeconym andrusem," "łobuzem" i "dokazywaczem."

Podtrzymuje też prokurator oskarżenie Olesińskiego, Heleny Macochowej, Pianki, Błasikiewicza, Pertkiewicza i Cyganowskiego.

"Panowie sędziowie — kończy swą mowę prokurator — w tej sprawie w liczbie oskarżonych podlegają wyrokowi panów trzej księża mnisi zgromadzenia paulinów, którzy zgrzeszyli przeciwko prawom boskim i ludzkim — nie zabijaj i nie kradnij — nakreślonych zarówno na tablicy Dziesięciorga Przykazań, jak i w kodeksie karnym. Ci oskarżeni jako kapłani mieli prawo w imieniu Boga "wiązać i rozwiązać" grzechy ludzi, komu zaś wiele dano, od tego winno wiele się też wymagać. Mam zasadę wyrazić nadzieję, że i panowie surowo ukarzecie tych oskarżonych. Zwierzchność duchowna również spodziewa się od panów sprawiedliwego sądu nad rzeczonymi kapłanami i wyroku, któryby mógł choć w części uspokoić jak mniema władza duchowna, oburzoną ich przestępstwami opinię publiczną i sumienie.

Oskarżony Macoch, między innemi, jeszcze przed wykryciem jego winy, sam wydał na siebie wyrok, powiedziawszy w rozmowie o trupie do świadka Ostrowskiego, że ręka Boska dosięgnie i ukarze zbrodniarza. Lecz będzie to sąd Nieba, wy zaś panowie ukarzcie go sądem ziemskim. Gdy pójdziecie do izby naradczej i surowo osądzicie i zważycie na szalach bezstronnej Temidy dane tej sprawy, przemawiające przeciwko i za oskarżonymi, to w tym lub innym stopniu uznacie, że wina oskarżonych jest udowodniona i nie możecie, według mego przekonania, wynieść innego, tylko karzący wyrok dla wszystkich oskarżonych. Sprawiedliwość przedewszystkiem a nietylko społeczeństwo oczekuje od panów takiego wyroku."

*

* *

Następnie zabrał głos drugi oskarżyciel, autor oskarżenia i podprokurator Katranowskij.

Mowa jego oparta głównie na uczuciach religijnych, zbezczeszczonych przez obwinionych mnichów przy udziale Heleny Macochowej, posiada mocne momenty. Prokurator bronił czystości owych uczuć, oskarżał za ich skażenie głównie Macocha i Starczewskiego, występował przeciwko takim czynom, jakich się dopuściła Helena Macochowa w stosunku do mnicha, który ślubował i przysiągł Bogu czystość i ubóstwo.

Mowa obfita w zwroty krasomówcze, w akcenty szczere, wiarę w wypowiadane argumenty, sprawiła silne wrażenie, to też gdy skończył, cała sala, prócz sędziów, rzecz prosta oskarżonych i ławy obrończej — dała mówcy rzęsiste oklaski, które prezes z trudem powstrzymał i publiczność w niestosownym objawie poskromił.

Podczas mowy Helena Macochowa wprost się rzucała na ławie, sycząc czasami: to nieprawda! Macoch i Starczewski ukryli twarze poza przegrodą.

Jutro mówić będą obrońcy.

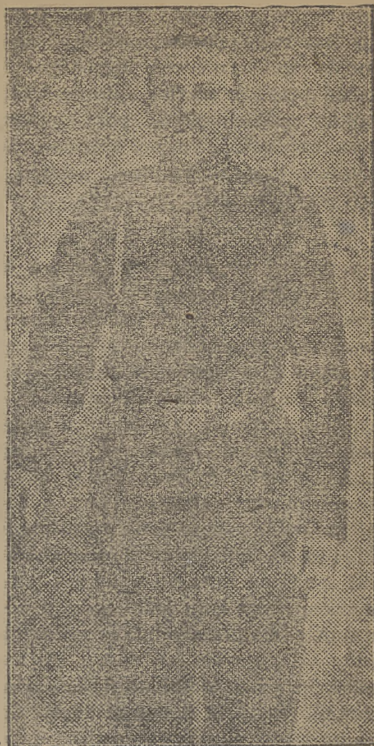
Pierwszy wystąpi obrońca Macocha adw. Klevna.

Dzień siódmy.

5 Marca.

Mowa podprokuratora Katranowskiego.

W zupełności przyłączając się do mowy starszego kolegi w oskarżeniu, chciałbym, panowie sędziowie, dotknąć raz jeszcze niektórych tylko okoliczności niniejszej sprawy, oświetlić je pod pewnym i innym kątem i przedstawić pod tym względem swoje kom-



Stanisław Załóg.

binacye. Być może zwróciliście panowie uwagę na dziwną z pierwszego wejrzenia konstrukcyę sprawy niniejszej. Może panów zdziwiło połączenie w jednym procesie takich różnorodnych, nic wspólnego ze sobą nie mających przestępstw, jakoto zabójstwo, świętokradztwo, kradzieże, fałszerstwa. Być może zadawaliście sobie pytanie, dlaczego władza oskarżycielska zbudowała takie pomieszanie. Dlaczego nie rozbiła tego olbrzymiego i skomplikowanego procesu na kilka osobnych

i zwyczajnych spraw?... Lecz pp. sędziowie, zabójstwo, biorąc je oddzielnie, czyż to nie ciężka zbrodnia? Czyż to jest rzeczą prawdopodobną, aby mogło się zdarzyć coś podobnego? A może to znowu omyłka sądowa, którą należy jaknajprędzej, póki jeszcze czas, naprawić? Oto, pp. sędziowie, te pytania, które niewątpliwie powstałyby przed panami.

Panowie sądzicie nie fakty, nie wydarzenia i nie automaty, biorące w nich udział, lecz sądzicie człowieka... Panowie sądzicie go nie według formalnych dowodów, lecz na zasadzie wewnętrznego swego przekonania, według własnego sumienia. Sądzicie panowie jego duszę, jego złe zamiary, jego przestępcze dążenia, które wyraziły się czynach realnych, które wylały się na zewnątrz w formie dotykalnej. I oto, żeby dowieść panom, że niema tu omyłki sądowej, że ta ciężka zbrodnia istotnie spełniona została i spełniona mianowicie przez tych ludzi, którzy siedzą przed wami na ławach oskarżonych żeby okazać wam ich duszę, ich złe skłonności i dążności występne, żeby dowieść wam, iż ludzie ci zdolni do wszystkiego, władza oskarżająca zgromadziła wobec was cały ten materyał.

Lecz przechodzę do tej formy, którą gazety nazwały "trup w sofie." Z tego powodu pisano bardzo wiele. Budowano domysły i przypuszczenia, dawano władzom sądowym rady i wskazówki, wykopywano skądś świadków, a najwięcej w tem wszystkiem było ironii i żartów z nieumiejętności rozróżniania szczegółów, z niemocy wykrycia winowajców. Przytaczano przykłady wykrycia bardziej zagadkowych zbrodni (dr. Crippen) zagranicą. Przeprowadzano paralelę między akcyą zagranicznych i naszych władz, a wnioski stawiano zawsze nie na korzyść tych ostatnich...

A tymczasem władze sądowe krokiem wolnym, lecz gorliwym szły po zaznaczonej drodze i stanęły przed bramami klasztoru jasnogórskiego... I oto zabójca oraz ci, którzy go chcieli ukryć przed wami, pp. sędziowie!

Nawet sam zabójca, Damazy Macoch, zabójstwu nie przeczy. Pytanie tylko sprowadza się do tego, czy zabójstwo dokonane zostało z obmyślonym z góry planem, czy spełnił je, jak mówi oskarżony, w stanie zapalczywości lub rozdrażnienia. Gdy panowie sędziowie porównacie takie dwie zbrodnie, odrazu zobaczycie między niemi wyraźną różnicę. Zabójstwo w zapalczywości i rozdrażnieniu zdarza się jednocześnie wypadkowo, gdy niespodzianie spotkali się zabójca i ofiara.

Narzędzie zabójstwa stanowi pierwszy lepszy, który się nawinął pod rękę przedmiot. Trup zabitego nie jest ukrywany, a ślady zbrodni nie są zacierane. Sam zabójca nie ucieka od kary, ale w większości wypadków oddaje się dobrowolnie w ręce władz lub pozbawia się życia.

Zabójstwa obmyślone inne posiada metody. Zabójca oblicza każdy swój krok, ukradkiem zbliża się do swej ofiary, a następnie nie postrzeżenie znika. Miejsce zbrodni wybrane zostaje zawczasu i tam zwabiana jest ofiara. Napadu dokonywa się w takiej chwili, kiedy najmniej można spodziewać się oporu. Zwłoki ukrywa się, a wszelkie ślady zbrodni pilnie są zacierane, sam zaś zabójca przeważnie ucieka.

Jeżeli pp. sędziowie weźmiecie obie te miary i przyłożycie do niniejszego przestępstwa, to odrazu będzie dla was rzeczą jasną, która z tych miar pasuje do niego. Lecz, oczywiście, tego jest

nie dość. Nie mamy ani żywych świadków, ani dowodów piśmiennych, któreby nam powiedziały, jak dokonano zabójstwa w klasztorze jasnogórskim. Natomiast przecież mamy mnóstwo świadków niemych i to świadków pewnych, którzy się nie mylą, gdyż ani uczuć ani nastrojów nie posiadają. Tymi świadkami są rany i ślady uduszenia na zwłokach Wacława, opakowanie, sofa i to wszystko, co zostało z góry obmyślone, aby wciągnąć i zabić ofiarę. Pp. sędziowie zważcie tylko na same gołe fakty: zabójstwa dokonano w celi, zamieszkanej przez winowajcę; ofiara tu została wezwana, narzędzie przygotowano; mordu dokonano podczas snu; trupa wywieziono, ślady zatarto, zabójca ukrył się. Czyż te fakty nie mówią nam zupełnie wyraźnie że zabójstwo było z góry uplanowane? A gdzież wreszcie Damazy Macoch mógł wygodniej dokonać zbrodni? Czy w mieszkaniu zabitego, czy na ulicach Warszawy, czy przez wynajęcie zbira? Jedno niemożliwe, drugie niewygodne, trzecie ryzykowne. I rzecz prosta, wybór swojej celi za staremi ścianami świętej pustelni dokonany został po dojrzałym namyśle.

Pozostaje tylko niewyjaśniony motyw zbrodni. Przechodzę do niego. Stawiano tylko jeden wyraźny i określony motyw: usunięcie z drogi swojej człowieka, który przeszkadzał ks. Damazemu w posiadaniu ukochanej kobiety. Sądzę, że tego motywu będzie dla panów zupełnie dosyć.

Lecz, aby tego dowieść, muszę zatrzymać uwagę panów na tych stosunkach, które stworzyły się między zabójcą, ofiarą i tą kobietą, z powodu której wyniknął dramat. Poznawszy się z panną Heleną Krzyżanowską, wszedł z nią w związek i przywiązał się do niej całą siłą swej żywiołowej namiętności. O miłości, o tej prawdziwej miłości, w najwyższem znaczeniu tego słowa, oczywiście, tu nie było mowy. Dusza H e l e n y Krzyżanowskiej Macochowi wcale nie była potrzebna, jemu było potrzebne tylko jej ciało. Dowiódł tego w następstwie całem swem postępowaniem względem Krzyżanowskiej.

Dalej podprokurator opisuje życie Krzyżanowskiej w Warszawie, jej, tam znajomości, zabiegi Damazego około wydania jej za mąż, wreszcie ożenienie z nią Wacława.

"Zdawało się, że parawan został znaleziony, lecz zupełnie niespodzianie dla ks. Damazego parawan ów zamienił się na brandmur. Helena przywiązuje się do męża i zaczyna okazywać chłód dla kochanka. Zdobycz, pomimo wszelkich starań ks. Damazego, wyślizgiwała się z rąk.

W dodatku nowy mężulek oprócz stałych żądań pieniędzy, oprócz ciągłych zniewag i szyderstw, żadnej nie miał doń skłonności. Ks. Damazy, znalazłszy się w położeniu człowieka, który musiał wybrać alternatywę: albo zrzec się raz na zawsze ukochanej przez siebie kobiety, albo usunąć z drogi człowieka, który mu przeszkadzał, wybrał to drugie.

Trudno jednak było pozbyć się Wacława w drodze wykupu. Mógł zażądać sum olbrzymich, nie dość na tem mógł stać się pijawką, któraby ssała Macocha bez końca.

Tymczasem źródła Macocha zmniejszyły się... Drzwi do skarbczyka przerobiono.

I oto pod tem wrażeniem w głowie Damazego zrodził się ten plan piekielny, który odrazu z takiem powodzeniem wprowadził w wykonanie.

Prokurator barwnie opisuje charaktery obu stryjecznych braci: Damazego i Wacława. Ten ostatni lekkomyślny,

chciwy na pieniądze, żeni się, wiedząc iż przyszła żona jest i będzie kochanką Damazego, byle dostać obiecane mu 20,000 rb. Damazy jest zupełnem przeciwieństwem Wacława.

Jestto człowiek ostrożny, obliczający każdy swój krok, dążący wytrwale do wyższości położenia. Przepędziwszy młode lata w kancelaryi gminnej, nawyknąwszy dogadzać wszystkim i każdemu, umiał postępować z ludźmi, umiał w odpowiednich wypadkach być dla nich pożytecznym. Tę umiejętność życia i zdolność postępowania z ludźmi dlań potrzebnymi przyniósł z sobą do klasztoru, gdzie początkowo zdobył sobie ogólną sympatyę i miłość.

Pozyskał sobie szczególniejsze zaufanie przeora Rejmana, a kiedy był dla niego człowiekiem niezbędnym, jego prawą ręką, poszedł na całego.

Służba wie, iż ma kochankę, idą nań skargi do konsystorza, przeor stara się go poskromić — Damazy nic sobie z tego nie robi, przeciwnie grozi zamknięciem klasztoru.

Pozostawiają go w spokoju, gdyż wiedzą, iż człowiek ten na wszystko jest zdolny.

Tutaj prokurator przytaczał szereg długi argumentów o kradzieżach dokonywanych przez Macocha i oświadcza:

— Oto są ci dwaj ludzie, Damazy i Wacław, którzy spotkali się na drodze życiowej, na tej drodze, z której jeden z nich musiał ustąpić. Odrazu widzicie pp. sędziowie, który z tych dwóch musiał zginąć.

Każdy krok Damazego, wszystkie jego zeznania na śledztwie dowodzą, że dokonał mordu z premedytacyą.

Przygotował wszystko do tego, nawet siekierę, którą, jak mówi, pożyczył po to, aby nałupać drzazg do zabezpieczenia ubrania od molów. Jeżeli jest naprawdę taki sposób ochrony przed molami, to cóż Macoch chciał zabezpieczyć? Owe stare futro z małp, oszacowane na rb. 1 kop. 50, w które owinął swą ofiarę i rzucił do wody. Wszak innych rzeczy w celi Macocha nie znaleziono i o nich Macoch nic mówił.

Jakto? Więc człowiek, który rzuca dziesiątki tysięcy rubli na kobiety, taki człowiek kłopota się o zachowanie futra półtorarubłowego?

I dlaczego wreszcie tak starannie zatarł wszelkie ślady zbrodni i ukrył trupa? Macoch odpowiada na to, że tak mu poradził zrobić jego spowiednik. Ależ pp. sędziowie, czyż jest możliwością przypuścić, żeby znalazł się taki sługa ołtarza, któryby mógł dać podobną radę?

Jeśli zechcecie pp. sędziowie, to zrobię takie przypuszczenie. W klasztorze częstochowskim był taki kapłan... i jest on przed wami obecnie na ławie oskarżonych. Jestto Izydor Starczewski, lecz on... wówczas był na urlopie.

Przechodzę do Heleny Macoch...

Tu prokurator podaje czyn za czynem oskarżonej, aż do chwili, kiedy po wyjściu z sypialni, gdzie spaliła kompromitujące ją listy, razem z ks. Damazym i służącym jego, Załogiem, siadła przy jednym stole.

I na tem miejscu, gdzie przed dwoma dniami siedział jej małżonek, siedzą zabójcy tegoż i ta ubrylantowana pani w swem pełnem szyku mieszkaniu i dumny ks. Damazy siedzą przy jednym stole ze służbą klasztorną, jak z równym sobie. Zbrodnia ich zrównała. Stanisław Załóg, który przed tem nie śmiał się zbliżyć do o. Damazego bez nizkiego ukłonu, obecnie mówi mu "ty."

Jakże postępuje Helena Macoch da

lej? Tegoż wieczoru udaje się z Damazym na imieniny do Jeżewskich. Tam mówi, że mąż wyjechał, nie powiedziawszy jej ani słowa, do Granicy. Wyrażają jej gorące współczucie i nie mają słów dla dobroci ks. Damazego, który pospieszył odwiedzić krewną i pocieszyć ją w nieszczęściu... Oto przez to oświadczenie, a nawet przez to jedno pojawienie się w towarzystwie Damazego Macocha, Helena już popełniła przestępstwo, które zawiera pewny ślad ukrywania zbrodniarza.

Ona jakby mówiła:

— Patrzcie, oto jestem na imieninach, razem z ks. Damazym. Czyż może ktokolwiekbądź powziąć najmniejsze podejrzenie, iż trup w sofie — jestto mój mąż, a ks. Damazy jego zabójca?

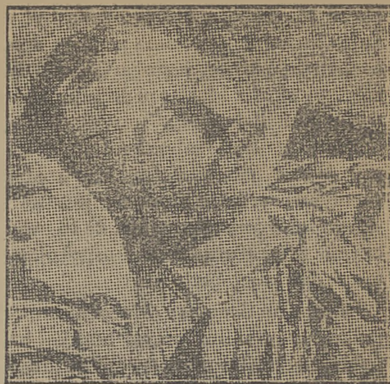
Po imieninach Helena i Damazy udają się domu... Nastąpiła noc i może na tem samem łożu, na którem Helena przed dwoma dniami pieściła ukochanego człowieka, temi samemi rękami, któremi zmywała z zabójcy krew przelaną tego człowieka, obejmowała jego zabójcę... Zrana wstali oboje związani węzłami "nierozerwalnemi."

(Tu Helena wybuchnęła, powiedziała: nieprawda! i zaczęła płakać).

Potem już się prawie nie rozstają.

Długoletnie węzły, które związały Helenę Macochową z Damazym zbyt były mocne, aby je zerwać, chociażby dla kochanego człowieka, lecz już nieboszczyka. Złoto, pp. sędziowie, wywołuje pragnienie złota, ale go nie gasi. Ta prawda znana jest od czasów, od których znane jest złoto, a nawyknąwszy do życia pełnego rozkoszy, Helena Macochowa wyrzec się go już nie mogła. W swym praktycznym umyśle odrazu zoryentowała się w położeniu i... zdecydowała się na przestępstwo."

Następnie prokurator dowodzi święto-



Wacław Macoch po zabiciu.

tokradztwa, udziału w niem Damazego, Izydora, Bazylego i Pertkiewicza, kradzieży pieniędzy z celi o. Bonawentury, udziału w tem wszystkiem Macochowej.

Damazy dał jej 5,600 rubli, urządził dla niej mieszkanie, w którem umeblowanie kosztowało przeszło 3,000 rb., siostrze jej dał 1,000 rb., stale jej kupował klejnoty, woził za granicę.

Wiedziała Helena skąd pochodzą owe pieniądze? Wiedziała, bo znała życie klasztorne, wiedziała, bo nie obcą jej była reguła klasztorna. Więc Helena Macoch winna odpowiadać i za ukrywanie zbrodni mordu i ukrywanie świętokradztwa.

Tu mi, mimowoli przychodzi na myśl, może fantastyczny, ale wypływający z procesu obraz:

Przechodzą lata... Może wieki... Ciekawy potomek, otworzywszy napisaną językiem prostym kronikę klasztoru jasnogórskiego przeczyta:

"W roku Pańskim 1910, ksiądz-

mnich klasztoru jasnogórskiego Damazy Macoch, zwabiwszy do swojej celi w klasztorze stryjecznego brata Wacława Macocha, z którego żoną był w związku, zabił go siekierą podczas snu, a następnie trupa jego zapakował do sofy, wywiózł z klasztoru do innego powiatu i rzucił do wody."

Zostanie tem zdumiony.. Zobaczy cienie przeszłości... Przypomną się słynne stronice klasztoru jasnogórskiego i wkrótce zdecyduje, że to wyczajne nieporozumienie i uspokojony przewróci kartę i odczyta:

"Ten sam Damazy Macoch, zapomniawszy wszelkie prawa boskie i ludzkie, od chwili wejścia swego do klasztoru, te pracowite grosze, które setki tysięcy prostego, lecz głęboko wierzącego ludu niosło do podnóża obrazu cudownego, przywłaszczał sobie i wyrzucał na kobiety. A gdy i tego było mu nie dość, jako złodziej nocny, dobierał się z podrobionemi kluczami do skarbczyka klasztornego i kradł stamtąd nowe pieniądze. Miał i godnych siebie towarzyszów oraz pomocników zakonników Izydora Starczewskiego i Bazylego Olesińskiego, z których jeden przedostał się razem z nim do celi tylko co zmarłego brata w Chrystusie ks. Bonawentury Gawełczyka, gdy duch tego ostatniego był obecny jeszcze pod stropami celi i skradł przynależne do nieboszczyka listy zastawne za 5,000 rb.".

Wówczas rozum przestanie rozumieć rzecz odczytaną... słowa zaleją się krwią... i rzucił się do ostatniej stronicy... I wyrwie mu się z piersi okrzyk."

— I cóż zrobił z nim sąd ludzki?

Tę właśnie ostatnią kartę macie zapisać wy, pp. sędziowie.

Dziś pierwszy z obrońców wystąpił adw. Dobrosław Kleyna, obrońca Damazego Macocha.

Prezes uprzedził publiczność, że w razie objawów jakichkolwiek zadowolenia przez oklaski, jak to było wczoraj (po mowie podprokuratora Katranowskiego) zmuszony będzie usunąć publiczność, gdyż tego rodzaju objawy ubliżają powadze sądu.

Mowa adw. Kleyny.

Dość często obrońcy w sprawach karnych, które wstrząsają społeczeństwem rozpoczynają swą mowę od wyjaśnienia, jakie jest trudne ich położenie. Wątpię, aby się znalazł ktokolwiek ktoby nie rozumiał, jak szczególnie ciężką jest dla mnie obrona w tej sprawie.

Klasztor jasnogórki z cudownym obrazem Matki Boskiej, świątynia łask i bohaterstwa, słynąca cudami i podaniami ludowemi, dokąd gromadzi się nieustannie tysiące pielgrzymów pobożnych, stał się miejscem ordynarnej, okrutnej zbrodni. Wieść o tej zbrodni przeraziła wszystkich, lecz przedewszystkiem sprawiła popłoch w całem polskiem i katolickiem społeczeństwie.

Winowajca tej zbrodni Damazy Macoch nie mógł się stać przedmiotem obrzydzenia, a nawet nienawiści; przesądzone a nawet zmyślone wieści jeszcze bardziej rozpaliły wrogie dlań uczucia i Macoch w pojęciu wszystkich zrobił się potworem i wyrzutkiem ludzkości, którego bronić niema najmniejszej zasady.

Jestem przekonany, że w chwili obecnej, na początku mojej mowy, wszyscy zadają sobie pytanie, do jakich wybiegów będę się uciekał, jak będę potrząsał kalejdoskopem, aby przekręcić fakty istotne i stworzyć sztuczny obraz, sztuczne widowisko.

Nie dość na tem, mianowany przez sąd dla obrony Macocha z urzędu, będąc sam polakiem i katolikiem, żywię wspólnie z całym narodem smutek i mam oburzenie do winowajcy na naszą dotychczas niczem nie splamioną świątynię.

Tem niemniej jednak jestem obowiązany spełnić swój obowiązek w należytej mierze, pomnąc, że my obrońcy stanowimy rzeczywistą pomoc dla sądu w celi wykrycia prawdy, wedlug której nikt nie powinien być ukarany ponad swoją winę, pomnąc również, że od stopnia winy Macocha może zależeć w pewnym stopniu los innych oskarżonych.

Zabójstwo jest główną zbrodnią Damazego Macocha. Tak, ale zarzucono mu premedytację. Opowiedział nam nieszczęsny oskarżony szczegóły swej zbrodni. Zamiaru z góry, t. j. premedytacyi nie widzę i być jej nie mogło.

Zbrodnia musi mieć swój cel i przyczynę, bez tego żadna zbrodnia obyć się nie może. Panowie prokuratorzy co do tego obracają się w kole domysłów, tylko domysłów. Jednym z motywów, według oskarżenia, to zazdrość o Helenę. Damazy, przekonawszy się, że Helena pokochała Wacława, czyli przestała jego kochać, postanowił go usunąć. Czyż slyszeliśmy tu od kogo, że Wacław przeszkadzałby Damazemu w dalszych stosunkach z Heleną? Nie słyszeliśmy! Drugim domysłem — to chęć wyzyskania Damazego przez Wacława. Czyż Damazy mógł się obawiać z tej strony niebezpieczeństwa? Nie, przecież to był czlowiek szczodry, wszystkim znajomym rozdawał drogie podarki!

Myśl, że Wacław wie o jakiejś tajemnicy Damazego wynikła tylko z zeznania świadka Chęcińskiego, który powiedział, że Wacław idąc na kolej z klasztoru zakomunikuje mu coś ważnego.

O zmarłych nie wypada mówić źle, ale śledztwo scharakteryzowało Wacława dość niepochlebnie. Wszak wiedział, iż Helena jest kochanką paulina, jednak ożenił się, bo mu nie o żonę, lecz o posag chodziło.

Gdzież więc przyczyna i cel zabójstwa? Nie było. I to powinno wystarczyć do odparcia zarzutu premedytacyi. Tymczasem oskarżyciel upiera się przytem, iż zabójstwo popełnione zostało z obmyślonym z góry planem. I dowodzi, że list wysłany przez Damazego do Wacława, aby przyjechał do Częstochowy, jest argumentem obciążającym Macocha. Zdaniem mojem jest przeciwnie: właśnie list ten dowodzi, że nie było premedytacyi, Damazy nie miał zamiaru zabijać Wacława. Co do siekiery, to wtedy, kiedy ją Damazy brał od stolarza, był w jak najlepszych stosunkach z Wacławem. I wywiezienie trupa dowodzi braku premedytacyi, gdyż ten, kto ma zamiar zabić obmyśli z góry w jaki sposób usunąć ślady zbrodni, aby nie zwróciły niczyjej uwagi. Tymczasem wiemy, że Macoch przewoził przez całe miasto zwłoki, wszyscy na to patrzeli, a więc żadną miarą nie można go posądzać o to, na co kładzie ciężką rękę prokurator. Ze wszystkiego wynika, że zabójstwa Macoch dokonał w uniesieniu. O wywiezieniu trupa starali się dopiero w ostatniej chwili zarówno Załóg, jak i Macoch.

A wybór miejsca zbrodni? Przecież świadkowie wyjaśnili, że przeor posiada drugie klucze od celi każdego zakonnika i może zajrzeć doń o każdej porze dnia i nocy. Może też mieć interes do niego każdy z sąsiadów.

Czyż Damazy, gdyby chciał zabić Wacława, z góry mord ten przygotowu-

jąc, nie wybrałby sposobu pewniejszego i odpowiedniejszego? Mógł wynająć zabójcę, mógł go zamordować w lochach pod wałami otaczającemi klasztor, mógł pokrajać trupa na kawałki i wywieźć go w koszu lub wrzucić do grobów klasztornych, dokąd dostęp również jest łatwy. Tymczasem w pośpiechu umieszcza go w sofie, aby się trup nie ruszał, opakowywa go tem, co ma pod ręką, więc futrem, poduszką i t. p. Czyżby, obmyślając zatopienie sofy w wodzie, nie nakładł był do niej kamieni, nie obmyśliłby głębszej wody niż znalazł pod Zawadami, gdzie sofa zaledwie do połowy została zanurzona? Damazy nie kupił nawet farby, aby pomalować ściany na wypadek zabryzgania jej krwią.

Zarzut premedytacyi pod naciskiem faktów, stwierdzonych przez śledztwo, rozpryskuje się, jak bańka mydlana i napróżno oskarżyciele publiczni usiłują, aby nieszczęsny Macoch otrzymał o kilka lat więcej katorgi niż na to zasłużył.

Po odrzuceniu premedytacyi zastanówmy się, czy Damazy zabił w stanie zapalczywości. Jeśli zgodzimy się na to, że nie było przyczyn i celu zabójstwa, a nie było ani jednego, ani drugiego, musimy zgodzić się na to, że nie mógł Damazy zabić Wacława spokojnie, lecz tylko w przystępie jakiegoś stanu niepoczytalności. I dlaczegoż nie wierzyć Damazemu temu, co mówił w ostatnich swoich zeznaniach o scenie zabójstwa?

Ekspert dr. Grubski uznał, że jest możliwe uniesienie, które wzbierało przez parę godzin.

Wobec tego Damazy Macoch może być karany jedynie za zabójstwo bez premedytacyi, w rozdrażnieniu i zapalczywości z II części art. 1455 kod. kar.

I świętokradztwa niema w jego czynach, gdyż Damazy nie brał pieniędzy z zakrystyi, lecz ze skarbczyka, który przecież nie stanowi składowej części kościoła. Klucze podrobione nie pasowały do zamków u drzwi do kościoła i zakrystyi. Obrońca Starczewskiego wyjaśni, czy brane przez Macocha pieniądze stanowiły własność kościoła czy zakonników.

Podrabiając dokumenty, Macoch miał na myśli zabezpieczyć kobietę przed plotkami, fałszerstwo jego nikomu szkody nie przyniosło, ani jakąkolwiek szkodę miało na widoku. Mam nadzieję, że ten niemądry postępek Macocha będzie przez was, pp. sędziowie traktowany z pobłażliwością. Na to samo zasługuje podrobienie kluczy.

Jakie było życie nieszczęsnego Macocha?

Urodził się w biednej włościańskiej rodzinie i otrzymał tylko wychowanie elementarne, następnie w 18 roku życia dostał miejsce pomocnika pisarza gminnego, w 21 roku zostaje pisarzem gminnym. Są zajęcia, które nie dają wcale sposobności do zepsucia charakteru, są inne, przy których wszystko jest sztuczne, fałszywe, gorszycielskie: do tych ostatnich należy posada pisarza gminnego. Wykształcenie wogóle skąpe, wynagrodzenie otrzymuje nędzne, posada jego nieetatowa, naczelnik powiatu zawsze może mu dać dymisyę lub wsadzić do kozy; tymczasem obszerny rozmiar pracy w całości leży na pisarzu; w zastępstwie wójta analfabety zawiaduje on w istocie całym zarządem gminnym, kasami gminnemi i oszczędnościowo-pożyczkowemi i t. d.

Ani edukacya, ani środowisko, w którem przebywa, ani trwałość stanowiska, ani kontrola nad nim, nie trzymają go w ramach; wielu było pisarzy gminnych na ławie oskarżonych; uczci-

we między nimi jednostki zasługują na szczególny szacunek; lecz wogóle jest to szkoła zepsucia, tam się tworzą krzywe, okaleczałe dusze.

Ze środowiska pisarzy gminnych, w 24 roku życia, Macoch zapragnął wstąpić do klasztoru, gdzie początkowo był bardzo dobrym nowicyuszem. Następnie wysłano go do seminaryum, lecz niestety zachorował na tyfus i wrócono go do klasztoru. Wielkie to było dla niego nieszczęście.

Nie zdążył nabyć odpowiednich wiadomości, nie nawyknął razem z rówieśnikami do zachowywania przepisów i powrócił do pustelni, gdzie wówczas nie przez wszystkich zakonników przestrzegana była reguła.

Damazy stopniowo wpadł w towarzystwo złych.

Przeor Rejman, który odznaczał się miękką dobrocią, pokochał go i był dla niego pobłażliwy. Pożar wieży klasztornej, wielkie zajęcia przy odbudowie jej bardziej jeszcze pochłonęły wszystkie myśli Rejmana, skutkiem czego wśród części mnichów rozpoczęło się najohydniejsze potrząsanie podstawami życia klasztornego. Do tej części mnichów przylgnął Macoch, stroniąc zupełnie od tych, którzy przestrzegali regułę.

Stopniowo niknął mnich, a powracał pisarz gminny. To było tragedyą Macocha!

Do tych czasów trzeba odnieść i początek jego miłości płomiennej. Nie mam zamiaru potrącać o celibat, który posiada idealne przyczyny i cele rzeczą jest przecież wiadomą, że zachowanie go połączone jest z trudem, przy ogromnej walce z przyrodzonemi potrzebami. Są chwile w życiu, gdy serce pała takiem pragnieniem miłości i pieszczoty, że nas to przezwycięża; jesteśmy przeciwko temu bezsilni.

Macoch przyznawał się do Starczewskiego, że zakochał się w Helenie dla jej inteligencyi, muzykalności i śpiewu; w mieszkaniu Możykowskich czękał, przyczaiwszy się w kącie, pełny niemego zachwytu, nie spuszczał z niej oczu.

Jak mógł się Macoch oprzeć tym wszystkim pokusom? Nie oparł się, był namiętnym pijakiem miłości.

Gdyby nie był mnichem, miłość jego mogłaby się stać chwałą. Lecz nie mając możności oddać się ukochanej, zamiast siebie dawał jej pieniądze, przytem, po zniknięciu zeń mnicha, postanowił dawać pieniądze kradzione — i oto droga na ławę oskarżonych.

Mówią, że Macoch ponadto był nie robiącym wyboru rozpustnikiem; śledztwo zaledwie powierzchownie tego dowiodło; zresztą nie były dlań dostępne wszystkie te miejsca, gdzie świat elegancki wyszukanie się bawi i przepala życie.

W tym czasie z powodu koronacyi obrazu cudownego Matki Boskiej, przeor Rejman prawie wcale nie troszczył się o wewnętrzne życie klasztoru, Ale jeszcze dawniej wśród mnichów utworzyła się partya, która podtrzymywała czystość obyczajów i przestrzeganie reguły zakonnej, partya ta rozpoczęła walkę z nieporządkami i z konieczności starła się z przeorem.

Nie łatwa to była walka z potężnym przełożonym, który posiadał ogólny autorytet; kto był przeciwko niemu, ten uważany był za zawistnego samoluba, intryganta i buntownika; tem niemniej lepsze żywioły wzięły górę i w d. 12 lipca 1910 r. nastąpił wybór nowego przeora, szanowanego staruszka Welońskiego; natychmiast nieużytecznym członkom klasztoru polecono opuścić klasztor, usunięto niegodne sługi

i nastąpiło ogólne odrodzenie, które nastąpiło z własnej inicyatywy, bez udziału jakiejkolwiekbądź władzy, jeszcze przed strasznem nieszczęściem: zbrodnią Macocha.

Odrodzenie klasztoru uradowało wszystkich; różne są formy wierzenia, lecz jeden nad nami Bóg i jednakie są jego przykazania.

Sprzeciwiałem się zamknięciu drzwi, dlatego, że teraz wszyscy mogą wiedzieć, iż tutaj sądzeni są tylko pojedyńczy przestępcy, którzy, sądzę, nie byli mnichami, a klasztor sam ich odrzucił i stoi mocno na starożytnych podstawach dobrodziejstwa. Ośmiu tylko pozostało mnichów i 7 braciszków w celu apostolskiej działalności świątyni, lecz wszyscy oni są czyści.

Dziś Macoch gorzko żałuje, iż popełnił zbrodnię. Grożącą mu karę przyjmie jako częściowe odkupienie. Lecz czyż powinna spaść na niego cała surowość prawa?

Jeżeli kara ma go poprawić, to czyż on jest i teraz tym samym człowiekiem, który pod postacią mnicha popełnił zbrodnie. Gdybyż on mógł sobie trochę ulżyć gniotącego go ciężaru i wskrzeszony, odrodzony wejść do nowego życia. Lecz to jest dla niego rzeczą niedostępną. Macoch bezpowrotnie zginął!

Czyż trzeba zgubność doprowadzać do ostateczności? Wszelka kara zawiera w sobie odszkodowanie i zemstę.

Lecz któż od panów może żądać zemsty? Czy społeczeństwo? Ono oczekuje tylko wykrycia prawdy i zupełnego zrównoważenia kary. Czy klasztor? Klasztor przed zbrodnią sam się już odrodził. Czy Najświętsza Bogarodzica, osłaniająca, według przepięknej legendy narodowo-religijnej swem niewidzialnym płaszczem umiłowany klasztor przed wrogiem? Nie! Ona jest tu między nami, upostaciowana w obrazie, dla innych jako idea niepokalaności i ukochania, wejrzenie Jej jest smutne jak uśmiech bolejącej dzieweczki, lecz w Jej przeserdecznem, niewieściem sercu niema zemsty; Ona oczekuje od was, pp. sędziowie, tylko miłosierdzia.

Nie będę się powoływał na szczere przyznanie się Macocha do wszystkiego i na samooskarżenie się jego; gdyż to sami pamiętacie, nie będę prosił o miłosierdzie, dlatego, że je posiadacie, ale proszę o jedno tylko: pamiętajmy, że jesteśmy wszyscy ludzie grzeszni!

Mowa adw. Korwina-Piotrowskiego.

Obrońca Heleny Macochowej powiedział w streszczeniu, co następuje:

Dwa są akty oskarżenia przeciw Helenie Macochowej, jak wogóle przeciw głównym uczestnikiom tego tragicznego romansu. Jeden to ten, którego kopię trzymam teraz w ręku, akt oskarżenia, zredagowany przez urząd prokuratorski; drugim zaś ten, co wypisany przeciw podsądnym w sercu każdego polaka-katolika. I za nic w świecie nie podjąłbym się obrony wobec tego drugiego aktu, co zarzuca zbrodnię przeciw najświętszym uczuciom naszym patryotycznym i religijnym, obryzganie krwią i błotem świętego miejsca, poświęconego Tej, Którą Królową Korony Polskiej zowiemy, sprofanowanie tego białego czystego habitu, co go nosił nasz bohater narodowy, niezapomniany Kordecki. Bo słusznie i sprawiedliwie kilka dni temu w pięknem przemówieniu w Dumie państwowej przeciw odłączeniu Chełmszczyzny rzekł baron Felkersam: "Polakom prócz ich dziejów nic już nie zostało!" Ja od siebie dodam jeszcze, "i oprócz religii!" Otóż kto dotyka uczuć naszych

patryotycznych i religijnych — najcięższą w oczach naszych spełnia zbrodnię. I dlatego też główni działacze w tej sprawie już dawno przez kraj cały zostali oskarżeni, osądzeni, potępieni i ukarani. Przekleństwo narodu zaciążyło nad nimi na zawsze, a imię ich na wieki pohańbionem będzie!

Inna rzecz natomiast położenie podsądnych wobec urzędowego aktu oskarżenia stawiającego im zarzuty z artykułów kodeksu karnego, obowiązującego w Państwie Rosyjskiem. Już z samej natury rzeczy, to, co dla nas Polaków i katolików, t. j. nasze uczucie patryotyczno-religijne, występuje na plan pierwszy, przez sąd koronny w danych warunkach musi być pozostawione na uboczu. Na szalę Temidy będą rzucone jedynie i wyłącznie tylko paragrafy "Ułożenia." Gdzie miało miejsce przestępstwo, przez kogo zostało spełnione, wielkie dla nas Polaków i katolików słowa: "Częstochowa, Kordecki," a dla sądu koronnego nie mogą mieć tego decydującego, co dla nas znaczenia. I dla tego to sprawa ta wobec państwowego kodeksu karnego traci swój wyjątkowy charakter i z natury rzeczy wtłoczoną zostaje w ramki zwykłego procesu karnego.

W tych ramkach — raz jeszcze podkreślam i zaznaczam — przed sądem koronnym, niezależnie od naszych uczuć patryotyczno - religijnych, jakich sąd ten nie kładzie na szalę — sprawa Heleny Macochowej dla obrony nie przedstawia zbytnich trudności.

Przedewszystkiem słów parę o samym Macochu!

Jeśli dla mnie, jako dla Polaka i katolika, taki Macoch zasługuje na jedną tylko karę — a nią jest kara śmierci i sam bym go powiódł na szubienicę, gdyby to było możliwem; to jako prawnik przyznać muszę, że, niestety, wobec danych śledztwa sądowego — wyślizgnie się, względnie tanim kosztem, bo rotami aresztanckiemi.

Nie moją zresztą rzeczą nim się zajmować. Pewnym jednak jestem, że szanownemu koledze, obrońcy Macocha powiodło się przekonać sąd, iż zabójstwo spełnione zostało w zapalczywości i rozdrażnieniu, a bynajmniej nie premedytacyi.

A więc: parturiunt montes nascitur ridiculls mors!

Jeśli wspominam o Macochu, to dlatego że kara jaka mu wymierzoną zostanie, ma dla współoskarżonych, w razie uznania ich winnymi pierwszorzędne znaczenie.

Od niej bowiem zacznie się stopniowa wymiarów kary i dla nich. Jeśli więc Macocha oczekują tylko roty aresztanckie, to i Macochowę, nawet w razie skazania jej — zwłaszcza przy prawdopodobnem zaliczeniu 17 miesięcy więzienia prewencyjnego, spotka minimalna kara.

Nie spełniłbym jednak należycie obowiązku obrońcy, gdybym, bezwzględnie i bezapelacyjnie, jako Polak i katolik, potępiwszy Macochową, nie domagał się — niezależnie od tego — bo przed sądem koronnym, jako jej obrońca prawny zupełnego uniewinnienia co do przestępstw wymienionych w urzędowym akcie oskarżenia. Jakież bowiem dowody przytoczono jej winy?

Omnis probandi leży na prokuratorze, który z materyałów zebranych na śledztwie sądowem ma roznieść gmach oskarżenia. Obrona przypuszcza szturm i stara się zdobyć i zburzyć tę twierdzę. Lecz w danym wypadku ja żadne twierdzy przed sobą nie widzę. I nic dziwnego. La plus belle femme du monde ne peut donner, que ce qu'elle a! Tak samo i najzdolniejszy nawet pro

kurator bicza z piasku nie ukręci... Obecne położenie oskarżyciela państwowego przypomina mi sprawę Ronikiera. I tam prokurator, nie mając żadnych dowodów winy współoskarżonego Zawadzkiego starał się napróżno oskarżenie podtrzymać. No i naturalnie nie trudno mi było uzyskać wyrok uniewinniający mego klienta. Jestem pewnym, że tem samem musi się zakończyć i sprawa Heleny Macochowej. Trudno mi nawet powstrzymać się od wyrażenia zdziwienia, że oskarżyciel państwowy w swem przemówieniu nie uznał za właściwe dobrowolnie zrzec się oskarżenia.

Bo zaiste, czyż jest choć jedna osoba w tej sali, którąby wywody prokuratora przekonały o winie podsądnej.

Przyjrzyjmy się zresztą oskarżeniu zbliska.

Helena Macochowa oskarżoną jest: 1 że, dowiedziawszy się o zabójstwie, ukrywała zabójcę u siebie w Warszawie, a następnie u siostry swej w Szreniawie, 2) że przyjmowała od Damazego pieniądze, wiedząc o tem, że takowe pochodzą z okradania "skarbczyka" częstochowskiego, 3) że przy ślubie z Wacławem Macochem świadomie korzystała ze sfałszowanych przez Damazego dokumentów.

Oskarżenia, zawarte w pierwszym punkcie nie wytrzymują najlżejszej krytyki. Od chwili zabójstwa do aresztowania Macocha upłynęło prawie 2½ miesiące. Z takowych około 2 miesięcy spędził on w Częstochowie i Sieradzu u ojca Izydora Starczewskiego, a zaledwie 2 tygodnie w Warszawie. Tak jest, w Warszawie; ale gdzież?... W swojem własnem mieszkaniu, które sam wynajmował, za które płacił i w którem trzymał swą konkubinę. Trudnoż jej było go z jego własnego mieszkania wyrzucić. Nie ukrywała go więc Helena Macochowa, bo on był u siebie. Nie ukrywała go również u siostry swej w Szreniawie, dokąd odwiózł ją, już na trzeci dzień pozostawiwszy ją tamże, żeby samemu puścić się w dalszą drogę. A zresztą aż do chwili aresztowania Helena nie wiedziała, czego się trzymać, wobec tego, że Macoch, widząc jej rozpacz, cofnął przyznanie się do zabójstwa. Twierdził znów uporczywie, że mąż jej żyje, a wyjechał do Ameryki, dokąd proponował udać się dla odnalezienia zbiega.

Nie mniej bezpodstawnem jest i drugie oskarżenie. Damazy jawnie i szczodrze szastał pieniędzmi, opowiadając o wygranych na loteryi (po 10,000 rb.), o jakiejś sukcesyi itd. Już ta jawność w wydatkowaniu sum znacznych nie mogła wzbudzać podejrzenia. W przeciwnym razie przecież zwierzchność duchowna, brać zakonna, zwróciły na to uwagę. Jeśli nikomu przez lat tyle nie wydawało się to dziwnem i rażącem; to dlaczego lekkomyślna, młoda i niedoświadczona dziewczyna miała być od nich wszystkich podejrzliwszą. Nie mamy w całej sprawie nic tylko dowodu, lecz nawet najlżejszej wskazówki, na mocy której moglibyśmy zwątpić o dobrej w tym względzie wierze oskarżonej.

Wreszcie również nieuzasadnionem jest i oskarżenie z 1 p. 294 art. kod. kar. Zeznania świadków (Zajączkowski i Nowakowski) kategorycznie stwierdziły, że wszelkiemi formalnościami ślubu zajął się sam Damazy. Oskarżona raz tylko jeden do dnia ślubu była z narzeczonym swym i z Damazym w kancelaryi parafii ś-go Aleksandra, gdzie ten ostatni bez ich udziału, w drugim pokoju omówił z księdzem wszystkie szczegóły. Czyż może tedy Helena Macoch odpowiadać za winę niepopełnioną?

Reasumując to wszystko, sądzę, żem przed sądem koronnym dostatecznie dowiódł niewinności Heleny Macoch, co do postawionych jej wedle państwowego kodeksu karnego zarzutów. Uniewinniający wyrok, o jaki proszę, nie zmieni jednak w niczem tego potępienia, jaki kraj cały wydał już dawno na tragicznych bohaterów tej ohydnej sprawy.

*

* *

Dziś też przemawiali obrońcy: Izydora Starczewskiego adw. Kazimierz Rudnicki i Józefa Błasikiewicza adw. Włodzimierz Kański.

Jutro mówić będą obrońcy: Olesińskiego adw. Chądzyński, Pianki — adw. Sędzikowski, Pertkiewicza—adw. Nowicki i Cyganowskiego — adw. Korwin-Piotrowski.

Zakończenie rozpraw spodziewane jest jutro wieczorem; wyrok zaś w czwartek.

Dzień ósmy.

6 marca.

Z mów obrończych, wysłuchanych dotychcza, silniejsze wrażenie sprawiła adw. Dobrosława Kleyny, który spokojem i szczerością głosu istotnie błagał tylko o miłosierdzie dla swego klienta Damazego Macocha.

Obrońca Starczewskiego, adw. Kazimierz Rudnicki bardzo szczegółowo starał się dowieść niewinności swego klienta, zręcznie obalając zarzuty aktu oskarżenia.

Obrońca Bazylego Olesińskiego, adw. Chądzyński w dłuższem przemówieniu wykazał zupełną niewłaściwość pociągnięcia Bazylego do odpowiedzialności.

Pierwszy dziś mówił obrońca dorożkarza Pianki, adw. przys. R. Sędzikowski z Petersburga.

Mowa adw. Sędzikowskiego.

Ponieważ cały materyał obrończy już został wyczerpany przez moich poprzedników, przeto ja, jako obrońca Pianki, przedewszystkiem opieram obronę o dowody, które dało nam śledztwo sądowe, a w szczególe na zeznaniach świadków oskarżyciela.

A więc świadkowie: Kondracki i Bajrasz stwierdzili, że sofa była szczelnie zamknięta, trup był związany w kołdrze, znajdował się pod futrem, a zatem wypada, że Pianko nie mógł wiedzieć o zawartości sofy.

Świadek Czernogołowkin, nowo radomski naczelnik straży ziemskiej, zeznaje wprawdzie, iż najbardziej podejrzanymi dorożkarzami w Częstochowie byli Nr. 31 i 44 — lecz na moje pytania, skąd powziął taką wiadomość — odpowiada, że słyszał od pewnego strażnika, lecz nie może wskazać, ani nazwiska, ani numeru jego blachy — a więc takie zeznanie, jako nieznanego pochodzenia powinno być odrzucone przez sąd na mocy art. 718 kod. karn., tembardziej, że później świadek Czesnaków policmajster częstochowski, zeznał, że nigdy nic złego o Piance nie słyszał. Świadek Jasieński zeznał na śledztwie, że Macoch Piance nie mówił o zabójstwie, a jedynie powiedział mu, że w klasztorze stało się nieszczęście, że był jedynie wypadek samobójstwa i że dla zażegnania awantury należało trupa wywieźć i że Pianko związany był przysięgą. Prawda, na śledztwie sądowem świadek Jasieński wypiera się tego zeznania, lecz na mocy wyroków senatu karnego kar. dep. Nr. 641—1871 r. i Nr. 19—1902 r. zeznanie uczynione na śledztwie pierwiastko-

wem, ma większą siłę niż zeznanie na sądzie.

Św. Denisów znów stwierdza, że Pianko z początku wyparł się wszystkiego, a dopiero później, po skonfrontowaniu go z dorożkarzem Pawlakiem, prosi świadka o rozmowę na cztery oczy i szczerze opowiada o tem, jak sofę wywoził, jaki go ogarnął strach i że Załóg groził mu rewolwerem.

Takie samo zeznanie, złożył Kotowski, agent policyi śledczej. Tu wypada zaznaczyć, że nie mogę się zgodzić z prokuratorem, że Kotowski jest przedstawicielem władzy. Pp. sędziowie, jeżeliby do mnie przyszedł p. Kotowski po zeznania, to bym go nie wpuścił na próg mieszkania, dopóki nie przedstawi polecenia prokuratora i żaden sąd nie mógłby mieć o to pretensyi. Przypomnę wam słowa rosyjskiego adwokata, p. Andrzejewskiego: "to zeznanie świadka, ale zarazem detektywa."

Wreszcie świadek Pawlak, który tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności uniknął tego, że sofy nie wiózł, lecz odwiózł Macocha i Załoga do Rudnik — powiedział, że widział Piankę na drugi dzień o g. 1, jak wracał do domu, przytem zaznaczyć należy, że Pianko za 60 wiorst drogi w ciągu 18 godzin, zarobił rb. 15, bo drugie 15 kosztowało utrzymanie koni w drodze i uszkodzona uprząż z ekwipażem na drodze polskiej.

I prokurator twierdzi, że Pianko został wynagrodzony przez Macocha wspaniałomyślnie, przeciwko temu nie protestuję, tylko dodam, że oprócz pieniędzy w nagrodę dostał jeszcze 18 miesięcy więzienia.

Dla stwierdzenia chęci zysku nie wystarcza prezumpcya p. prokuratora, ale trzeba poszlak. A czy kiedykolwiek Pianko zwracał się do Macocha o pieniądze? Nie Pianko okazał chęć zysku, lecz świadek prokuratora Pawlak, gdyż, dostawszy od Macocha 3 ruble, zażądał 4-go i dostał go.

Czyż można panowie sędziowie dopatrywać się w wywiezieniu sofy — chęci ukrycia zbrodni?

Przecież to pomogło tylko do wykrycia zbrodni.

Czyż odwiezienie Macocha i Załoga na stacyę Radomsk, na której są agenci policyi i żandarmeryi można uznawać za chęć ukrywania.

Chyba prędzej woźnica Urman, który przewoził Macocha do przemytników Wadasów, może być o to posądzony.

Do karania nie wystarczą przypuszczenia. Trzeba ukrywaczom dowieść, że byli świadomi czynów głównego zbrodniarza. Trzeba więc dowieść, że Pianko wiedział o zbrodni Macocha, z premedytacyą i w zasadzce. Dopóki to nie jest dowiedzione, z głębi duszy będę protestował przeciw stosowaniu względem Pianki art. 1453 p. 3.

O tem, jakoby Pianko wiedział o zbrodni niema żadnych dowodów, oprócz hypotezy prokuratora.

Jeżeli świat cały był zdziwiony okolicznościami mordu, to skąd mógł ten ciemny, wierzący człowiek rzucić podejrzenie na mnicha paulina.

Prokurator twierdzi, że okoliczności wywiezienia trupa nie mogły wydawać się Piance normalnemi. Czyż to jest dostateczną poszlaką?

Poszlaką jest, według Dostojewskiego, światło niweczące mrok, łańcuch przywiązujący zbrodniarza do przestępstwa.

Jeżeli więc zamiast łańcucha, niema nawet sprzączki, to gdzież może być mowa o poszlace?

Prokurator mówi, że nie można wierzyć w rzeczy wątpliwe, dziwne. Ale

tak nie jest, gdyż nawet sam św. Augustyn powiedział: Credo quia absurdum est (wierzę w to, bo to jest bez sensu) i rzeczywiście, pp. sędziowie, jak często się zdarza, iż widzimy w niebie — niwy i lasy, a na tym padole płaczu zabobony i zwątpienia!

Naturalnie w teoryi wszyscy są sceptykami, lecz niech się fantazya obróci w rzeczywistości i wszelki sceptycyzm pęka, jak bańka mydlana, bo serce ludzkie, to gleba od wieków pod wiarę przygotowana. Jeżeli zaś to ma być tylko prezumpcyą pana prokuratora, to w tym wypadku warto wam przypomnieć bajkę o średniowiecznym sądzie:

Oskarżona była czarownica o to, że po zabiciu dziecka, przyrządziła z trupa maść, za której pomocą latała w powietrzu; poszlak nie było żadnych. Na wniosek prokuratora zarządzono ekshumacyę zwłok i stwierdzono, że zwłoki dziecka były całkiem w normalnym stanie. Ale ponieważ żadnych poszlak nie było, prokurator więc zwrócił się do sędziów z okrzykiem: pp.sędziowie, jaka straszna zbrodniarka stoi przed wami: zdążyła zamienić i podrzucić trup innego dziecka! I czarownica spalona została na stosie!

Czyż można wobec tego, pp. sędziowie, budować gmach oskarżenia na wniosku prokuratora?

Jest jeszcze dokument w aktach sprawy, świadczący o niewinności mojego klienta, a jest nim telegram o. Izydora do o. Damazego, w którym Izydor ostrzega, że niebezpieczeństwo grozi 31, numer mojego dorożkarza. Czyż wobec tego można przypuszczać, że Pianko był ich wspólnikiem?

Karać zaś Pianki za niedoniesienie byłoby też niesprawiedliwością, gdy wtedy wypadłoby pociągnąć do odpowiedzialności cały szereg osób, które wcześniej i lepiej były uświadomione co do przestępstwa, aniżeli Pianko i na które to osoby wyraźnie śledztwo wskazuje.

Pozatem pp. sędziowie, czy rzeczywiście z punktu widzenia nowoczesnego zbrodnia ukrywania jest tak ciężka? Jeżeli zajrzycie do art. 168 nowego kodeksu karnego, to przekonacie się, że takie przestępstwo jest karane więzieniem od 2 tygodni do 1 roku, gdy według jeszcze obowiązującego kodeksu 1845 normalną karę są ciężkie roboty od 8—10 lat i czy nie wyda wam się rzeczą dziwną, iż w tej samej sali jutro być może będziecie sądzili sprawę religijną i stosowali do niej nowy kodeks?

Na mocy tego całego materyału proszę was o zastosowanie względem mego klienta art. 93. Pp. sędziowie, zapomnijcie na chwilę, że jesteście sądem koronnym; wyobraźcie sobie, że jesteście sądem sumienia społecznego i, jak ładnie wyraził się p. prokurator Katranowskij, zajrzyjcie do duszy i serca podsądnego!

Jeżeli sądzicie człowieka, według jego spraw, to sądźcie też sprawy, według indywidualności człowieka. Pianko został wprowadzony w błąd przez przysięgę i przywiązanie do wszystkiego, co się tyczy religii.

I niech mi wybaczy Damazy Macoch! Nie jestem bynajmniej zwolennikiem tej zasady, że broniąc jednego podsądnego, można oskarżać drugiego, lecz serce mi nie pozwala zamilczeć tego gorzkiego zarzutu pod adresem Damazego. Dlaczego on względem Pianki nadużył swego stanu, śnieżno-białego habitu oraz tej bezgranicznej miłości, którą cały lud polski otaczał Jasną Górę.

Nie jestem poetą, nie potrafię wam

naszkicować obrazu tej przysięgi, którą narzucił Piance Macoch, lecz rzec muszę, iż po tem wszystkiem przed Pianką stał dylemat: albo złamać przysięgę i stanąć przed sądem Bożym, albo nie łamać przysięgi i stanąć przed sądem ludzkim.

Pianko wybrał tę ostatnią drogę. Trzeba przecież rozniecić wielką siłę w człowieku, by opanować jego bojaźń przed Bogiem, a szczególniej w maluczkim człowieku. Pianko rzeczywiście okazał się łatwowiernym, ale łatwowierność, to oznaka szlachetności.

Co w tem dziwnego, że Pianko stracił wówczas głowę. Ale straciwszy głowę, czci swej nie utracił. Motywu zbrodni z jego strony nie było żadnego.

Wiadomą jest rzeczą, jakie wrażenie sprawia przysięga na wierzącego człowieka i ile mamy przykładów historycznych, że ludzie woleli iść na stos niż łamać przysięgę.

Być może, iż Pianko zgrzeszył przeciwko formalnościom, ale dzięki swemu światopoglądowi, nie mógł uczynić inaczej, gdyż wiara i religijność, były droższe dla jego serca. Nie wtrącajcie Pianki do tej otchłani, na której brzegu się znalazł, zupełnie nieświadomie dzięki ślepemu wypadkowi i nie zamykajcie przed nim drzwi do światła i dobrego.

Na czem polega jego wina, że po 50 latach uczciwego życia, nie wiedział, jakie manowce i rafy są na drogach życia; że nie przypuszczał, iż może go na tę drogę popchnąć paulin Damazy!

Przypomnijcie sobie słowa jego żony i jego: "Ksiądz nam krzywdy nie zrobi!" I co się okazało?

Pp. sędziowie, jeżeli macie miłosierdzie dla ofiar, to bodaj on jest największą ofiarą. Jaką krzywdę on komu zrobił? Pokrzywdzonym wyszedł tylko on! A jeżeli uchybił w czemkolwiek sprawiedliwości, to już łzami, dł ugiem więzieniem śledczem odkupił to uchybienie.

Jestem przekonany, że wyrok wasz rozwieje wątpliwości tych, którzy myślą; że tam, gdzie sąd — tam skazanie; wy powiecie zaś: nie, tam gdzie wina, tam skazanie.

Pozatem, pp. sędziowie, ponieważ obaj prokuratorowie dali wam radę, byście zastosowali najwyższą surowość w wymierzeniu kary. Jako obrońca, chcę wierzyć, że powiecie pp. prokuratorom, że grubo się mylą, iż wy ich rad posłuchacie, że dla serc waszych droższe są nieskończenie złote słowa waszego Reformatora: Niech Prawda i Miłosierdzie panują w sądach.

I taki wyrok na podstawach prawdy, miłości chrześciańskiej i miłosierdzia będzie przez nas powitany, jako prawdziwy tryumf sprawiedliwości!

Mowa adw. Kańskiego.

(obrońcy Józefata Błasikiewicza).

Pp. sędziowie! Otrzymawszy od sądu polecenia obrony stojącego przed wami Józefata Błasikiewicza, służącego klasztornego, odrazu po przeczytaniu aktu oskarżenia powziąłem przekonanie, iż zupełnie bezpodstawnie Błasikiewicz został pociągnięty do odpowiedzialności. To przekonanie moje wzmogło się obecnie, po ukończeniu tego całego długiego śledztwa sądowego, które, wbrew oczekiwaniu, nietylko nie dało żadnych nowych dowodów przeciwko Błasikiewiczowi, lecz, przeciwnie, znacznie osłabiło widoki oskarżenia, stwierdzając jeszcze bardziej niewinność Błasikiewicza.

Mniemam, że się nie omylę, jeśli powiem, że włożony na mnie przez sąd obowiązek, wobec przytoczonego, mógłbym spełnić w kilku słowach, powie-

dziawszy sam: "Panowie sędziowie, Błasikiewicz jest niewinien, proszę go uniewinnić."

Jednakże, sądzę, że sąd polecił mi zadanie dla tego, abym nie pozostał milczący, a i instytucya obrony utworzona została nie napróżno. Przy popełnianiu jakiejkolwiek zbrodni należy przypuszczać, że wszyscy są zainteresowani w ukaraniu winnego, przytem kary tej żąda oskarżyciel państwowy w imieniu całego społeczeństwa i tu przez usta jego mówią wszyscy przeciwko jednemu. Wobec tego rodzi się konieczność, aby w obronie owego nieszczęsnego rozległ się głos czyjkolwiek, aby i ten nieszczęsny miał narzędzie do walki ze wszystkimi: narzędziem tem to ofiarowana mu obrona.

Pp. sędziowie! W całym labiryncie zebranego w niniejszej sprawie materyału sądowo-śledczego w stosunku do Józefata Błasikiewicza, służącego klasztornego, niezaprzeczonym i niewątpliwym jest fakt jeden, a mianowicie, że Błasikiewicz już od półtora roku znajduje się w więzieniu. Jest to sporo czasu i mimowoli rodzi się pytanie jaką zbrodnię popełnił Błasikiewicz, jakie są przeciw niemu dowody? Niema żadnych, a nawet ich nie było, gdy go zamykano do więzienia śledczego.

W dalszym ciągu obrońca szeregiem argumentów i zestawień faktów zbija wywody aktu oskarżenia i zarzuty co do Błasikiewicza, którego cała wina polega na tem, że przeniósł sofę zbyteczną w klasztorze pod drzwi celi zakonnika, do którego miał zawsze zaufanie i który był zazwyczaj dlań powagą tak wielką, że nie mógł odmówić nawet wyniesienia sofy z klasztoru z jakiemiś, jak mu mówiono, książkami.

Oto cała wina Błasikiewicza.

Śledztwo sądowe nic nowego nie wskazało, czyli stoimy na tym samym punkcie, na jakim stało podejrzenie. To nie jest dość, aby człowieka zasadzić do więzienia!

Ten biedny, prosty człowiek, głęboko wierzący w Boga, w znaczenie klasztoru jasnogórskiego, nie mógł nawet podejrzewać, żeby tak straszna zbrodnia, wytwór degeneracyi jednego z osobników, mogła się wydarzyć w murach klasztoru jasnogórskiego, czczonego przez cały świat chrześciański, w murach tej naszej drogiej, historycznej świątyni polskiej.

Reasumując wszystko, co dało śledztwo, należy przyjść do ostatecznego wywodu, że Błasikiewicz jest niewinien.

Człowiek ten do tego stopnia jest niewinien, że przez cały czas trwania procesu, jest spokojny, gdyż wierzy w swą niewinność.

Wierzy on, że sprawiedliwość zatryumfuje, o ile znajdą się sprawiedliwi i uczciwi sędziowie. Takich sędziów Błasikiewicz znalazł i ja nie potrzebuję się obawiać o los mego klienta.

Jestem pewny jego uniewinnienia!

Mowa adw. Chądzyńskiego.

Jakkolwiek pozornie klient mój, Bazyli Olesiński, jest oskarżony o przestępstwo mniejsze niż inny, to jednak w istocie jest owo oskarżenie dla niego hańbiące.

Posądzenie o kradzież plami honor oskarżonego, rzuca cień na jego nazwisko; uwłacza jego powołaniu kapłańskiemu.

Skąd się to wzięło? Jeden jedyny Macoch jest sprawcą tego, że ks. Bazyli znalazł się na ławie oskarżonych. Czyż można wierzyć Macochowi? Ani na chwilę, gdyż, jak dotychczas, nie powiedział ani słowa prawdy.

W samej rzeczy dziwię się bardzo,

po co do tej sprawy zaproszono aż dwóch prokuratorów, gdyż obie mowy głosiły niemal jedno i to samo: pierwszy prokurator omawiał fakty w przedstawieniu rzeczowem, czyli było dość, ale znalazła się druga mowa oskarżycielska.

Ta druga obliczona była na efekt, miała przemówić do waszych uczuć, do bardziej surowego wyroku na oskarżonych.

(Prezes powstrzymuje mówcę).

Zarzucają Olesińskiemu, że kazał przerobić drzwi do skarbczyka. A któż miał to zrobić? Przecież Olesiński nie tylko miał prawo do tego, ale wprost było jego obowiązkiem pilnować całości majątku klasztornego. On nietylko do skarbczyka, ale do wszystkich miejsc, które zawierały cokolwiek kazał przerobić drzwi.

Dlaczego Macoch oskarża dawnych bliższych sobie kolegów klasztornych? Jedynie dlatego, aby wspólnie z nimi odbyć karę. Praktyka daje dużo takich przykładów.

Objaśnienia Mococha o tem, skąd czerpał pieniądze, nie zasługują żadną miarą na wiarę, znajdujemy w nich ciągłe sprzeczności. Nawet listy więzienne nie dowodzą tego, jakoby Starczewski brał pieniądze razem z Macochem.

Tu adw. Chądzyński poddaje krytyce wszystkie argumenty przytoczone w akcie oskarżenie na niekorzyść Olesińskiego z racyi obmówienia go na śledztwie przez Macocha.

Dlaczego ten ostatni przyznaje się do samokradzieży? Gdyż chce uniknąć ciężkiej kary za morderstwo z premedytacyą i wykręcić się najwyżej rotami aresztanckiemi.

Oskarża dlatego swoich przyjaciół, a nawet jego "miłość" znajduje się na awie oskarżonych.

Dlaczego oskarżył odrazu przy aresztowaniu go w Krakowie? Bał się bowiem, żeby go nie sądziły sądy austryackie, które za taką zbrodnię karzą śmiercią. Oto dlaczego przyszła mu taka myśl przy drugiem wyjaśnieniu swego czynu komisarzowi Jasieńskiemu, aby mieć wspólników. Chciał być sądzony przez sądy rosyjskie, a zdawało mu się, że tylko drogą wciągnięcia do sprawy ludzi, którzy nie uciekali z Królestwa Polskiego, dopnie tego celu. I wistocie dopiął, że razem z nim siedzą przed wami na ławie oskarżonych ludzie niewinni.

Wiemy, że Macoch cieszył się dobrą opinią w klasztorze. Tak. Ale była to droga, którą się wkradał w zaufanie starszych zakonników, aby dojść do łatwych sposobów zdobywania pieniędzy. Kradł je z ofiar składanych, kradł je stamtąd, gdzie dostęp miał do nich łatwy.

Mówią, że Olesiński był wspólnikiem Macocha i Izydora. Pocóż w takim razie dorabiano klucze. Przecież Olesiński, gdyby był ich wspólnikiem, samby im uprzystępniał kradzieże, miał do tego wszelką możność, był nawet prokuratorem, wicekustoszem i kustoszem.

(Ogłoszono przerwę godzinną).

— Wiadomo — ciągnie obrońca po przerwie, — że Olesiński zajmował różne posady w klasztorze. Nie ustanowiono, ażeby Olesiński potrzebował pieniędzy na swoje osobiste zachcianki. Nie miał też ani biednych rodziców, ani kobiet.

Ale i jego nie oszczędziło pod tym względem oskarżenie. I dla niego wynaleziono kochankę. Oto powiedziano, że kochanką Olesińskiego była pani Nowacka, kobieta szlachetna, uczciwa, zamężna i żyjąca z mężem w jak najlepszej zgodzie. I za cóż skom-

promitowano takiem podejrzeniem rodzinę inżyniera Nowackiego? Oto wprost dlatego, że była potrzebna kobieta, a wiadomo, że gdzie jest kobieta, tam muszą być i pieniądze.

Nie mogę uwierzyć w systematyczną kradzież ze skarbczyka. Całe zachowanie się Macocha, fakt, że rozporządzał jednorazowo dziesiątkami tysięcy rubli, dowodzą, że Macoch dokonał kradzieży jakiejś większej sumy i to właśnie ze schowanka o. Bonawentury, o czem Bazyli mówił oko w oko z Damazym tutaj przed sądem.

Czyżby Olesiński, przywłaszczywszy sobie 5,000 rb. z funduszów nieboszczyka Gawełczyka, o czem Damazy nie wiedział, dawałby mu 2,000 rubli? Czyżby dlatego, aby mieć świadka? Nie, panowie, to jest nielogiczne, a na to niktby się nie zdobył.

Dla Olesińskiego zeznania świadka Slązkowskiego są bardzo korzystne. A kto je składa? krewny ks. Rejmana, tego przeora, który obawiał się Damazego, o czem Olesiński wiedział, a który to Rejman powołał Olesińskiego na kustosza.

Obrońca zastanawia się nad treścią listu i wywodzi, że Macoch kłamie.

(Bazyli serdecznie płacze).

Macochowi nie można wcale wierzyć, a dziwić się tylko temu należy, że oskarżyciele publiczni wierzą mu tylko wtedy, gdy chodzi o oskarżenie innych osób, a nie wierzą, gdy mówi cokolwiek na swoją obronę.

Dlaczegoż nie mamy wierzyć Olesińskiemu, który w zdenerwowaniu, w chwili zupełnej szczerości, wobec krzyża tutaj wzywał Damazego, aby powiedział prawdę.

Następnie obrońca przechodzi do wyjaśnienia funduszów klasztornych. Otóż, według prawa o sekularyzacyi klasztorów z r. 1867, klasztory nie potrzebują zdawać nikomu rachunków, ani z t. zw. "jura stolac," t. j. z ofiar, ani z zapomogi rządowej.

To samo prawo przewiduje, że w razie roztrwonienia pieniędzy klasztornych, dochodzenie winowajcy i poszukiwanie strat, winno się odbywać w drodze następującej: Prokurator klasztorny sprawdza czy była kradzież, określa wysokość straty, donosi o tem biskupowi, który wówczas zwraca się do władz świeckich i żąda stwierdzenia oraz ukarania winowajcy. Tego wszystkiego w danym procesie niema.

Tymczasem wiadomo, że śledztwo w sprawie roztrwonienia funduszów klasztornych za ostatnie lat 15 jest prowadzone, kiedy się więc skończy dowiemy się, ile z funduszów klasztornych roztrwoniono i czy roztrwoniono. Wówczas może wyjść na jaw, kto te pieniądze roztrwonił.

Bazyli Olesiński nie brał, ani trwonił funduszów klasztornych, nie może więc być odpowiedzialny i jestem pewny, że panowie sędziowie uwolnicie go z pod hańbiącego zarzutu kradzieży.

*
* *

Ostatni mówił adw. Nowicki, obrońca Pertkiewicza.

Obrońca w dłuższem przemówieniu dowodził, że z 6 kluczów, które sądowi przedstawiono tylko jeden dostarczył Pertkiewicz, dwa Jakób Starczewski, a reszta niewiadomo.

Klucz Pertkiewicz zrobił — nie wiedząc do czego ma służyć, winy więc, żadnej nie popełnił i prosił o uwolnienie Pertkiewicza.

Repliki.

Krótko trwały repliki prokuratorów pp. Niedźwiedzkiego i Katranowskiego, którzy obaj oświadczyli, że

nie przekonali ich wcale obrońcy, podtrzymywali w całej pełni poprzednie swe wnioski i prosili o surową karę dla oskarżonych.

Przemówienia replikujące wypowiedzieli po kolei adwokaci: Sędzikowski, Kleyna, Rudnicki, Chądzyński, a w zastępstwie Korwin-Piotrowskiego, p. Sędzikowski, ale wobec tego, że właśnie przyjechał obrońca Macochowej, otrzymał więc on głos.

Prezes: Czy pan obrońca gotów jest do odpowiedzi na replikę prokuratora?

Adw. Korwin-Piotrowski: Jestem zazawsze gotowy. Właśnie pan prokurator uczynił mi z tego zarzut, jakobym mówił, że był świadkiem tej sceny, w której Damazy po przyjeździe do Warszawy, miał na tem samem łożu, pod tą samą kołdrą, dalej stawiam wielokropek. Przecież to, panowie, był zwrot retoryczny, a starałem się nim zbić to, czego prokurator dowodził stanowczo.. Sądzę bowiem, że zastanawiał się nad tem i obmyślił to, co powiedział, jak każdy człowiek rozsądny, który wypowiada swoje myśli.

Podprok. Katranowskij: I w tych słowach pan obrońca posiada ton nie odpowiedni dla godności tej sali. Upraszam pana prezesa o zwrócenie uwagi obrońcy.

Prezes: W istocie pan obrońca używa niewłaściwego tonu.

Adw. Korwin-Piotrowski: Jeżeli tak, przepraszam sąd, ale ton mój głośny pochodzi stąd, że się spieszyłem z pociągu do sądu.

Prezes: Ależ nie o to chodzi...

Adw. K.-Piotr.: Drugi zarzut, dotyczący mnie, brzmi, jakobym przeklął Helenę jako Polak i katolik. Nie ja przekląłem, przeklął cały naród tego mnicha, który zniesławił miejsce, tron Tej, którą nazywamy Królową Polską.

Ponad ojczyznę niema nic bardziej świętego. Są nacyonaliści w Dumie, są nasi fanatycy, znani są Francuzi z ich sprawą Dreyfusa i nie dziwię się, że my Polacy radzibyśmy, aby nic na jaw złego o nas nie wyszło. Trudno są tacy i do takich ja należę.

Jesteśmy usunięci od polityki międzynarodowej, dlatego nie popełniliśmy tyle świństw, co inni, ja sam nie należę do żadnej partyi politycznej, ale Polakiem i katolikiem jestem, więc dziękuję panu oskarżycielowi publicznemu, że mnie w tym względzie wyróżnił.

Powracając do tego, co jest dla nas rzeczą świętą, powtórzyć muszę, iż nasze uczucia religijno-narodowe najbardziej dotknięte zostały, a ponieważ sprawa toczy się na tle ich, a zbrodniarzy sami osądzić nie możemy, zwracam się więc do sądu rosyjskiego, który stoi zdala od tego wszystkiego, co targa naszemi uczuciami, czyli do sądu bezstronnego, aby wydał wyrok surowy na tych, którzy winni są zbrodni, a uniewinniający dla tych, którzy ze zbrodnią nie mają nic wspólnego.

Ostatnie słowo.

Pierwszy zabrał głos Damazy Macoch, kając się z powodu swej zbrodni w ogólnych słowach, prosił naród i duchowieństwo o przebaczenie, a sąd o litość. Karę przyjmie, jako zasłużoną, ale niech ona będzie miłosierną.

— Raz jeszcze proszę cały naród polski, ojców paulinów i czcigodne duchowieństwo o przebaczenie mi, jako człowiekowi grzesznemu.

Przepraszam za tę straszną krzywdę, którą nieszczęsny wyrządziłem!

(Macoch wypowiedział te słowa głosem wzruszonym, ale żadnego nowego

szczegółu, czego się spodziewano, nie dodał).

Starczewski nie ma nic do dodania do tego, co powiedział jego obrońca.

Błasikiewicz mówi tylko, że jako służący spełnił to, co mu kazano.

Pertkiewicz nic nie dodaje do słów obrońcy.

Pianko — że był związany przysięgą.

Adw. Korwin-Piotrowski w imieniu Cyganowskiego oświadcza, iż nie przyznaje się do winy i prosi o zupełne uniewinnienie go.

PRZEMÓWIENIE MACOCHOWEJ.

Oskarżona Helena Macochowa prosi prezesa, aby pozwolił odczytać jej ostatnie słowo.

Prezes nie zgadza się, wszelako pozwala posiłkować się notatkami.

Macochowa cała w pąsach, ze drżeniem w głosie, mówi:

Panowie sędziowie! Cóż mam powiedzieć "w ostatniem słowie" i w trudnem położeniu, w którem głos mój woła: Sprawiedliwości! Proszę sąd i ludzi o wejrzenie do mej duszy, gdyż jestem obrażona jako prawowita katoliczka, jako kobieta, jako żona, matka, wreszcie... oskarżona.

Niewiem, dlaczego zabójca koniecznie chce dowieść, że prowadziłam życie rozwiązłe. Wszak nie podniósł mnie z błota, lecz wziął z porządnej rodziny, przecież nikt mnie nie widział i tego mi nie dowiódł, abym się prowadziła źle. Tak! Damazy Macoch prosi nawet w swojej korespondencyi z Izydorem Starczewskim, aby ten potwierdził jego nieuczciwe pragnienie i jakkolwiek Izydor nie może nic złego o mnie powiedzieć, ale za to pan obrońca Izydora mówił, że kochanka go kochała nie taką miłością, jak Helena, przyczem adwokat charakteryzuje mnie, jakobym kochała tylko za pieniądze. A cóż ja Helena? Czyż dla pieniędzy wyszłam za mąż? Czyż ja taksamo rozrzucałam pieniądze, jak Damazy Macoch? Nie, było przeciwnie. Wszystkie pieniądze, które otrzymałam od Macocha, znajdują się u panów w całości, jakkolwiek są złożone na moje imię. Co więcej! W liczbie tych pieniędzy są również i moje pieniądze, o których milczę. Milczę, dlatego, żeby mnie nie podejrzewano o materyalizm. Kochanka Starczewskiego pisze doń, że odbywa połóg i ma tylko 50 kop. przy duszy. A kto widział Helenę w połogu? Nikt nie odpowie na to pytanie... gdyż na trzeci dzień po połogu, po ciężkiej operacyi pod chloroformem, Helena była zamknięta w więzieniu i przez cały dzień żywej duszy przy niej nie było! Nikt nie słyszał jej jęków, nie było komu podać jej wody.

Jakież było życie moje w ostatnich latach? Aby nie dawać o sobie dwuznacznego mniemania, raz jeszcze powiem to o sobie, co mówiłam przy drzwiach zamkniętych odnośnie związku mego z Damazym Macochem.

Uwiódł mnie mężczyzna... Cierpię z tego powodu, chciałam pozbawić się życia, podczas tej rozpaczy przypominam sobie o Bogu i jadę do Częstochowy... Idę do spowiedzi, aby otrzymać rozgrzeszenie przed Bogiem, którego w konfesyonale zastępuje były ojciec Damazy! Prawda, Damazy, poznawszy mnie dobrze, powstrzymuje od samobójstwa, lecz w następstwie czyni ze mnie swoją ofiarę; znęca się nademną.

Przedstawiam mu ohydę grzechu, nie mam pociągu do życia rozwiązłego, lecz Macoch nie zwraca na to uwagi, niema on współczucia, a kiedy go bła-

gam o poprawę życia, cóż mi Macoch odpowiada?

— Przecież byłaś u spowiedzi, pojedziem do Warszawy i tam się poprawisz.

I w dalszym ciągu znęca się nademną, aby tylko zadowolić swe żądze, swój egoizm. I to nazywa się miłość!

Dalej... On wie, że pieniędzy nie chcę przyjmować i korzystać z nich, że wciąż tęsknię do czegoś mnie niedostępnego, za jakiemś uczuciem, którem nie mogę obdarzać Damazego.

Jakież to uczucie? Miłość! Czysta, serdeczna miłość. I cóż był winien Damazemu ten nieszczęsny, biedny Wacław, którego pokochałam całą duszą, któremu powiedziałem prawdę, jakie miałam stosunki z Damazym. Ów Wacław, człowiek dobry, przebacza mi wszystko, nawet niema pretensyi o przeszłość do Damazego, on mnie żałuje...

I wieleż czasu daje Damazy Wacławowi cieszyć się ze swego szczęścia? Nie całe sześć tygodni!

O pieniądze nigdy Damazego nie prosił, gdyż Damazy oświadczył stanowczo przed weselem, że pomagać nam nie będzie, gdyż Wacław ma 60 rb. pensyi, a ja mam 50 rb. procentu na miesiąc, możemy więc utrzymać się dobrze. Siedzieliśmy cicho i przed Damazym nigdy nie skarżyliśmy się jedno na drugie. Mąż mój Damazego nie obrażał, a nieporozumienia mieli z sobą jedynie drobne.

Nieporozumienie na weselu nie miało miejsca w mojej obecności, a nieporozumienie, które wydarzyło się na dworcu, kiedy Damazy się zakasłał, nie dawało powodu do zabójstwa. Skandalu żadnego mu nie urządzał, wrócił ze mną do domu, a wtedy przybiegł za nami Damazy i ordynarnemi słowami zwymyślał męża, który Damazemu to przebaczył, całując go w dodatku w rękę.

List Juliana Bulzackiego również nie mógł być powodem do rozdraźnienia Damazego, gdyż treść listu była dobra. Fotografii takiej, o jakiej mówi Macoch, mąż mój nie mógł mu pokazywać, dlatego, że ja nic podobnego nie miałam.

Nie grała też w zabójstwie roli miłość. To jest nieprawda!

Damazy miał jakieś nieporozumienia z Wacławem wtedy, kiedy go jeszcze nie znałam. Damazy mówił mi o tem, że gniewa się z Wacławem, lecz dlaczego, tego nie wiem. Nie wiem też jaka była przyczyna zabójstwa mego męża. Lecz przypuszczam, że Damazy zrobił to z obmyślonym z góry zamiarem, dlatego, że dwa razy wzywał listownie męża do siebie.

Pierwszy list czytałam: "Przyjeżdżaj, występuję z klasztoru, mam do ciebie ważny interes." Drugiego listu nie czytałam, lecz kiedy chciałam pojechać razem z Wacławem, ten mi odpowiedział:

— Damazy pisze, abyś ty nie przyjeżdżała.

Zachodzi pytanie, dlaczego Damazy uprzedzał, abym nie przyjeżdżała?

Rzecz prosta! Dlatego, że Damazy doskonale wie, że gdy ja przyjadę, to i mąż mój nocować będzie razem ze mną u Możykowskich, u których zawsze stawaliśmy.

Mąż mój, wyjeżdżając mówił, że Damazy pisze, aby przyjechał w ważnej sprawie. List otrzymaliśmy o godz. 12 w południe, mąż wyjechał o g. 2 m. 25 po południu i nie chce nic wziąć z sobą, nawet jaśka, mówiąc, że zaraz wróci.

Damazy mówi, że mąż mój pił przed zabójstwem koniak, co mnie bardzo dziwi, gdyż to jedyny trunek, którego

Wacław nie lubił i nigdy go nie pił.

Tak! mąż zabity, wywieziony! Ale co zrobić z jego żoną?

Przecież będzie dochodziła prawdy! Z początku trzeba ją usposobić Wysyła Damazy depeszę: "Przyjedziemy, przy-je-dzie-my — Kuryerem." Jednakże nie zdążył się załatwić ze swoją ofiarą i spóźnia się, a zamiast męża przywozi swego służącego.

Od kobiety wymaga poniżenia, sadzając go przy jednym stole.

Nieszczęsna kobieta pyta o prawdę, zabójca mówi jej, między innemi, że zabił, ale mówi to dlatego, aby zobaczyć, jakie wrażenie okropna ta wieść sprawi na mnie. Następnie już do końca manił to tak, to owak. Nawet dr. Jasieński widział list, potwierdzający wyjazd męża mego do Ameryki i znalazł przy aresztowaniu Damazego dwa blankiety przepustek, podpisane przez samego księcia Awałowa, naczelnika powiatu częstochowskiego, z podpisem i pieczęcią, lecz nie wypełnione.

Tak! gdybym chciała ukrywać zabójcę, to napewno nie pojechałabym do Szreniawy do siostry, lecz wprost do Ameryki, jak to mi proponował Damazy i chciał zwabić, abym szukała tam męża.

Jeżeli taka osoba, jak ks. Awałow miał księdzu i po zabójstwie, dokonanem w Częstochowie i osoba ta nic nie wiedziała, iż ten ksiądz-mnich jest zabójcą, to skąd że ja, kobieta, mogłam nie wierzyć słowom zabójcy, który mnie oszukał i groził?

Przecież jednocześnie byłam nie tylko żoną, lecz i matką i nie miałam ani prawa, ani serca pozbawiać życia dziecka, przecież ono na świat się nie prosiło!

Dla Macocha było to wszystko jedno, on tylko przemyśliwa nad tem, jakby ulżyć sobie kary. Za co zabił męża? I co się stało z pieniędzmi, które mąż miał przy sobie w kwocie rb. 400? Tego on nie powie!

Prawda! Twarz moja stanowi dla Macocha obecnie dobrą obronę, lecz w każdym razie nie przyczynę zabójstwa. Na dowód tego pozwolę sobie raz jeszcze zapytać Damazego: za co zabił męża mego i gdzie podział jego 400 rubli?

Dlaczego morderca nigdy nie odpowie na te dwa pytania? Dlaczego? Dlatego, że nie chce zdradzić swego charakteru, dlatego, że on w ostatnich czasach namawiał mnie przez ludzi, abym mówiła przeciwko mężowi, nieszczęśliwej jego ofierze.

Lecz się przerachował "szlachetny" Damazy! I cóż "biednemu" Damazemu pozostaje? Jeżeli nie na nieboszczyka zwalić swoje grzechy, jakiż powód będzie zabójstwa? Przecież przyczyna mordu nie będzie wyjaśniona!

I oto ten uczciwy Damazy pragnie współczucia dla siebie, pragnie jeszcze żywej ofiary i oto na jego drodze stoi tylko jedna i wygodna dla niego obrona: to Helena!

Lecz jam tu jest, ja mówię, ja krzyczę! Nigdy nie namawiałam Macocha do złego, nie prowadziłam duszy jego na zgubę i ja przyczyną mordu nie byłam!!

Ja zawsze byłam jedna. I wówczas kiedy Damazy zabił mi męża, i teraz gdy stoję tutaj.

Dla niektórych obrońców jestem dobrym żerem, służę dla wielu ozdobą ich przemówień, jestem przedmiotem uśmieszków i żartów z mojego nieszczęścia!

Nie będę twierdziła, że życie pędziłam cnotliwe, miało ono wad dużo, ale to nie znaczy, abym była zbrodniarką.

Nie wiedziałam, że jest złodziejem,

nie miałam zamiaru ukrywać zabójstwa kochanego męża...

Jam mocno, namiętnie kochała męża! Nie miałam przed nim tajemnic! On mnie pokochał... I byłam szczęśliwa! Za żadne skarby świata nie zdradziłabym go.

Żadnych! Żadnych związków nie miałam wtedy z tym człowiekiem! A on? Znalazł sposób! Siekierą zabił męża a... kto wie, myślał, czy ofiara nie znajdzie się znów w jego władzy?

Panowie sędziowie! Wiecie, w jakich okolicznościach dowiedziałam się o tem. Wiecie, jak przyjęłam tę wieść! A on? Ani na chwilę, ani na krok nie chciał mnie opuścić. Bał się!

Nie miałam żadnego oparcia. Sama wreszcie nie wiedziałam co robić! Przytem bałam się, bałam strasznie tego zabójcy!

Mnie aresztowano! Jam tutaj. Alem jest już wolna od niego. Odczepił się odemnie na zawsze! Strasznie okupiłam tę wolność. Za cenę życia! Za cenę dobrego imienia mej rodziny. Więzieniem! Wstydem! Lecz okupiłam!!

W obliczu całego świata podłością i nikczemnością nazywam każdy inaczej mówiący o nim wyraz. Podłością i nikczemnością nazwałam również i nazywam to zabójstwo.

(Tu oskarżona robi długą pauzę).

— Okropność! — wykrzykuje. — Rozpacz!.. Pogróżki zabójcy i dla mnie śmiercią! Oto co mnie rozbiło. Lecz we mnie nie przemknęła nawet myśl wybaczenia. Oszczędzania! Lub ukrywania! Niech Bóg, jedyny Bóg będzie świadkiem słów moich.

*
* *

Skończyła, usiadła. Trochę w nieodpowiedniem miejscu swego przemówienia zaczęła płakać, czyli zaczęła płaczliwym głosem recytować zawcześnie... Wybuchy jej brzmiały fałszywemi akcentami... Trema widoczna. Takie na niektórych słuchaczach wrażenie sprawiło przemówienie oskarżonej. W sali bardzo wiele kobiet płakało... Tkliwe serca!

* *
*

Sąd udaje się do sali naradczej, z której powraca i oświadcza, że stawia 16 pytań, według aktu oskarżenia.

Prok. Niedzwiedzki proponuje poprawki redakcyjne w pytaniach oskarżających.

Trwa to przeszło pół godziny.

Inni obrońcy proponują drobne zmiany.

Obrońca Macochowej nie zgadza się z założeń zasadniczych na zmiany proponowane przez prokuratora i prosi o pozostawienie brzmienia pytań w tej redakcyi, w jakiej znajdują się w akcie oskarżenia, zatwierdzonym przez izbę sądowa.

Prokurator oświadcza, że prawo pozwala na tego rodzaju zmiany.

Prezes, po porozumieniu z sędziami, oświadcza, że sąd postanowi, jakie postawić pytania, co nastąpi jutro, poczem zostanie ogłoszony wyrok.

Rozpocznie się posiedzenie jutrzejsze o godz. 3 popołudniu.

Dzień dziewiąty.

Ostatni dzień.

Już od szeregu dni mamy tu piękne poranki, słoneczne do południa. Dopiero po obiedzie, jakby na urząd, niebo zasnuwa się chmurami, mży kapuśniaczek, mgła zalega miasto.

Idziemy do sądu o wiośnie, wracamy, jakby pora jesienna.

Dziś do godz. 2 mieliśmy ciepło pa-

nie do figury, panowie w paltach wiosennych.

Na ul. Kaliskiej ruch...

Słońce wszystko ozłociło, śmieją się do siebie ludziska.

Tylko przed gmachem sądu wśród oczekującej gromadki znać pewne zniecierpliwienie. To ciekawi wyroku na Macocha i innych, który ma zapaść za godzinę, dwie, trzy...

Jaki będzie wyrok?

Oto ich wiozą. Wiozą owych nieszczęśników. Damazy i Izydor, razem w jednej dorożce, pierwszy blady, niespokojne rzuca spojrzenia, drugi ukrył twarz. Dorożka na placu bernadyńskim przejeżdża obok skupiska ludzi szarych. Lecą stamtąd złorzeczenia...

W drugiej dorożce jedzie Macochowa, owa Helena, która wczoraj ostatniem swojem słowem wywołała różnorodne uczucia: korzystne dla siebie i niekorzystne...

— Wszystkiemu winien on, Damazy, on był moją zmorą, on był mojem nieszczęściem, złym duchem, wężem-boa, który mnie dusił, dusił i udusił! Och, jakżem szczęśliwa, żem od niego wolna i będę wolna na zawsze!

Taki był ton jej słów ostatnich przed sądem. Szkoda, że nieszczery...

I nic dziwnego, że ten upiór, który upiorem wcale nie był, słuchając tych słów patetycznych, tych słów spisanych na kartce, rzucał tylko rozpaczliwe spojrzenia, wszystkie fibry na wygolonej jego twarzy drgały, rzucał się na miejscu niemal konwulsyjnie...

Już powiedział ostatnie swoje słowo..

On mówił, że Helenę kochał, kochał namiętnie. Poza nią świata nie widział.. Zadano mu kłam...

Zadały mu kłam usta, z których w dodatku dwukrotnie usłyszał groźne pytanie:

— Za coś zabił ukochanego całem sercem męża mego, coś zrobił z jego pieniędzmi?

Takie pytania rzucała "biała gołąbka" — "wężowi-dusicielowi"...

Dziś ta biała gołąbka, Helena Macochowa, jedzie w dorożce z twarzą spokojną, jakby pewną o los swój za parę godzin.

Za dorożką tą dążą pionki tego smutnego procesu: Błasikiewicz, Pertkiewicz i Pianko.

Opuszczone głowy, idą jak skazańcy.

* *
*

W sali sądowej gwar. Tłoczno na wszystkich miejscach. Panie postrojone, panowie w czarnych ubraniach.

Ostatni akt...

Godz. 3, czas wyznaczony na otwarcie posiedzenia.

Obrońcy oskarżonych w komplecie, stół prasowy zapełniony.

Wśród gości pani Helena Marczelo-Palińska, umyślnie przybyła z Warszawy.

Woźny oddaje telegram, to znany adwokat petersburski, Andriejewskij przysłał słowa: "przyjmijcie koleżeńskie pozdrowienie za szlachetne i głębokie mowy obrończe" — pod adresem adwokatów: Kleyny i Korwin-Piotrkowskiego.

Obaj pozdrowieni redagują odpowiedź w języku francuskim.

Gotowa.

Na stół prasowy otrzymujemy pytania oskarżające, zatwierdzone przez sąd. Jest ich szesnaście.

Aż pięć dotyczy głównego oskarżonego: Czy winien jest ks. Damazy, w świecie Kacper, syn Pawła, Macoch, lat 38, z pośród włościan wsi Lipie, tego, że obmyśliwszy z góry pozbawienie życia swego brata stryjecznego Wacława, wezwał go w tym celu z Warszawy do

siebie do klasztoru jasnogórskiego w m. Częstochowie i tam w celi swej, w nocy z 24 na 25 lipca, r. 1910, podczas snu Wacława Macocha, zabił go uderzeniami siekiery w głowę i szyję?

I tak dalej.

Dwa pytania dotyczą drugiego oskarżonego mnicha Izydora, w świecie Stanisława-Andrzeja, syna Łukasza-Jana, Starczewskiego, lat 38, z pośród mieszkańców osady Złoczew, w pow. sieradzkim; chodzi o to, czy winien jest ukrywania zbrodni i kradzieży wspólnie z Macochem pieniędzy klasztornych.

Dwa pytania: Czy winien jest ks. Bazyli, w świecie Józef, syn Hilarego, Olesiński, lat45, z pośród mieszczan m. Częstochowy tego, że kradł pieniądze klasztorne i skradł z celi nieboszczyka ks. Bonawentury Gawełczyka w listach zastawnych rb. 5,000?

Trzy pytania dotyczą Helenę Katarzyny z Krzyżanowskich Macochowej, córki Mikolaja, lat 27 mianowicie, czy winna jest ukrywania w mieszkaniu swojem w Warszawie i w mieszkaniu krewnych w Szreniawie zbrodniarza, czy winna jest, że nie biorąc bezpośredniego udziału w kradzieży pieniędzy klasztornych, korzystała z nich, otrzymując je od Damazego Macocha i wreszcie, że korzystała z dokumentów fałszywych i na zasadzie tych dokumentów wzięła ślub jako wdowa z Wacławem Macochem?

Reszta pytań dotyczyła Pianki i Błasikiewicza oraz Pertkiewicza i Cyganowskiego.

Czy Pianko i Błasikiewicz ukrywali zbrodnię i zbrodniarza czy Pertkiewicz dostarczył sposobu do kradzieży pieniędzy klasztornych, wreszcie czy Cyganowski sporządził wbrew przepisom pieczątkę urzędnika stanu cywilnego parafii Parzymiechy?

*

* *

Pierwszy zajął swe zwykłe miejsce przy ławie oskarżonych za pulpitem obrońców ks. Bazyli Olesiński. Podchodzą doń obrońcy, sprawozdawcy, ten i ów z publiczności, witają się z nim; twarz oskarżonego nie zdradza niepokoju...

O godz. 4 m. 25 wprowadzają więźniów: wchodzą — Pianko, Pertkiewicz i Błasikiewicz, sadowią się na niższej kondygnacyi ławy oskarżonych; za nimi ukazuje się Helena Macochowa, na stępnie Izydor, wreszcie Damazy i szybko, nerwowo zajmują miejsca na najwyższej ławie.

Siadają też na swoich miejscach obrońcy.

Oskarżeni nie ukrywają już swych twarzy, oczy wszystkich utkwione są w te ich oblicza, z których przebija niepewność, obawa, strach.

Jestto ostatnia konfrontacya publiczności z głównemi aktorami procesu, która to publiczność, tak samo jak i owi aktorzy, nie są pewni, co z poza drzwi izby naradczej sąd dla nich wyniesie?

Ciekawość tak samo jak temperatura w sali jest podniesiona.

Prokuratorzy pp. Niedzwiedzki i Katranowskij zajęli swe miejsca, sekretarz p. Ostrowski z pomocnikami pp. Zaletajewym i Orłowskim zasiedli przy stole naprzeciwko, za krzesłami sędziowskiemi — przedstawiciele władz.

Puste są jeszcze cztery krzesła sędziowskie, ale w tem rozlega się donośny głos woźnego:

— Proszę wstać, sąd idzie!

Wyrok.

Ogólne poruszenie, wszyscy wstają, wchodzą: prezes Wołkow, sędziowie Aleksandrow, Pawłowicz i Gubskij.

Wszyscy zamieniają się w słuch; napięcie ciekawości dosięga zenitu.

— Otwieram posiedzenie — oświadcza prezes o g. 4. m. 30 i oznajmia, że sąd zatwierdził pytania oskarżające zgodnie z wnioskiem prokuratora i obrońców.

Poczem krótka chwila milczenia i z ust prezesa rozlega się uroczystym tonem:

— Z rozkazu Jego Cesarskiej mości!

I w dalszym ciągu prezes czyta długi wyrok, będący odpowiedzią na pytania oskarżające.

... Po złączeniu tych wszystkich wymiarów kar, sąd okręgowy skazuje Damazego Macocha na 12 lat robót ciężkich, z pozbawieniem praw i na osiedlenie.

Dalej dowiadujemy się, że Izydor Starczewski skazany został na 5 lat rot aresztanckich z zaliczeniem mu roku, przebytego w więzieniu.

Helena Macochowa skazana została na dwa lata więzienia, z zaliczeniem jej roku czasu przebytego w więzieniu.

Bazyli Olesiński — na dwa i pół roku rot aresztanckich.

Józefat Błasikiewicz — na rok więzienia z zaliczeniem czasu przebytego w więzieniu.

Wincenty Pianko — na cztery miesiące więzienia z zaliczeniem mu czasu tam przebytego.

Lucyusz-Władysław Cyganowski — na 7 dni aresztu policyjnego.

Uniewinniono tylko Józefata Pertkiewicza.

Na ławie oskarżonych łka Macochowa, stoi jakby nic rozumiał tego, co się stało, Starczewski, zgnębiony jest Damazy — wszystkim pobladły wargi, drżą lica, w osłupieniu patrzy przed siebie Bazyli, mają miny niepewne: Błasikiewicz i Pianko, jeden Pertkiewicz twarz ma rozjaśnioną.

Tymczasem w dalszym ciągu prezes czyta, że wobec zaliczania czasu więzienia Błasikiewiczowi i Piance mają być obaj uwolnieni z pod straży, natomiast skazany Bazyli Olesiński do czasu przedstawienia poręczenia w kwocie rb. 3,000 ma być osadzony w więzieniu.

Obrońca Macochowej prosi sąd o wyznaczenie kaucyi i poręki za nią do czasu ostatecznego ukończenia sprawy; zaś obrońca Olesińskiego prosi o pozostawienie skazanego na dotychczasowych warunkach stopy wolnej.

Prok. Niedzwiedzki nie zgadza się na uwolnienie z więzienia Macochowej, zgadza się natomiast na porękę za Olesińskim.

Sąd wydaje postanowienie zgodne z wnioskiem prokuratora.

Sąd opuszcza salę.

Godz. 4 m. 45. Ruch między dziennikarzami. Lecą depesze na wszystkie linie telegraficzne.

Tymczasem wśród oskarżonych ruch. Pertkiewicz miesza się z publicznością i znajduje tam rodzinę. Radość ogólna.

Błasikiewicz i Pianko wychodzą bez straży; wracają do więzienia: Damazy, Izydor i Helena.

Przy Bazylim zjawia się woźny sądowy i oświadcza, że jest aresztowany. Skazany z płaczem zbliża się do stołu sędziowskiego, przy którym obrońca jego, adw. Chądzyński omawia z sekretarzem formę aktu pozostawienia go na wolności.

Zgodnie do postanowienia sądu spisano za Olesińskiego poręczenie.

Publiczność wychodzi z sali z zaspokojonem uczuciem ciekawości, a na korytarzach dowiadują się jedni od dru-

gich, że onegdaj zmarł ojciec Damazego, 70-letni Paweł Macoch, gospodarz we wsi Lipie.

*

* *

Dziewięć dni trwał proces, przez dziewięć dni spokojny Piotrków budził się i układał do snu z pytaniem, co proces przyniesie nowego, Warszawa i kraj cały chciwie chwytał gazety ze sprawozdaniami.

Dowiedział się o szeregu nowych faktów nędzy ludzkiej, dowiedział się, że potrzeba silnych jeszcze leków na uzdrowienie swego społeczeństwa.

Nie skończył się jednak proces ten w Piotrkowie,bo zarówno prokurator, jak i oskarżeni, mają się odwołać do izby sądowej w Warszawie, czyli echa tego procesu będziemy mieli jeszcze głośne.

Motywy wyroku ogłoszone będą przez sąd piotrkowski za trzy tygodnie.

*

* *

W dowodach rzeczowych sprawy Macocha i in. znajdują się różne dokumenty charakteryzujące głównych oskarżonych.

Do takich między innemi należy:

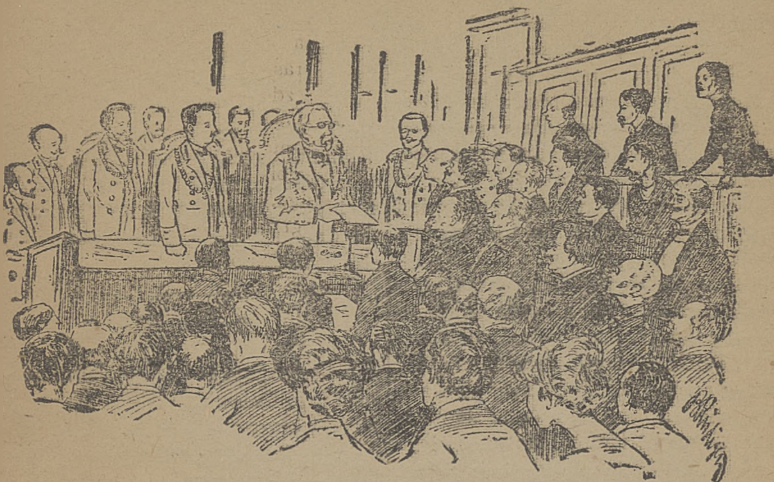
List Starczewskiego do Macocha.

Mój kochany.

Otrzymałem ambo, sed primum były kartki gołe bez zawinięcia w cokolwiek, secundum vero było zapieczętowane, ale nic Twego charakteru w nim nie było, wskutek czego powstało u mnie dubium, czy Ty jesteś autorem drugiego. Posłałem zapytanie, ale nastała zmiana służby i Ciebie nie doszło, a obecnie jestem również jak Ty bardzo pilnowanym. Przyjąwszy secunduam Tuam epistołam dubiam za Twoją własną, czuję się w obowiązku skreślić do Ciebie parę słów. Ferne V zeszłej hebdomady accepi od Ciebie epistolam, za co ci serdecznie dziękuję a in meridio tegoż dnia byłem apud judicem circiter duas horas. Przyszedłszy do siebie byłem cały zdenerwowany do tego stopnia, że myśli o zakończeniu tej vitae napadły na mnie. Pokrzepienie znalazłem w Twojej epistolae, za co niech Ci Bóg wspomaga. Nie wiem, czy znajdzie się kto drugi taki, aby tak umiał grać na nerwach jak ten judex.

Scripsi Tu mihi "nie może bardziej boleć, jak się dozna przykrości od osoby ukochanej." Przyznaję ci racyę, ale zwróć jeszcze i na to uwagę, że ja tylko scripsi Tibi a Tu dixisti publice. Lecz dajmy pokój temu, darujmy sobie wzajemnie, bo po cóż mamy sobie wzajemnie ból sprawiać, dość i tak mamy, daj Boże tylko wytrzymać. Więc przepraszam Cię serdecznie i Ty mi przebacz, błagam Cię.

Z Twojej epistoly i z wczorajszego śledztwa przekonałem się, że to co piszesz jest prawdą to jest, że szatan ogromnie wietrzy w tej sprawie, a ludzie złej woli chcą nas potępić, pakując na nas wszystko, dla tego zwróciłem już Ci na to też uwagę. Ja Ciebie nigdy i nigdzie nie potępiałem, do niczego, a szczególniej ad claves nie przyznawałem usque adhoc, bo nie czułem i nie czuje się winnym. Ciebie wyprowadzono w pole, w kr., że niby ja zeznałem, Ciebie oskarżyłem, a tu tymczasem nie mnie, ale Ciebie podstępem wyprowadzono w pole. Ja zawsze cię broniłem i tłómaczyłem. Contra Te tylko to dixi, żeś się osculabatur cum ae, co łatwo zmienić dodawszy, że to było post nuptias, no i że pecuniam habeas prawdopodobnie accipiens stipendia pro Missae, których mogłeś podczas Pentocostes, Assumptiones et Natiritatis accipere do M (mille rubeliones) co



Odczytanie wyroku.

przcholowałem., ale podobno potwierdził to Pater P., że to możebne było. Tylko tyle dixi contra Te, a o loteryi to zupełnie wyszło mi z pamięci. To też wobec tego łatwo Ci będzie wykazać, że pecunia est Tua proprietas et nou Clare Montis jak ci to już wspomniałem w przeszłej epistolae. Dalej było confusio idacarum. Ty pisałeś o świadku w czem innem, a ja znów rozumiałem o świadku w czem innem i miałem na myśli P., który Cię może poprzeć contra me gdyż tylko on jest tuus testes contra me. Co zaś do pecuniam to wielkie dubium, czy to tak będzie, jak piszesz. Rząd tu stara się dowiedzieć do kogo ta pecunia należy, znasz ukaz. Dalej mei parentes et fratres mają dużo do zniesienia. Omnes dicunt i prześladują, że wszystko mają ex furto in Cuc, gdyż impcsibila est żebym im nic nie dal, co jest falsum. Dziadek (awus) zaś mój ma taką prośbę do Ciebie, żebyś filium ejus facubum neu wmieszał czasem, abyś o nim nil dixisti.

To samo petit meus frater, qui scripsit Tibi. Chcąc zaś nie wplątać alios, aby nie cierpieli praesertim jac to nescio, jak na to poradzić. Alii clares facit Tibi p. et alli ab alia persona. Wobec tego nie wypada nic więcej, jak skomunikować się z p., żeby on dixi, że fecit Tibi clavem lecz nesciebat do czego. Tu autem dixisti, że unus clavis crat a Tuo pokoju et altera confessario, et hos claves antem facit Tibi extra civitatem gdziekolwiek incognitus, no i co najgłówniejsze, żeby filius Avi crat liber. Uno verbo peto Te carissime, abyś to wszystko quoad furto et clares zmienił tak jak Ci to scripsi in practeritu epistola et nune scripsi. Tutaj muszę zwrócić ci uwagę, że co się tyczy Jakuba, o którym wspominasz in ma epistola eo to cum bileto servi nostri miał iść, to trzeba Ci wiedzieć, że to jest także ser-

vus, collega nostri serir sed non fiilus Avi. Wiem, że i tak to nie wiele adjurat mihi, ale zawsze inaczej będzie wyglądać, dla Ciebie melius będzie. Dla tego też no in judicio przedewszystkiem powinieneś ich zapytać, gdyż masz dubium, czy accipieus stipendia pro Missa i starałeś się o lepsze, dla czego nawet używałeś clares alios jest furtum, an now. No, a potem udowodnij jak ci to już scripsi et praesertim, że to fecisti sine mnie Memento, że będziesz Ty miał wpierw niżeli ja, a może obydwaj razem dwa judicia unum judicium canonicum et alterum sacculare dla tego im obydwom jednako powinno być. Per łatwo wytłómaczyć, gdy i on zezna np. że facit Tibi claves ad drzwi con͏esioetc. Tu trzeba z nim się umówić. Z drugiej strony memento, żebyś czasem non dixisti nomen et cognomen tego, qui facit alios claves; dic, że ignota persona (nieczytelne) dedisti duplicat et Tibi ͏ecit nawet nic nie wmieszaj a uwolnij od tego. Z drugiej strony nie chciałbym, żebyś robił ze siebie ofiarę. Nie chce byś ty meam culpam przyjął, ja sam będę panitenssam agere. Sądzę tylko, że zmieniając swe oskarżenie na siebie nie przedstawiając się w tak ohydnem świetle, tem samem i mnie poprzesz i poratujesz, gdyż jak nie masz Festem co do kuzyna wskutek czego obawiasz się czy ci uwierzą na sądzie, tak zdaje mi się, że in furto ter nie masz testem, a pomimo tego, że cię judex upewnił, że z tego co ad pecuniam nil będzie, niech więc to verbum furtum wcale nie figuruje, ale na to niech figuruje, stipendia pro Missis loteria, procent etc. etc. i żebym tego był libei od tego ͏actum. Tu non ͏ecisti ͏urtum, et ego wcale nie. Jeszcze raz błagam Cię i zaklinam na wszystkie świętości, cofnij swe oskarżenie na mnie, sam siebie poratujesz i mnie wspomożesz. Tembardziej, że judex upewnił Cię, że nil z furto będzie, dla tego oczyść więc mnie et totam familicum meam, która cierpi. Już Ci scripsi, że saccrelotem nie będę, pozwól mi niech chociaż będę nauczycielem lub urzędnikiem jakim, niech nie zatruwam życia swym Parantitus, no; Ty miej wzgląd na siebie, miej wzgląd na moich parentes. Może dicere, że w złości, w zemście na mnie tak dixisti. Nie mieszaj więcej do tej sprawy osób, po cóż mają cierpieć, staraj się, aby P. także oczyścić.

Rezolucya.

1912 r. lutego 14—23 (st. st.). Z rozkazu jego Cesarskiej Mości, piotrkowski sąd okręgowy w 3 wydziale karnym, w składzie następującym: prezes J. D. Wołkow, członkowie sądu K. A. Aleksandrow, J. J. Gubskij i Pawłowicz przy podprokuratorach izby sądowej Niedzwiedzkim i sądu A. T. Katranowskim, przy sekretarzu M. K. Ostrowskim oraz p. o. sekretarzów A. D. Zaletajewie i P. N. Orłowskim, wysłuchawszy sprawy o księdzu Damazym Macochu i inn., oskarżonych z art. 1453, 225, 3 cz. 1655, 294, 296 i 329 kod. kar postanowił:

1) z pośród włościan wsi Lipie pow. częstochowskiego, księdza-mnicha klasztoru jasnogórskiego, Damazego (w świecie Kacpra), syna Pawła, lat 38, na zasadzie 13, 2 cz. 226, 2 cz. 31 art. kod. kar., po pozbawieniu wszystkich szczególnych praw i przywilejów oddać do poprawczych oddziałów aresztanckich na 3½ roku; na zasadzie 13, 1 p. 3 cz. 1655 i 4 cz. 31 art. kod. kar., po pozbawieniu wszystkich szczególnych praw i przywilejów, oddać do poprawczych oddziałów aresztanckich na 2½ roku; na zasadzie 1 p. 294, 149 i 3 cz. 31 art. kod. kar., po pozbawieniu wszystkich

szczególnych praw i przywilejów, oddać do poprawczych oddziałów aresztańckich na 2½ roku; na zasadzie 1 p. 296 i 2 cz. 31 art. kod. kar., po pozbawieniu wszystkich szczególnych praw i przywilejów, oddać do poprawczych oddziałów aresztanckich na 3 lata, z zamianą tych wszystkich kar, w razie potrzeby, według art. 77 i z następstwami, według 1 p. 58 art. kod. kar., oraz na zasadzie 1 cz. 1455 3 cz. 19 art. kod. kar., po pozbawieniu wszelkich praw stanu, zesłać do robót ciężkich na 12 lat z następstwami według 25 art. kod. kar., a następnie, włączności, na zasadzie 152 art. kod. kar., skazać go tylko na ostatnią karę.

2) Wdowę Helenę-Katarzynę, córkę Mikołaja, Macochową, 27 lat, na zasadzie 1 cz. 294, 149, 3 cz. 3, 134, 135, 77 i 4 cz. 31 kod. kar. po pozbawieniu wszelkich szczególnych praw i przywilejów, zamknąć w więzieniu na 2 lata, z zaliczeniem na rachunek tej kary jednego roku więzienia prewencyjnego i z następstwami według 1 cz. 58 rta. kod. kar.

3) Księdza-mnicha klasztoru jasnogórskiego, z pośród włościan osady Złoczew, Izydora (w świecie Stanisława-Andrzeja), syna Łukasza-Jana, Starczewskiego, 38 lat, na zasadzie 13, 2 cz. 226 i 2 cz. 31 art. kod. kar., po pozbawieniu wszystkich szczególnych praw i przywilejów, oddać do poprawczych oddziałów aresztanckich na 3½ roku i na zasadzie 14, 2 cz. 1455, 149, 6 p. 19, 121, 124, 1 p. 31 art. kod. kar., po pozbawieniu wszystkich szczególnych praw i przywilejów, oddać do poprawczych oddziałów na 5 lat, z zaliczeniem na rachunek kary jednego roku więzienia prewencyjnego, z zamianą w obu wypadkach, w razie potrzeby, według 77 art. i z następstwami według 1 cz. 58 art. kod. kar., w łączności zaś na



Damazy Macoch.

zasadzie art 152 kod. kar., skazać go tylko na tę ostatnią karę.

4) Księdza-mnicha klasztoru jasnogórskiego, z pośród mieszczan m. Częstochowy, Bazylego (w świecie Józefa), syna Hilarego, Olesińskiego, 45 lat, na zasadzie 13, 1 p. 3 cz. 1655 i 4 st. 31 kod. kar., po pozbawieniu wszystkich szczególnych praw i przywilejów oddać do poprawczych oddziałów aresztanckich na 2½ roku, z zamianą w razie potrzeby według art. 77 i z następstwami według 1 cz. 58 art. kod. kar.

5) Włościanina gminy Grabówka Wincentego syna Jana Pianko, at 48, na zasadzie 126, 149 art. i 3 st. 318 art. kod. kar. i

6) mieszczanina m. Częstochowy, Józefata-Franciszka-Damazego, syna Stanisława, Błasikiewicza, lat 50, na zasadzie 126, 149 i 1 st. 38 art. kod. kar. skazać na więzienie: pierwszego na 4 miesiące, a drugiego na rok, z zaliczeniem obu na rachunek tej kary czasu spędzonego przez nich w więzieniu prewencyjnem.

7) Mieszczanina m. Warszawy **Lu-**

cyusza-Władysława, syna Wincentego, Cyganowskiego, na zasadzie 1 cz. 297, 3 st. 38, 134, 135 i 2 st. 39 kod. kar., skazać na areszt policyjny na 7 dni.

8) Mieszczanina m. Sieradza Józefa syna Wincentego Pertkiewicza, lat 39, na zasadzie 1 p. 771 ust. post. kar. uznać za uniewinnionego.

Również obwinionych Damazego Macocha z oskarżenia według 3 cz. 1453 art. i 2 cz. 225 art., Helenę Macochową z oskarż. według 14, 1451, 3 p. 1353 i 2 cz. 225, Bazylego Olesińskiego z osk. według 225 art., Wincentego Pianko i Józefata Błasikiewicza z osk. według art. 14 i 3 cz. 1453 kod. kar., uznać na zasadzie 1 p. 771 art. ust. post. karnego za uniewinnionych.

Kosztami sądowemi w sprawie niniejszej obciążyć skazanych Damazego Macocha, Helenę Macochową, Izydora Starczewskiego, Bazylego Olesińskiego wspólnie, a w razie ich niemożności, wziąć owe koszty na rachunek skarbu.

Co do dowodów rzeczowych wydać oddzielne postanowienie.

Na zasadzie 1028 art. ust. post. kar., po uprawomocnieniu się wyroku, kopię tegoż przesłać duchownej zwierzchności skazanych księży-mnichów w celu pozbawienia ich godności duchownej.

Wyrok z motywami ogłosić 15 (28) marca 1912 r.

Pamiętnik mnicha.

W dowodach rzeczowych znajduje się między innemi część pamiętnika, który prowadził Izydor Starczewski; pamiętnik ten zabrano podczas rewizyi w jego celi.

Owa część pamiętnika ma brzmienie następujące:

6 maja, piątek.

Po mszy gratiamus nie dokonałem. Całowanie z panną namiętnie wczoraj dwa razy do..., potem grzech z mężatką dwa razy.

VIII o. i. przeklinałem.

3 czerwca, piątek.

Pacierze niedbale wczoraj odmówiłem pacierze podpity, podczas mszy 2 razy wylalem na ołtarz.

VI m. Pocałunki wczoraj namiętnie.

18 czerwca, sobota.

Pacierze niedbale, wczoraj nie odprawiłem mszy.

VI pocałunki z panną, onegdaj doszło nawet do dotykania przez ubranie.

VIII o. i. upiłem się wczoraj i onegdaj.

30 czerwca, czwartek.

Pacierze wykonałem tylko raz, mszy od 25 nie odprawiłem.

VI m. grzechy z żoną brata, pocałunki, pol...

VIII o. i. pijaństwo, przeklęcie, w wigilię postu byłem w teatrze.

5 lipca.

Pacierze niedbale, a wczoraj wcale nie wykonałem.

Podczas odprawiania mszy byłem nieuważny.

VI wypiłem wczoraj niewiele.

VIII przekleństwo, przy spowiedzi drzemalem.

11 lipca, poniedziałek.

Pacierz niedbale, dziś rano pol.... leżałem z krewną.

VIII o. i. pijaństwo, przekleństwo.

13 lipca, środa.

Pacierze niedbale.

VI m. pijaństwo i wymioty, przekleństwo.

2 października.

Przeszło trzy tygodnie nie byłem u spowiedzi. Na ostatniej, czy przedostatniej spowiedzi nie opowiedziałem szcze-

gółowo okoliczności grzechu, a mianowicie: ja powiedziałem, że popełniłem grzech z kobietą zamężną, lecz nie dodałem, że kobietą ową była żona mego brata, pacierze wykonywałem niedbałe bez uwagi.

Podczas mszy byłem nieuważny i często myliłem się co do modlitw.

VI m. chęci i żądze, lecz nie popełniłem nic takiego.

VIII o i. być może, iż przeklinałem. Raz czy dwa piłem, ale pijany nie byłem. Złość i gniew, w tych grzechach odprawiłem msze, spowiadałem i komunikowałem.

Spotwarzyłem mych bliźnich o złe postępki, wziąłem kilka groszy w zakrystyi.

List Izydora Starczewskiego do kochanki.

Droga Stefciu! Przed obiadem załatwiłem interes w banku, po obiedzie siadam, żeby odpowiedzieć na twój list z d. 25 b. m. Pytasz się jakie myśli mnie niepokoją, ponieważ w liście z d. 23 b. m. komunikowałem ci, że z trudnością piszę. Jakież inne myśli mogą powstać w mojej głowie, jeżeli nie o tobie? — Przecież w tym samym liście pisałem do ciebie, że niepokoi mnie twoja operacya i że za pospiesznie mnie osądzasz.

Po przeczytaniu uważnie tego listu, bezwątpienia zmienisz swoje zdanie. Co się tyczy mamki, u której znajduje się Staś, to jest rzeczą konieczną, żebyś obejrzała mieszkanie i jej samej się przypatrzyła, wówczas też postąpisz według uznania: albo umieścisz dziecko w szpitalu, albo pozostawisz je u niej, chociaż, według mego zdania, lepiej umieścić w szpitalu, bo tam jest lepsza opieka. Odnośnie wynagrodzenia mamce nie zostawiaj nic u B., lepiej się sama umów, a jeżeli pozostanie na dłużej, to wyszlemy jej pocztą. Zresztą jak uważasz. Teraz po fakcie spełnionym możemy wszystko omówić. Piszesz, że być może, ja go się wyrzeknę, zależeć to będzie, gdzie i kiedy. Przed tobą nigdy, a przed nim zawsze, bo on by mnie potępił. Następnie piszesz: "mówiłam ci, że będzie "on," no, i jest "on." Rzeczywiście mówiłaś to, ja zaś wręcz przeciwnie, że będzie "ona." Jakiż stąd wniosek? A właśnie ten, że ja kochałem ciebie więcej i kocham, aniżeli ty, w przeciwnym bowiem razie byłaby "ona." Widzisz, Stefciu, jakeś wpadła.

Co się tyczy picia, to wierz mi, najdroższa, że nie miałem do tego usposobienia. Święta spędziłem niezbyt wesoło, bo i jakże mogłem się bawić, wiedząc, że ty tam walczyłaś ze śmiercią. Ach, nie wesoło, lecz smutnie byłem nastrojony i wobec tego bardzo mało, można powiedzieć wcale nie piłem. Jestem bardzo ciekawy, coś ty przeżyła podczas choroby.

Kochana Stefciu, chciałbym o wszystkiem do ciebie napisać, ale przedewszystkiem chciałbym otrzymać od ciebie odpowiedź na moją wczorajszą pocztówkę, w której zrobiłem zapytanie. Od tej odpowiedzi będzie zależna dalsza korespondencya, a raczej jej treść. Mówię ci otwarcie, że twoje doniesienia i listy, w których zawiadamiasz mnie o swojem wyzdrowieniu i ukończeniu wszystkich kłopotów, sprawiły mi rzetelną radość. Nie wiem, czy otrzymujesz moje listy, naprz. dziś odebrałem od ciebie list z niedzieli, w którym donosisz mi, że otrzymałaś list w piątek, a więc napisany przezemnie w czwartek, a co się stało z innymi listami? Przecież codziennie piszę do ciebie, jeżeli nie list to pocztówkę, a w ostatnich dniach i jedno i drugie, a ty tymczasem tak długo tych listów nie otrzymujesz. Czyżby ginęły lub podlegały

cenzurze? Zwróć uwagę na koperty i marki, czy nie są naruszone. Jest to jednak rzecz zagadkowa. Co do mego przyjazdu, to już pisałem w jednym z poprzednich listów, wczoraj czy przedwczoraj, dobrze nie pamiętam i dlatego uważam za zbyteczne tu powtarzać. Sprawa jest jasna. Chcąc posiadać fotografię, musiałem zrzec się wyjazdu, tembardziej, że ty zamierzasz wkrótce opuścić mury gościnnej Warszawy.

Kochana Stefciu, chcąc nam obu zrobić przyjemność, żebyśmy mieli pamiątkę, przesyłam ci czek na rb. 70. Idź po pieniądze w to samo miejsce, a otrzymawszy je i załatwiwszy swoje interesy, wstąp najprędzej do fotografii lub bez Stasia nie pokazuj się! Zabierz więc Stasia z sobą, żebym mógł go zobaczyć lub przywieź jego fotografię. Ale, jeszcze co do niego. Chcesz, żeby miał długie włosy? Przecież to nie dziewczynka, lecz chłopiec, więc powinien mieć gołą głowę. Nie obawiaj się, żeby w drodze starł mu się puszek na głowie. Prawda, że jego podróż nie należała do wygodnych, ale za to uratował swoje włosy, przewidując widocznie, że gdyby ukazał się z gołą głową, to byś może nie chciała spojrzeć na niego. Widać zaraz: upór i rozsądek chłopaka.

Dziś wysyłam do ciebie drugi list, widocznie sprzykrzyłem ci się już, nie chcąc więc więcej zabierać ci czasu, tembardziej, że musisz zaraz iść do banku, kończę i całuję ciebie i Stasia.

Serdecznie kochający, Wasz Izydor.
26 IV 1909, g. 3 po poł.

Wrażenia katolika.

— Jakież wrażenie sprawia na panu proces Macocha? — zapytałem jednego ze znanych klerykałów tutejszych.

Spojrzał na mnie i rzekł:

— Prawdę mam powiedzieć? A wydrukujecie wszystko?

— Dlaczegożby nie, przecież to taka sprawa ciekawa...

Siedliśmy.

— Szedłem do sądu — mówił klerykał — pełen oburzenia i niezadowolenia. Jak każdy prawdziwy katolik, dla którego droga jest czystość religii..

— Ależ, pozwól pan, co tu ma religia do rzeczy...

— Przepraszam pana. Ale prosił mnie pan o wrażenia, o moje wrażenia...

— Słucham więc słucham.

— Otóż, panie, religia jest niezwalczoną siłą każdego narodu. Gorzałem tedy pragnieniem kary dla tego zuchwałego sługi ołtarza, który zadał taki ordynarny, niemiłosierny cios najlepszemu ideałowi narodowemu.

Mówiłem sobie:

Nie ma dość wielkiej kary dla człowieka, który w tak zdradziecki sposób zamącił czyste źródło, z którego oracz polski i siewca, ten idealnie wierzący katolik, zasila sumienie i czerpie prostą, mocną, nie mędrkującą wiarę, swą bohaterską wytrwałość i wreszcie nieugięty hart ducha na polu walki życiowej.

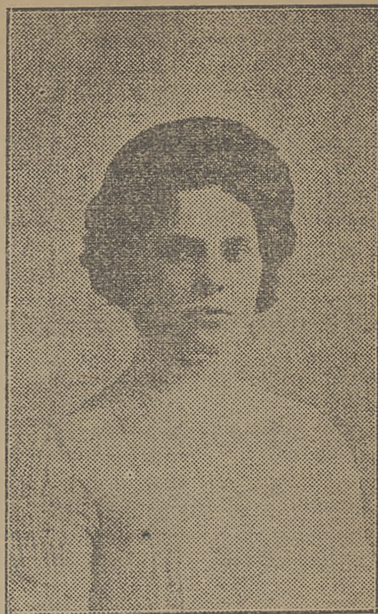
Myślałem dalej:

Ten mnich ohydny nietylko dokonał zabójstwa, wstrętnego morderstwa nad człowiekiem, nad bliskim krewnym; nie tylko shańbił świątynię Pańską: on podniósł rękę występną na to, co stanowi największy hart ludu, na jego wiarę w niezrównaną wielkość i idealną czystość religii, w niewątpliwe, fanatyczne poświęcenie się sprawom kościoła— wszystkich slug ołtarza, od najniższych do najwyższych.

Pierwszy gotów byłem rzucić kamień a nawet zadać cios śmiertelny temu szatanowi w postaci mnicha, który rozbił tę wiarę prostaczą.

A oto co przyniosła rzeczywistość...

Jedno jej dotknięcie, jeden rzut oka na osławionego Macocha, tego "legen-



Helena Macochowa.

dowego" złoczyńcę — dźwięk jego drżącego głosu, w którym przebija bądź lęk zwierzęcy, bądź bezmyślna lub spóźniona skrucha — to jedno wystarczyło do przekonania mnie, że mam przed sobą wcale nie demona klasztornego, któryby byłby zdolny choć na chwilę zachwiać wspaniałym piedestałem katolicyzmu lub kościola albo nawet podkopać powagę duchowieństwa...

Przedemną oto siedział nie bohater posępny "murów pozaklasztornych," nie rycerz występny, lecz marny, nikczemny grzesznik, błazen cyrkowy, suchy, opadły liść, podrzucony w tę lub ową stronę najsłabszym powiewem tchu drobnych namiętnostek.

Innemi słowy: Damazy Macoch wywiera na mnie wrażenie jakiegoś ustawicznego, wszechstronnego nieporozumienia...

Urodził się na chłopa, a przez jakieś nieporozumienie został pisarzem gminnym. Dalej, wstąpienie do klasztoru na braciszka, na księdza, miłość do kobiety bezdusznej, zabójstwo, ucieczka, zeznania różnorakie, wplątanie do swoich plugastw takich nieszczęsnych wyrobników jak Pianko, Błasikiewicz, Pertkiewicz i Cyganowski, którym dał zarobić parę groszy za ich pracę — - wszystko to stanowi jeden nieprzerwany łańcuch nieporozumień nieuzasadnionych, nie potrzebnych literalnie nikomu, a nawet zbytecznych dla wymiaru sprawiedliwości.

Pytajcie się tej pozbawionej woli — chorągiewki, tego tchórza i gaduły, po co ciągnie za sobą do więzienia i te ofiary? Czyż to ulży jego doli, czy to potrzebne do "całkowitej skruchy?"

Nie może on dać na to odpowiedzi rozsądnej, gdyż zrobił to mechanicznie, z woli jakiegoś "wiatru w głowie," jak to wszystko razem, co popełnił.

Powiada Macoch, że od policzka, wymierzonego przez zmarłego brata, stał się niejako szalonym i utracił zdolność rozwagi.

Myli się: przestał on kombinować już wtedy, gdy z chaty włościańskiej przeszedł do krętactw kancelaryi gminnej. Reszta sama przyszła stopniowo...

Niema cechy bardziej dla Macocha charakterystycznej nad tę, gdy jedną ręką dusi uparcie niechcącego umrzeć brata, drugą zaś — odpuszcza mu grzechy...

Zdawaćby się to mogło potwornością, bluźnierstwem?

U innej osoby — tak, ale u Macocha, nic nie kombinującego — jest to tylko rys ciekawy... — Działały w nim dwa pierwiastki: pijany chłop dusi, a ksiądz odpuszcza grzechy...

Taki jest Macoch...

I gdyby poza tem Macoch nie był niebezpieczny dla ludzi normalnych, rzekłbym do niego:

— Wróć, bezładny człowieku, do swego pługa i więcej nie grzesz!

Ale nie powiem mu tego, pragnąłem dla niego hamulca, jak dla każdego napoły nieświadomego odcinka, który ma możność na mocy siły żywiołej na mocy instynktu, poruszać się według życzenia; niech się włóczy nie po miejscach zaludnionych, niech nie rozbija głowy ani o mur, ani tem bardziej o przechodniów...

Najmniejszego ciosu katolicyzmowi, kościołowi i duchowieństwu nie mógł wyrządzić ten marny, mizerny człeczyna przez swój czyn plugawy....

Zaś żywić doń złości — na to niema ani racyi, ani logiki.

Macochów można sądzić nie jako sługi kościoła, lecz jako ludzi nierozwiniętych umysłowo i niezrównoważonych umysłowo i niezrównoważonych pod względem moralnym.

MOTYWY WYROKU.

W SPRAWIE DAMAZEGO MACOCHA i innych.

Ogłoszony wyrok sądy okręgowego piotrkowskiego w formie ostatecznej zawiera motywy następujące:

"Wysłuchawszy tłómaczenia się oskarżonych, śledztwa sądowego i rozpraw stron, sąd przedewszystkiem zatrzymuje się na pytaniu co do tego, czy jest dowiedzione, że

Zabójstwo Wacława Macocha

przez księdza Damazego Macocha dokonane zostalo z obmyślonym z góry zamiarem i jeżeli nie jest dowiedzione, to czy można i z drugiej strony uważać za rzecz prawdopodobną tłómaczenie się oskarżonego Macocha, jakoby zabił Wacława w stanie krańcowego rozdrażnienia, wywołanego skutkiem ciężkiego znieważenia — spoliczkowaniem i obrażeniem ukochanej kobiety.

Przystępując do rozważenia pierwszego z rzeczonych pytań, sąd zastanawia się nad tą okolicznością, że do zabójstwa z premedytacyą muszą istnieć pewne przyczyny; musi być cel zabójstwa. Tymczasem w sprawie niniejszej śledztwo sądowe nie przyniosło bezspornych danych, na których zasadzie można byłoby przyjść do niewątpliwych wniosków, zarówno co do przyczyn, jak i co do celu zabójstwa Oskarżenie wysunęło to stanowisko, że celem zabójstwa było usunięcie przez oskarżonego Damazego Wacława Macocha, gdyż przeszkadzał mu w posiadaniu kochanej kobiety. — Takie jednak stanowisko zaprzecza faktycznej stronie rzeczy. Wacław ożenił się z Heleną nie z miłości, lecz dla pieniędzy, czego nawet nie ukrywał. Objawu jakiejkolwiek zazdrości w stosunku do Damazego nie daje się w nim wcale zauważyć; przeciwnie zabiegi miłosne Damazego względem Heleny traktuje nietylko obojętnie, lecz nawet zachęcająco. Tak naprz. według słów świadka dorożkarza Józefa Golisa na 4 dzień po weselu Wacława z Heleną, kiedy wiózł ich oboje i ks. Damazego do wsi Lipie, był on bardzo zdziwiony tem, że w drodze Damazy zaczął całować Helenę, a gdy Helena nie dawała z początku swych ust do całowania, Wacław rzekł do niej, iż może się teraz całować z Damazym, gdyż wyszła zamąż za niego, Wacława, brata Damazego, poczem ks. Damazy i Helena długo się całowali.

Wszystkie okoliczności zabójstwa świadczą raczej o tem, że dokonano go "nie z obmyślonym z góry zamiarem, lecz wskutek nagle wynikłego rozmysłu. Przedewszystkiem ten, kto zawczasu obmyśla zabójstwo, nie będzie zapraszał ofiary swojej listownie do określonego miejsca, aby taką drogą nie dać groźnej przeciwko sobie poszlaki, zwłaszcza, gdy taki list stać się może wiadomy bliskiej krewnym, lub jak w danym wypadku, Helenie Macocho-

wej, żonie zmarłego Wacława. Następnie, jakąby miał potrzebę premedytujący zabójca w takiej krwawej rozprawie, jak zadanie siekierą ran śmiertelnych, a potem ambaras z ukryciem śladów zbrodni, malowaniem pokrwawionych ścian i podłogi wówczas, gdy istnieje o wiele mniej kłopotliwych zabiegów rozprawy z wybraną ofiarą. Dalej, jeżeliby przypuścić że Damazy Macoch z góry obmyślił zabójstwo, to samo z siebie wynika pytanie, dlaczego nie zaopatrzył się w swoim czasie w niezbędne przedmioty do ukrycia trupa. Dlaczego rogoża i kosz nabywane są za pośrednictwem służącego Załoga dopiero po zabójstwie? Dlaczego trup opakowywany zostaje we własne rzeczy podsądnego Damazego, w jego futro? Dlaczego z góry obmyśliwszy zabójstwo Wacława, Damazy w tak dziwny sposób ukrywa jego trup, w rowie, przy drodze?

Prawda, za "premedytacyą" jakoby przemawia zawczasu przygotowana przez Damazego siekiera, lecz zgodnie do zaprzysiężonego zeznania świadka Bernatowicza, od którego Damazy wziął siekierę, aby coś przyciosać, sama w sobie nie przedstawiała żadnej wartości, a była tępa i do niczego nie zdatna. Czyżby zatem oskarżony Damazy, gdyby w rzeczywistości zawczasu obmyślił dokonanie zabójstwa, wybrał do tego celu takie narzędzie i nie postarał się o lepsze, a przytem, czyby brał siekierę od stolarza klasztornego, a nie nabył by jej gdzieindziej postronnie, jeśli nie osobiście, to za pośrednictwem swego zaufanego służącego Załoga? Wyłożone wyżej przyprowadza sąd do przekonania, że zabójstwo Wacława Macocha spełnione zostało bez obmyślonego z góry zamiaru. Ale jednocześnie nie można dać wiary i tłómaczeniu się podsądnego Macocha, że zabójstwo Wacława popełnił w stanie krańcowego rozdrażnienia, gdyż jak w bardzo rzeczowem wniosku twierdzi znawca lekarz dr. Gurbski, zbrodnia popełniona została podczas snu ofiary na lewym boku, o czem świadczą następujące znaki, mianowicie sześć ran miał Wacław na równoległych płaszczyznach poziomu do osi pionowej ciała ludzkiego, usta miał zamknięte, wargi nieco uśmiechnięte, oczy cokolwiek otwarte, a na kończynach żadnych śladów oporu. Skon Wacława nastąpił, zdaniem rzeczonego znawcy, prawie momentalnie od uderzenia ciężkiem ostrem narzędziem w część ciemieniową głowy z uszkodzeniem mózgu; druga rana śmiertelna zadana mu była w szyję.

* *
*

Obrona skazanych w sprawie Macocha zwróciła uwagę, że sąd okręgowy ferując wyrok, nie zastosował punktu I art. 945 ust. post. karn., według którego wyroki, skazujące osoby duchowne na pozbawienie praw, winny być konfirmowane przez Monarchę.

Oczywiście przeoczenie to posiada więcej znaczenie formalne, które niewątpliwie uzupełni druga instancya, gdyby zaś takie przeoczenie stało się w drugiej instancyi, byłby powód do kasacyi wyroku.

Tym razem, choćby nawet nie apelowali skazani, to protest prokuratora, który niezadowolony jest ze zbyt łagodnych kar dla głównych winowajców, względem których winien być zastosowany punkt 1 art. 945 ust. post. karn., formalność ową naprawi.

Gdyby, jak twierdzi oskarżony Macoch, rzeczywiście Wacław spoliczkował go, gdyby fakt ten rzeczywiście doprowadził go do stanu uniesienia się, to rzecz naturalna, zareagowałby na

obelgę natychmiast, lecz nie czekałby, gdy Wacław uśnie, aby zabić go we śnie. Zresztą Macoch, uświadamiając sobie bezpodstawność takiego tłomaczenia w pierwszem swem zeznaniu, złożonem agentowi policyi w Krakowie — Jasieńskiemu, ukrył tę okoliczność, że zabił Wacława podczas snu i oświadczył, iż po spoliczkowaniu go przez Wacława, nie wiedząc co robi, pochwycił siekierę i uderzył nią kilka razy krzywdziciela. A dopiero następnie, gdy Jasieński zwrócił mu uwagę że Wacław zabity został podczas snu, oskarżony Damazy, zmieszawszy się, potwierdził ten fakt. Trzeba wogóle przyznać, że całe opowiadanie Damazego Macocha o "policzku," wymierzonym mu przez Wacława sprawia wrażenie opowiadania nieprawdziwego, gdyż rzeczą jest zupełnie nieprawdopodobną, aby gość, który znieważył gospodarza spoliczkowaniem, korzystał dalej z jego gościnności i ze spokojem udał się na spoczynek do przeznaczonego dlań pomieszczenia, zamiast wyjść zupełnie. Widocznie opowiadanie o "policzku" potrzebne było Damazemu, aby zmniejszyć własną winę i przekonać, że Wacław przez swe postępowanie, doprowadziwszy go do ostateczności, sam w części jest winien krwawego rozwiązania. Zwraca też uwagę i zeznanie Chęcińskiego co do tego, że Wacław Macoch, idąc od niego od Damazego, powiedział, że o ile nie pogodzi się jeden z drugim, to przyjdzie i opowie świadkowi o czemś bardzo ważnem. Stąd można wnosić, że pogodzenie nie nastąpiło i, że Damazy dokonał zabójstwa z obawy wyjawienia jakiejś ważnej dla niego tajemnicy. Zważywszy powyższe dane, sąd przychodzi do przekonania, że zabójstwo Wacława Macocha dokonane zostało nie w rozdrażnieniu lub uniesieniu, lecz z rozmysłem, jakkolwiek bez obmyślonego z góry zamiaru, wskutek też czego sąd uznaje, że Damazy Macoch jest winien według 1 cz. 1455 ar. kod. kar.

Co się tyczy innych zbrodni, o które Damazy Macoch został oskarżony, mianowicie:

a) **kradzież ze skarbczyka pieniędzy klasztornych;**

b) **sfałszowanie świadectwa pod** d. 20 kwietnia r. 1909 za Nr. 35 o wstąpieniu pod imieniem światowem Kacpra w związek małżeński z Heleną Krzyżanowską i świadectwa pod d. 24 maja r. 1910 za Nr. 76 o swojej śmierci, która rzekomo miała nastąpić 22 lutego r. 1909 podrobienie na tych świadectwach podpisów ks. Dakowskiego;

c) **podrobienie pieczęci** urzędnika stanu cywilnego parafii Parzymiechy oraz

d) **kradzież pieniędzy Bonawentury Gawełczyka** —

to te zbrodnie oskarżonego Macocha zupełnie są dowiedzione przyznaniem się jego do nich, zgodnem z okolicznościami sprawy. Zresztą odnośnie kradzieży 5000 rb. w listach zastawnych u Gawełczyka, Macoch objaśnił w sądzie, że listy owe skradzione zostały nie przez niego, lecz przez ks. Olesińskiego, który dał i jemu za rb. 2000 skradzionych listów; lecz stanowisko Macocha jako współuczestnika tej kradzieży nie zmienia fakt, kto mianowicie wziął listy zastawne: on czy prowadzący razem z nim rewizyę w celi Gawełczyka ks. Olesiński. Do wspólności kradzieży i korzystania ze skradzionego przyznał się, wobec czego sąd uznaje że Macoch jest winien wszystkich wyszczególnionych czynów przestępnych. Jednakże z kwalifikacyą kradzieży pieniędzy klasztornych ze skarbczyka według 2 cz. 225 ar. kod. kar., sąd nie może się zgodzić, gdyż artykuł ten prze-

widuje kradzież pieniędzy z kościoła lub zakrystyi, tymczasem pieniądze kradzione ze "skarbczyka," który, jakkolwiek znajduje się w tym samym gmachu przy wielkim kościele, lecz nie stanowi integralnej części kościoła (zeznanie ks. Olszewicza) i nie może być utożsamiony z zakrystyą, gdyż jest sam w sobie schowankiem kościelnem. Z rozprzestrzenionemi zaś komentarzami art. 225 i z zastosowaniem do niego kradzieży nie z "kościoła" lub "zakrystyi," lecz z innych schowanek kościelnych, sąd nie może się zgodzić ze względu na art. 225, którego druga część przewiduje kradzież mienia kościelnego mianowicie z innych schowanek kościoła, dlatego sąd uznaje też, że Macoch jest winien według 2 cz. 226 art., lecz nie z 2 cz. 225 art. kod. kar.

Izydor Starczewski.

Oskarżony Starczewski oddany został pod sąd pod zarzutem 2 zbrodni: a) kradzieży wspólnie z Macochem funduszów klasztornych ze skarbczyka i b) ukrywania zabójcy: oskarżonego Macocha.

Co się tyczy pierwszej zbrodni, to wina Starczewskiego stwierdzona została kategorycznem oskarżeniem przez podsądnego Damazego Macocha, który stanowczo nie miał do tego jakiejkolwiek zasady, aby fałszywie oskarżać swego najlepszego przyjaciela. A że stosunki między nimi rzeczywiście były jaknajlepsze, świadczy o tem obszerna ich korespondencya, a w szczególności korespondencya, pochwycona u Starczewskiego w więzieniu. Listy Macocha do Starczewskiego przeniknięte są niemal tkliwem uczuciem i rzecz widoczna, są pełne szczerości; wszędzie Macoch nazywa Starczewskiego "drogim" "Izydorkiem." — Trudno nawet przypuścić wobec takich stosunków o kłamliwości oskarżenia. — Niezależnie od tego świadek Jakób Starczewski zaświadczył przed sądem, że klucze podrobione Macoch zamawiał u niego w celi Starczewskiego i w obecności tego ostatniego. Oskarżony Starczewski prowadził życie w sposób rozpustny, miał kochankę, jeździł za granicę i rzecz zrozumiała, iż wobec braku własnych funduszów, których jest sposobność powiedzieć, według reguły zakonnej mnich-paulin nie może posiadać, korzystał z pieniędzy klasztornych, czerpiąc je ze skarbnicy — "skarbczyka." W aktach sprawy jest nawet do pewnego stopnia przyznanie się Starczewskiego do tego, że popełniał kradzieże pieniędzy klasztornych. Mianowicie w zabranym podczas rewizyi w jego celi pamiętniku, do którego wpisywał różne grzechy, między innemi powiedziano: "wziąłem kilka groszy z zakrystyi." Oczywiście w danym wypadku pod "groszami" trzeba rozumieć grosze nie w literalnem brzmieniu, gdyż niewielką sumę pieniędzy na swoje potrzeby mógł zawsze wziąć od kustosza klasztornego. — Według wyżej wyłożonych danych, sąd uznaje, że oskarżony Starczewski jest winien na zasadzie 2 cz. 226 art. kod. kar., według tych samych podstaw, które zastosowano względem Damazego Macocha.

Co się tyczy oskarżenia Starczewskiego o ukrywanie zabójcy, to zdaniem sądu, Starczewski, jako bardzo bliski człowiek w stosunku do oskarżonego Damazego, był wtajemniczony w sekret zabójstwa. Już po kilku dniach po zabójstwie Macoch ze Starczewskim podróżują razem i zwiedzają Kalisz, Sieradz, Kraków i Warszawę. Gdy Damazy osiadł w Warszawie u Heleny Macochowej i przemieszkał u niej bez

przerwy od 17 września do 1 października, Starczewski prowadził z nim ożywioną korespondencyę, wymieniając listy i wysyłając telegramy. Macoch pisze do Starczewskiego: "napisz mi, czy Jakób zameldował bilet Stanisława (Załoga). Stanisław do Ameryki nie pojedzie, postara się o miejsce tu w kraju. Mego adresu nikomu nie mów; powiedz, że nie wiesz, gdzie się znajduję." Ze swej strony Starczewski odpowiada: "co się tyczy twojego adresu, to nikomu nie mówię, gdzie się znajdujesz, ty przecież nie masz stałego." W innym liście Starczewski tak pisze do Macocha: "jeśli ktokolwiek pyta się o ciebie, to otrzymuje taką odpowiedź, z której nic nie zrozumie." Z listów tych widać, że Starczewski ukrywał miejsce Macocha nawet przed wspólnym ich przyjacielem ks. Olesińskim, z którym zamierzali we trzech przejść do duchowieństwa świeckiego.

Na dziś wyznaczono termin odczytania motywów wyroku piotrkowskiego sądu okręgowego w sprawie zabójstwa w klasztorze jasnogórskim Wacława Macocha i kradzieży pieniędzy z kasy zgromadzenia oo. paulinów.

O g. 11 i pół rano przed gmach więzienny zajechały dwa zamknięte powozy, na których widok zgromadziło się sporo publiczności.

W celu utrzymania porządku pojawił się oddział, złożony z 20 strażników pod dowództwem policmajstra , miejscowego. który zajął ulicę.

Wkrótce wyprowadzono więźniów. Damazego Macocha i Izydora Starczewskiego umieszczono w jednym powozie, zaś Helenę Macochową — w drugim. Powozy w otoczeniu silnego konwoju straży więziennej podążyły do gmachu sądowego.

W sali pierwszego wydziału karnego na pierwszem piętrze zgromadziło się tymczasem kilkadziesiąt osób.

Po godz. 12 wprowadzono więźniów i wyznaczono im miejsca na ławie oskarżonych.

Helena Macochowa ubrana czarno, zawoalowana, w czapce podróżnej, takiej samej, w jakiej ją po raz pierwszy aresztowano, wygląda korzystniej, niż podczas procesu; Damazy Macoch starannie wygolony, w dalszym ciągu stara się utrzymać wygląd księdza; tylko Izydor Starczewski ma pozór małomiasteczkowego mieszkańca.

Z obrońców obecny jest w sali jeden, mianowicie adw. przys. Dobrosław Kleyna.

Przy stole sędziowskim zasiedli towarzysz prokuratora p. Katranowskij i sekretarz sądu p. Ostrowski.

Wchodzi członek sądu p. Pawłowicz i odczytuje motywy wyroku, zredagowane przez członka sądu Gubskiego.

Wyrok w t. zw. formie ostatecznej zawarty został na siedmiu arkuszach pisma maszynowego, a czytanie go trwało 50 minut.

Treść motywów jest ciekawa.

Po ogłoszeniu wyroku i zawiadomieniu obecnych, że od wyroku służy im prawo założenia apelacyi, wszyscy więźniowie zażądali kopii wyroku.

Ogłoszono im, że ostateczny termin złożenia apelacyi upływa w d. 5 kwietnia.

Prokurator zakłada protest przeciwko wyrokowi co do Macocha, Izydora Starczewskiego, Bazylego Olesińskiego, Heleny Macochowej i uniewinnionego Pertkiewicza.

Wszyscy skazani pozostający na wolności, a więc Bazyli Olesiński, Błasikiewicz, Pianko i pieczętarz Cyganowski nie byli obecni podczas czytania motywów wyroku.

Nie byli też obecni ich obrońcy.

Na ogłoszenie wyroku przybyło kilku korespondentów pism.

Jak nam komunikowano, Damazy Macoch początkowo miał się zrzec apelacyi i wniósł podanie do sądu o przedstawienie go do łaski Monarszej, ale ponieważ sąd nie orzekł tego w wyroku, więc podanie Macocha pozostawiono bez skutku.

Bazyli Olesiński chciał, aby zgromadzenie oo. paulinów złożyło za niego kaucyę w kwocie rb. 3,000, zamiast poręczenia, które dały za nim osoby prywatne; paulini jednak odmówili.

Jak wiadomo, Bazyli jest zasuspendowany, ale ze zgromadzenia paulinów bez pozwolenia władz rządowych lub wyroku prawomocnego nie może być usunięty, mieszka więc w klasztorze jasnogórskim i utrzymywany jest na koszt zgromadzenia, jakkolwiek paulini unikają z nim łączności.

Bazyli szuka różnych dróg do uwolnienia się od zawyrokowanej nań kary.

Helena Macochowa wzięła sobie drugiego obrońcę, mianowicie adw. Wołkowicza z Częstochowy.

O wolność Macochowej.

Na wczorajszem posiedzeniu pierwszy departament karny warszawskiej izby sądowej pod przewodnictwem prezesa Mejera rozpoznawał skargę na decyzyę piotrkowskiego sądu okręgowego, nakazującą bezwarunkowe osadzenie Heleny z Krzyżanowskich Macochowej w więzieniu do czasu uprawomocnienia się wyroku.

Skarga, zawierająca w konkluzyi prośbę o tymczasowe uwolnienie Macochowej z więzienia za kaucyą w kwocie 10,000 rb. lub poręczeniem w kwocie 25,000 rb., zawiera dwa motywy:

Pierwszy z nich to powołanie się na fakt, że sąd okręgowy piotrkowski pozostawił na wolności za poręką Bazylego Olesińskiego, aczkolwiek skazany jest na roty aresztanckie; tem więcej szans na uzyskanie tymczasowej wolności winna mieć Macochowa, skazana na karę lżejszą niż Olesiński.

Drugim motywem jest ten, że Helena Macochowa jest przez 17 miesięcy zamknięta w więzieniu i to długo trwałe pozbawienie wolności szkodliwie wpłynęło na jej zdrowie.

Izba sądowa odrzuciła skargę.

Wobec tego Helena Macochowa nie będzie uwolniona z więzienia.

Przytoczone dane poprzednio prowadzą do wniosku, że Starczewski miał wielkie powody do ukrywania miejsca pobytu Macocha. Telegramy do Macocha w Warszawie Starczewski wysyła pod cudzym adresem, jakkolwiek niewątpliwie wiedział, jaki jest adres Heleny Macochowej, u której mieszkał Damazy, i podpisuje telegramy swem imieniem światowem, przyczem w adresie nie wspomina nawet nazwiska Macocha. Pierwszy telegram z dn. 1 października jest taki: "Warszawa, Chłodna 68, Jeżewskiemu, dla kumcia. Wszystko dobrze, przyjechać dziś nie mogę. Stanisław." Drugi takiej treści: "Warszawa Chłodna 68., Jeżewskiemu. Kumcio niech wyjeżdża, grozi niebezpieczeństwo 31. Stach." Ten ostatni telegram, który, prawda, nie zastał już Macocha w Warszawie, Starczewski wysyła nawet nie z Częstochowy, lecz przesyła go w liście 3 października do ojca w Sieradzu, który śle go do Warszawy. Cyfra 31 oznacza numer dorożkarza Pianki, który wydał już wówczas Damazego Macocha.

Trzeba zwrócić uwagę na to jakiemi ostrożnościami Starczewski obstawiał działalność swoją pod tym względem:

od 30 września do 5 października, gdy policya wpadłszy na ślad zbrodni i zbrodniarza, dokonywa poszukiwań i badań w klasztorze Jasnogórskim, Starczewski 3 października wysyła list z telegramem do Macocha za pośrednictwem swego ojca, a 5 października sam otrzymuje telegram z Proszowic od Damazego Macocha o takiem brzmieniu: "jutro o dziewiątej rano bądź na stacyi. Dyzio." A że Macocha nazywano niekiedy "Dyziem," mówi o tem w jednem ze swych objaśnień sam Starczewski.

Tegoż dnia, według zeznania policmajstra częstochowskiego, który, wiedząc o otrzymanym przez Starczewskiego telegramie, zapytywał go, czy otrzymał telegram od Damazego Macocha, Starczewski odpowiedział przecząco, dodając przytem, że nie wie, gdzie Macoch się obraca.

Zestawiwszy przesyłkę przez Starczewskiego telegramu 3—5 z jego poprzedzającą fakt ten korespondencyę z Damazym i wziąwszy pod uwagę zatajenie przez funkcyonaryuszem policyi otrzymanie telegramu z podpisem "Dyzio, " wówczas, gdy ten ostatni był już ujawniony przez Piankę, trzeba zrobić wywód, że w czynach Starczewskiego zawierają się wszystkie znamiona zbrodni ukrywania, gdyż będąc uświadomiony co do osobistości zbrodniarza i wiedząc o wydarzeniu i znaczeniu dokonanego przez tego zbrodniarza przestępstwa, ukrywał miejsce jego pobytu, kierując całą swą działalność do przeszkodzenia ujęcia zbrodniarza. Przed sądem Starczewski oświadczył, że po otrzymaniu telegramu z podpisem "Dyzio," myślał, że telegram pochodzi od jego brata. Jednakże czyż takiemu oświadczeniu oskarżonego można zawierzyć, wobec tego, że telegram był wysłany z Proszowic, a brat Starczewskiego mieszkał w Kole?

Z przytoczonych danych sąd przekonywa się o winie Starczewskiego co do ukrywania zabójcy, lecz ze względu, iż uznając Damazego Macocha winnym zabójstwa, przewidzianego w 1 cz. 1455 art. kod. kar., sąd uważa: ponieważ Macoch we wszystkich swych zeznaniach oświadczał, że zabójstwa dokonał w uniesieniu, ponieważ nawet w jednym z listów do Starczewskiego, przejętych w więzieniu Macoch mówi, że bardzo cierpi, iż nie zdołał "opanować gniewu" a dalej ciągnie "nieszczęsny kieliszek i waryat kuzyn" (Wacław Macoch), sąd więc jest zdania, iż bardziej rzeczą prawidłową będzie uznać, że Starczewski jest winien według art. 14 i cz. 2 art. 1455 kod. kar., t. j. ukrywania zabójcy, który dokonał zabójstw w uniesieniu, gdyż Starczewski w rzeczy samej mógł myśleć, że zabójstwa dopuścił się Macoch w stanie ostatecznego rozdrażnienia.

Bazyli Olesiński.

Oskarżony ks. Bazyli Olesiński oddany został pod sąd pod zarzutami:

1) kradzieży pieniędzy klasztornych ze skarbczyka i

2) kradzieży za wspólnem porozumieniem z Damazym Macochem listów zastawnych za ogólną kwotę 5,000 rb., należących do ks. Bonawentury Gawełczyka.

Co dotyczy pierwszej kradzieży, to przeciwko Olesińskiemu niema innych poszlak, prócz oskarżenia go przez Damazego Macocha, a ponieważ samo takie oskarżenie nie może, zdaniem sądu, służyć za podstawę do powzięcia skazującego Olesińskiego za ową kradzież wyroku, przeto sąd, uznając, że wina Olesińskiego co do kradzie-

ży ze skarbczyka jest niedowiedziona, uważa go za sądownie uniewinnionego.

Inaczej przedstawia się rzecz co do oskarżenia Olesińskiego o kradzież w celi Gawełczyka. Tutaj oskarżenie przez Macocha znalazło potwierdzenie w dokumencie na piśmie, a mianowicie w notatce, którą znaleziono w celi Gawełczyka.

W owej notatce ks. Bonawentury Gawełczyka jest mowa o listach zastawnych nie za rb. 15,000 lecz za rb. 20,000 (zeznanie Rejmana). Notatka znaleziona była w papierach Gawełczyka a złożona została przez Olesińskiego i Macocha Rejmanowi już po oddaniu przez nich temuż Rejmanowi listów zastawnych za 15,000 rubli, wobec czego samo wynika pytanie, jakim sposobem Olesiński, ukradłszy za 5,000 rb. listów, mógł zanieść ową notatkę przeorowi, stwarzając tą drogą straszną przeciwko sobie poszlakę? Lecz wątpliwość, wywołana tem pytaniem, rozwiewa się, gdy wziąć pod uwagę, że Olesiński bardzo dobrze wiedział, jakie są w klasztorze porządki (ściślej: nieporządki) i oczywiście miał przeświadczenie — co do tego nie omylił się — że w klasztorze nie będą szukali przepadłych listów zastawnych... Znał on porządki klasztorne, przy których rzecz była możliwa spalić księgi klasztorne dochodowo - rozchodowe, gdyż nie można było w nich się zorjentować (zeznania Piusa Przezdzieckiego), porządki, przy których zginęła bez śladu sama notatka Gawełczyka o owych listach zastawnych za 20,000 rb.

W rzeczywistości sprawa o kradzież u Gawełczyka wypłynęła tylko dzięki szczeremu zeznaniu Macocha, który między innemi z przyznaniem się do zabójstwa, zaczął przyznawać się i do innych zbrodni. Według słów Macocha. Olesiński wziął sobie z listów zastawnych Gawełczyka za rb.3000, a jemu dał za rb. 2000. Z tego powodu ks. Olesiński oświadczył przed sądem, że 2000 rb. mógł dać Macochowi dla zmiany, lecz czy zwrócił mu je Macoch, tego oskarżony nie pamięta, chociaż nie ufać Macochowi jako księdzu nie mógł. To ostatnie tłomaczenie się Olesińskiego do pewnego stopnia potwierdza oskarżenie go ze strony Macocha, gdyż wierzeć w objaśnienie Olesińskiego co do tego, że listy za 2000 rb. dał był w celu ich zmiany, a potem zapomniał, iż je dał, niepodobna.

Przeto sąd, zważywszy wszystkie okoliczności rzeczonej kradzieży, znajduje, że wina Olesińskiego jest dowiedziona i uznaje, iż jest winien.

Helena Macochowa.

Oskarżona Helena Macochowa oddana została pod sąd o trzy przestępstwa:

1) ukrywanie zabójcy swego męża;

2) korzystanie świadomie z kradzionych w klasztorze pieniędzy.

3) korzystanie i przedstawienie przy ślubie swoim z Wacławem Macochem fałszywych dowodów o ślubie z Kacprem Macochem o skonie tego ostatniego.

Przystępując do rozważenia pytania co do winy Heleny Macochowej w pierwszem z wymienionych przestępstw sąd wychodzi z tego stanowiska, iż dla uznania winy ukrywania zabójcy męża jej Wacława — oskarżonego Damazego Macocha powinno być ustalone, że Helena Macochowa przedsiębrała jakąkolwiek działalność (aktywną), skierowaną do urzeczywistnienia oznaczonego występnego ukrywania. Śledztwo sądowe jednak nie dało materyału, któryby mówił, że taka działalność była

przez nią przedsiębrana. Ta okoliczność, że po zabójstwie Wacława, Damazy razem ze swoim służącym Załogiem przyjechał do jej mieszkania w Warszawie, przyczem Załóg wkrótce wyjechał, a Damazy pozostał i od swego przyjazdu do Warszawy mieszkał u niej, zdaniem sądu, jest niedostateczną do uznania winy ukrywania, gdyż trzeba się liczyć z tem, że fundusze na życie i na komorne otrzymywała Helena od tegoż podsądnego Damazego Macocha i tym sposobem ten ostatni jakby miał pewne prawa do jej mieszkania. Ale gdyby nawet nie podzielać tego punktu widzenia, gdyby uważać Helenę Macochową w swem mieszkaniu za samodzielną gospodynię, cóż ona zrobiła, żeby ukryć zbrodniarza? Jaką działalność przedsięwzięła w tym celu? Na te pytania śledztwo sądowe nie dało odpowiedzi, gdyż zapewne takiej działalności ze strony Heleny Macochowej nie było. Nie zameldowano w policyi paszportu Damazego Macocha, ale przecież w sprawie niema wskazówek, aby i podczas poprzednich przyjazdów do Heleny Macochowej paszport jego zawsze meldowano.

Ta okoliczność, że oskarżona Macochowa mówiła do krewnych i znajomych, że jakoby Wacław wyjechał do Ameryki (zeznania Jeżewskich), także nie mogą być komentowane, jako czyn skierowany do ukrywania zbrodniarza, gdyż krewni i znajomi to nie władze, poszukujące zabójcę Wacława Macocha.

Zdaniem sądu, w postępowaniu Heleny Macochowej, jeżeli uznać za dowiedzione, iż wiedziała o zabójstwie swego męża przez Damazego Macocha, to prędzej są oznaki niedoniesienia o zbrodni i zbrodniarzu, lecz bynajmniej ukrywanie zabójcy. Ale nawet i do uznania winy oskarżonej Macochowej co do niedoniesienia, sąd nie znajduje podstaw ze względów następujących: sama Macochowa, składając wyjaśnienia, powiedziała, że Damazy Macoch początkowo, zakomunikowawszy jej o zabójstwie Wacława, zaczął następnie zapewniać, że Wacław wyjechał do Ameryki. To samo mówi i Damazy Macoch. To samo opowiedział przed sądem i świadek brat Heleny, Wacław Krzyżanowski.

Ale najlepszym dowodem tego, że Damazy rzeczywiście zapewniał Helenę Macochową, iż mąż jej wyjechał do Ameryki, są listy Macocha znalezione w hotelu w Trzebini, gdzie na krótko przed aresztowaniem Macoch się zatrzymał. W jednym z tych listów pod d. 3 sierpnia r. 1910 pisze Damazy do Heleny: "donosisz mi, że smuci cię i bardzo niepokoi brak wiadomości, gdzie znajduje się Wacek. Piszę ci prawdę, że on buja zagranicą i napewno wyjechał do Ameryki; sądzi, że tam zbogaci się," a dalej: "gdy Wackowi bieda dokuczy, napewno powróci i poprosi cię o przebaczenie, za nietaktowne postępowanie. Mnie również zasmuca, że jest on taki nietaktowny i szalony."

W drugim liście z d. 5 sierpnia r. 1910 Damazy pisze do Heleny: "Muszę ci napisać prawdę, że Wacek nie jest zadowolony z tego, iż się z tobą ożenił, że on nie uznaje religii i dlatego ślub, kościelny ma za nic"..., a dalej: "mówił, że ma mnóstwo pięknych kobiet i że z tobą żyć nie będzie, a wyjedzie zagranicę, mówił, że w Ameryce weźmie ślub cywilny"... "spotwarzał ciebie przedemną. Oto widzisz, jak mówił, tak i zrobił i napewno wyjechał do Ameryki." Z przytoczonych wyjątków z listów widać, że Damazy zapewniał Helenę o wyjeździe Wacława do Ameryki, a zapewniał tak, iż łatwo

było w to uwierzyć, a wobec tego odpada kwestya nie tylko co do winy Heleny ukrywania ale nawet i co do "niedoniesienia," gdyż ta okoliczność, czy Helena Macochowa była przekonana o zabójstwie swego męża jest sporna. Wobec powyższego sąd uznaje, że Helena Macochowa jest niewinna co do zarzutu ukrywania zabójcy.

Przechodząc następnie do rozpatrzenia pytania co do winy podsądnej Macochowej korzystania świadomego z kradzionych przez Damazego Macocha pieniędzy klasztornych, sąd znajduje, że śledztwo sądowe nie dało dostatecznych danych do uznania tej winy. Oskarżona Helena Macochowa, nie zaprzeczając faktu korzystania z pieniędzy, w które hojnie zaopatrywał ją Damazy Macoch, mówi, że o źródle, z którego były czerpane, nie wiedziała.

I w tłomaczeniu tem niema nic nieprawdopodobnego. Helena Macochowa oczywiście wiedziała, że niejeden Damazy prowadził szeroki sposób życia i wydawał wielkie sumy. Tak samo żyli i niektórzy inni zakonnicy klasztoru jasnogórskiego, a Damazy nie był wśród nich wyjątkiem.

Zresztą co do pochodzenia funduszów, to sprawa ta szczególniej Heleny obchodzić nie mogła, a jeśli obchodziła, to łatwo mogła znaleść co do tego odpowiedź w olbrzymich dochodach klasztornych, któremi dowoli mogli prawie bez kontroli rozporządzać zakonnicy, o czem Helena, blisko znająca życie klasztorne, mogła oczywiście wiedzieć. Trudno nawet przypuszczać, aby Damazy Macoch opowiadał jej o pochodzeniu funduszów, dostarczanych jej przez niego na utrzymanie. Wobec tego sąd uznaje i ten zarzut za niedowiedziony i uważa Macochową za sądownie uniewinnioną.

Co dotyczy wreszcie ostatniego z inkryminowanych Helenie Macochowej oskarżeń, mianowicie o przedstawienie fałszywych dokumentów i korzystanie z nich przy ślubie z Wacławem Macochem, sąd znajduje, że to przestępstwo zostało dowiedzione.

Według zeznania wikaryusza parafii św. Aleksandra w Warszawie ks. Andrzeja Jóźwika, jeszcze na kilka tygodni przed ślubem Helena Macochowa razem z Wacławem i Damazym Macochami przybyła do kancelaryi parafialnej i złożyła między innemi dokumentami akt o śmierci męża Kacpra Macocha, lecz ponieważ według tych dokumentów, Helena była krewną swego narzeczonego Wacława, stryjecznego brata rzekomo zmarłego Kacpra, więc ks. Jóźwik nie zgodził się na ogłoszenie zapowiedzi, wobec czego trzeba się było postarać u arcybiskupa warszawskiego o indult. Wszystko to bez wątpienia Helena, jako kobieta o dostatecznem rozwinięciu umysłowem, wiedziała i rozumiała. I kiedy po ślubie podpisała akt o swym z Wacławem związku małżeńskim, w którym nazwała się wdową po Kacprze Macochu, Helena doskonale wiedziała na zasadzie jakich dokumentów została poślubiona. W dodatku, oprócz tego Helena, będąc niezamężną, wszystkim mówiła, że jest wdową, że mąż jej, po którym otrzymała spadek, był chory i wzięła z nim ślub, kiedy leżał na łożu (zeznanie Ostrowskiej).

Wyżej przytoczone nie pozostawia wątpliwości co do winy Macochowej przestępstwie przewidzianym w 1 cz. 204 art. ko. kar., dlatego też sąd co do tego przestępstwa uznaje ją za winną.

Błasikiewicz i Pianko.

Rozważywszy oskarżenie Błaskiewicza o to, że ukrywał zabójcę i osoby, które ukrywały zbrodnię, sąd znajduje, że śledztwo sądowe nie dało literalnie żadnych podstaw do tego, aby uważać, iż Błasikiewicz wiedział, co znajdowało się w pace, kiedy pomagał Załogowi wynosić ją do dorożki, gdyż, jak twierdzi podsądny Macoch, do tajemnicy zabójstwa dopuścił tylko swego służącego Załoga, a z chwilą, gdy Błasikiewicz nie wiedział o zawartości paki, nie może być mowy o ukrywaniu; wobec czego sąd uznaje, że nie jest winien ukrywania. Lecz ponieważ w następstwie, gdy Błasikiewicz zaczął podejrzewać dokonanie zbrodni, nie doniósł o tem władzom, a nawet otrzymał od Macocha rb. 13 za milczenie, więc sąd upatruje w tym czynie znamiona niedoniesienia o dokonanej zbrodni zabójstwa i jego winowajcach wobec czego uznaje, że Błasikiewicz jest winien według art. 126 kod. kar.

Drugi z oskarżonych ukrywaczy dorożkarz Pianko oddany został pod sąd o to, że nie biorąc udziału w zabójstwie Wacława Macocha, lecz wiedząc o okolicznościach tego, brał udział w ukryciu zarówno zbrodni, jak i osób które jej dokonały, przyczem udział jego wyraził się przez to, że na drugi dzień po zabójstwie Pianko wywiózł w swoim powozie z klasztoru jasnogórskiego razem z Damazym Macochem i Załogiem zapakowany do sofy trup Wacława Macocha do wsi Zawady, gdzie zrzucił sofę do napełnionego wodą rowu.

Nie mówiąc już o tem, że Pianko nie mógł wiedzieć okoliczności zabójstwa Wacława Macocha, gdyż ze sprawy nie widać, aby Damazy wchodził z Pianką co do tego w otwarte rozmowy, śledztwo sądowe nie dało literalnie żadnych podstaw do mniemania, iż Pianko wiedział, co wiezie w pace. Ale kiedy dziwna działalność Damazego Macocha i Załoga, którzy zrzucili pakę do rowu, zrodziły w nim podejrzenie, ks. Damazy Macoch bierze od niego przysięgę na milczenie o rzeczach widzianych. Takiegoż milczenia wymaga odeń i służący Damazego, Załóg, a nawet grozi mu w razie niewykonania tego wymagania. Tem się tłómaczy postępowanie Pianki podczas badania go, jego zapieranie się, a nawet usiłowanie wprowadzenia w błąd agenta policyi Kotowskiego, któremu początkowo powiedział, że odwiózł pakę do stacyi Kłomnic. Lecz w takiem wymuszonem przez przysięgę i pogróżki postępowaniu Pianki sąd nie widzi objawu z jego strony złej woli co do ukrycia zbrodniarza, gdyż żadnej działalności w tym kierunku Pianko nie przedsiębrał, dlatego co do oskarżenia go o ukrywanie sąd uznaje, że nie jest wienien, lecz ponieważ Pianko nie spełnił swego obowiązku obywatelskiego i nie doniósł władzom o tem, co mu było wiadome o zbrodni, sąd uważa iż jest winien niedoniesienia, t. j. przestępstwa przewidzianego w art. 126 kod. kar.

Pertkiewicz.

Sąd zważywszy, że według słów oskarżonego Macocha, nie powiedział przy zamawianiu klucza Pertkiewiczowi, iż klucz jest mu potrzebny do skarbczyka; że sam oskarżony Pertkiewicz, nie zaprzeczając faktowi zamówienia u niego przez ks. Damazego klucza, według odcisku, twierdzi, iż nawet nie słyszał o istnieniu skarbczyka; że klucza tego nie robił sam, ale polecił go zrobić niejakiemu Kasprzykowi; że jakkolwiek na śledztwie pierwiastkowem Pertkiewicz objaśniał, iż przy zamawianiu kluczy ks. Starczewski mówił mu, że

klucze są potrzebne do pokoju, w którym chowane są pieniądze i rachunki, aby mieć dostęp do tego pokoju w celu sprawdzenia rachunków, lecz oskarżonemu ani do głowy przychodziło, aby klucze te były potrzebne księżom-zakonnikom do okradzenia klasztoru, gdyż wierzył księżom "jak Bogu;" że za klucz otrzymał od Starczewskiego rb. 5, a później Starczewski przyniósł mu do mieszkania rb. 15, lecz on mniema, iż Starczewski pożyczył mu jako człowiekowi biednemu owe pieniądze, gdyż prosił o pożyczkę — sąd znajduje, że tłómaczenie się Pertkiewicza i zeznanie Macocha budzą wątpliwość co do tego, czy istotnie wiedział Pertkiewicz o przeznaczeniu dorobionych przez niego kluczy, a wychodząc z tego stanowiska, że każda wątpliwość winną być tłómaczona na rzecz oskarżonego, uznaje niewinność Pertkiewicza.

Cyganowski.

Jak się okazuje z tłómaczenia, złożonego na śledztwie pierwiastkowem Cyganowski nie zaprzecza tego, że pieczęć robiona była przez niego i objaśnia, że w żaden sposób nie mógł przypuszczać, aby pieczęć mógł zamawiać nie ten ksiądz, który jest zarazem urzędnikiem stanu cywilnego parafii Parzymiechy. Fakt zrobienia pieczęci w pracowni Cyganowskiego stwierdzony został w sądzie również przez zeznanie świadka Welingera, wobec czego sąd uznaje winę Cyganowskiego.

*

* *

Rezolucya sądu znana jest naszym czytelnikom.

GŁOSY PRASY W SPAWIE MACOCHA.

(Prawda, 2 Mar.. 1912.)

Sprawa Macocha... i innych.

Dnia 27 lutego zasiedli w Piotrkowie na ławie oskarżonych b. ojcowie Paulini: Damazy Macoch Izydor Starczewski i Bazyli Olesiński.

Lecz nie zasiedli sami.

Poza ich plecami stanął zwarty tłum tych, w których to pośrednio tylko uderzy, których jednak pewne szczegóły sprawy a priori przejmują strachem tak dalece, że starali się już wszelkie sprężyny poruszyć, by zarządzić tajność rozpraw przy drzwiach szczelnie zamkniętych.

Ta kompromitująca krzątanina, te rozpaczliwe zabiegi budzą zdziwienie nawet w Kuryerze Warszawskim, który w przed dzień procesu wyjawił, że "znalazły się w Galicyi (!) pewne katolickie koła społeczne, które pragnęły oddziałać na prasę, aby sprawozdanie z procesu zredukowano w dziennikach do mimum, lub ich zgoła nie drukowano i że znalazł się jeden czy dwa dzienniki, które podzieliły narzucone im argumenty."

Mimo całej swej pobożności Kuryer Warszawski argumentów owych nie "podzielił," woląc narazić się na gniew dygnitarzy kościelnych, niż na dotkliwe upośledzenie wobec szczęśliwych swoich... konkurentów, co nie dbające o klątwy, śpiszą zapełnić swoje szpalty sążnistą ze sprawy relacyą.

Ustaliwszy tedy z godnością, że "prasa ma nietylko prawo, lecz prosty obowiązek dokładnego zdawania sprawy z procesu," i chcąc udobruchać skwaszonych mentorów, śpieszy zapewnić "że ci, którzy oczekują tu "sądu nad duchowieństwem katolickim" omylą srodze swe złośliwe nadzieje."

Już z dotychczasowych danych jasno wynika, że sąd piotrkowski będzie miał przed sobą jedynie i wyłącznie Macocha i kilku towarzyszów, a sąd opinii — pospolitych zbrodniarzy, na tle ich przypadkowej działalności zupełnie odosobnionych."

Atoli z "dotychczasowych danych," wynika dość jasno wniosek wręcz przeciwny. Macochowa zbrodnia — to nie dzieło "po-

spolitych zbrodniarzy." lecz katastrofa, pęknięcie podstaw całego gmachu, który w murach swoich krył długo czynniki strasznego rozprzężenia.

Żadne, najbardziej kunsztowne usiłowania nie wyrwą sprawy Macocha z kadrów całego środowiska; nieszczęściem i zgrozą serc wierzących, którym szczerze współczuć należy, jest właśnie to, że postać zbrodniczego mnicha i jego towarzyszy rysuje się z przeraźliwą jaskrawością na tle umiłowanej Jasnej Góry, która oto z najgórniejszej u nas wyżyny świętości zaszła niejako na podnóżek mordercy i złodzieja.

To też klerykalny Dziennik Powszechny bardziej od świeckiego swego kolegi szczery, a może mniej oględny, woła ustami p. Miecznika.

Macochowa zbrodnia to nie jedna z wielu—to wyjątkowa zbrodnia. Wyjątkowy też nad nią sąd będzie.

Rzucając w kąt względy i zastrzeżenia, z których inni jeszcze nie rezygnują, organ p. Dworzaczka zapewnia:

Wiemy wiele, ale chcemy wiedzieć wszystko, wszystko.

I będziemy wiedzieć, nie ukryją i nie ukryje się przed nami nic.

My nie chcemy nic ukrywać!

Oto chwalebne zaiste intencye! Tym chwalebniejsze, że idą w poprzek wytrwałym zabiegom kleru, żeby drzwi sądu zatrzasnąć, zaś adwokatom założyć knebel na usta, wskutek czego wielu z nich zrzekło się udziału w procesie piotrkowskim. Nie zrzekł się go nieulękniony p. Korwin-Piotrowski, autor dedykowanego Papieżowi apologetycznego dzieła O Jezuitach. Pan Korwin-Piotrowski zgłosił w pierwszym dniu wniosek sądzenia sprawy przy drzwiach zamkniętych, co nie zostało jednak uwzględnione.

Tymczasem nieoceniony p. Miecznik sadza już na lawie oskażonych cały klasztor Jasnogórski, wszystkich oo. Paulinów; ba! zawczasu ich nawet i w rume! skazuje:

ADWOKATURA W SPRAWIE MACOCHA.

Sąd rosyjski w prowincyi polskiej, dokonywany w języku rosyjskim, jeżeli jest zjawiskiem normalnem w historycznym przebiegu rzeczy to, w każdem razie, okropnie krępuje adwokaturę polską.

W sprawie Macocha sąd ro syjski słucha zeznań świadków, pozwalając im mówić po polsku. Adwokaturę jednak uważa się za organ sądu i adwokaci, Polacy z pochodzenia, z ducha i z języka, obowiązani są zadawać pytania świadkom i podsądnym tylko po rosyjsku.

Dlatego niektórzy z nich systematycznie milczą. Inni z natężeniem szukają słów odpowiednich i wreszcie zdanie się nie klei, badani nie rozumieją adwokatów, tłómacz tłómaczy, nie pojmując sensu pytania i przewodniczący napróżno chce się dowiedzieć, co właściwie zamierzał powiedzieć obrońca.

Adwokatura w sprawie Macocha znalazła się w kłopotliwem położeniu nie tyle dlatego, że zmuszona jest mieć do czynienia z sądem bez udziału przysięgłych ile dla tego, że pozbawiona jest prawa mówienia po polsku.

Wyobrażam sobie, jakby się zmięszały nasze petersburskie znakomitości, gdyby wszechpotężna historya zmusiła ich do wygłaszania polskich mów, lub też, gdyby im wypadło bronić w języku polskim, jakichś świętokradzców rosyjskich w Galicyi.

Możliwe jest, że adwokaci, występujący w sprawie Macocha, są to utalentowani prawnicy i mówcy; ale nie mogą pokazać tego, co umieją. W takiem położeniu nawet geniusz stałby się podobny do owej księżniczki w bajce, zamienionej czarami w ropuchę. Księżniczka przestała śpiewać.

Jedyny adwokat, który się nie da zbić z tropu, czuje się jakby swobodny i od czasu do czasu, hałasuje, jak rakieta, to — p. Korwin-Piotrowski.

Ale i on, być może, dlatego tak hałasuje, że przed wypowiedzeniem słowa usiluje zerwać przeszkadzające mu pęta. Naturalnie gra tu rolę i temperament jego i jego technika, polegająca na nagłych napadach i na mięszaniu świadków. Ale miesza on i swoich własnych świadków. Potrafi im powiedzieć: "Jeżeli świadek ma tak krótką pamięć, to nie mam co się więcej pytać." Lub: "Czy świadek jest dziecko?"

Mnie się zdaje, że ten widocznie umiejętny i utalentowany adwokat, występując w sprawie Macocha głównie, jako obrońca czci Matki Boskiej Częstochowskiej, popełnia gruby błąd. Czy Jasna Góra, jako świątynia, potrzebuje takiej obrony? Jasna Góra jest wieczna, a źli i rozpustni mnichowie nie dłużej żyją, niż nietoperze. Niebiosa dawnoby runęły na ziemię, gdyby im szkodziły zbrodnie ludzkie.

Z drugiej strony nie mogę zrozumieć rozdrażnienia społeczeństwa polskiego (właściwie pewnych kół jego) przeciwko adwokatom, którzy dobrowolnie podjęli się obrony przestępców w tej sprawie. Myślę, że nawet na Sądzie ostatecznym znajdzie się anioł, który przemówi słowo za grzesznikami. Nawet szatana dotknie rąbkiem szata miłosierdzia Bożego.

Tem bardziej powinniśmy czuć litość i dla wstrętnego Macocha i dla jego Heleny. Mam uznanie dla przedstawiciela Jasnej Góry, księdza Przeździeckiego, który księży, siedzących na ławie oskarżonych splugawionych krwią i świętokradztwem, nazwał swymi "nieszczęśliwymi braćmi."

GŁOSY PRASY.

Po Macochowym procesie.

(Dziennik Powszechny, dnia 8 marca).

Skończył się już ten straszny, ohydny, bezprzykładny w dzie-

jach społeczeństwa i narodu polskiego proces. Sąd koronny, a więc mniej zmiennej ludziom wrażliwości podległy, osądził oskarżonych i winnych.

Niewinnym zgoła znalazł on sąd tylko jednego—owego ślusarza, co z polecenie obu głównych przestępców, Macocha i Starczewskiego klucze do skarbczyka dorabiał.

Kary odmierzone wedle skali dowiedzionego przestępstwa są poniżej wymienione.

Społeczeństwu atoli nie tyle o te kary chodziło, ile o wyświetlenie wszystkiego, co ze sprawą było związane. Społeczeństwu niemal wszystko jedno: czy Macochowi sąd koronny zaaplikuje 12 czy 20 lat katorgi, a Starczewskiemu 4 czy 6 łat rot aresztanckich. Ludzie ci już, jako o określonem stanowisku obywatele kraju, dla społeczeństwa dawno istnieć przestali. Umarli... by jednak w pamięci tego, co obecnie byt swój realnie zaznacza pokolenia i tych, co po niem przyjdą pokoleń, żyć.

I w tem tragizm okrutny leży.

I tego, że był Macoch, ksiądz i zakonnik, co brata swego zabił w murach cudami słynącego od wieków klasztoru nie zapomną praprawnuki...

Społeczeństwu chodziło o ujawnienie, ile było zbrodni, ile było występku, ile świętokradztwa. Społeczeństwo z najwyższym niepokojem czekało, żali wrzód nie jest większy, aniżeli przypuszczć było w stanie. Społeczeństwo czekało, czy istotnie nie sprawdzą się przypuszczenia tych, co, ile można największej, ohydy w czynach spełnionych się doszukiwali.

Były to przypuszczenia wrogów Kościoła i wiary naszej.

A przed końcem procesu trudno przypuszczeniom ich było kłam zadać. Społeczeństwo było nieufne i podrażnione.

I oto okazało się ze śledztwa i z rozpraw sądowych: że przestępcami byli tylko ci, na których od początku ręka sprawiedliwości spoczęła.

Potwornej legendzie, legendom raczej, nastąpił koniec.

Sąd się odbył przy drzwiach otwartych. Społeczeństwo nie może powiedzieć, jako przed nim coś ukryć się postarano.

Ono teraz wie!

Wierni synowie Kościoła i zapalczywi jego wrogowie jednako i jedno wiedzą o Macochowej zbrodni oraz praktykowanych przez dwóch towarzyszy jego kradzieżach klasztornych pieniędzy. Zresztą winę przypisywaną Olesińskiemu sąd wyższy może jeszcze skreślić, gdyż Olesiński apelować będzie.

Okazało się na sądzie, co najważniejsza dla społeczeństwa, że prócz tych trzech, reszta zakonników jasnogórskich była czysta. (Nie byli sądzeni, nic można więc nic orzekać. Przyp. Red).

A była czysta naprawdę, gdyż najmniejszej nie ulega wątpliwości, iż długie a tyle drobiazgowe śledztwo wykryłoby wszystko, co jeno występkiem trącićby mogło..

Nie wykryło zaś nic więcej, prócz osobniczej Macochowej

zbrodni i występnych praktyk Starczewskiego oraz Olesińskiego.

Dowiedzieliśmy się też ze słów o. Piusa Przeździeckiego: czemu przypisać to rozluźnienie, jakie istotnie panowało w trybie klasztornego' życia, przez co potworny Macoch i rozpustny Starczewski byli możliwi.

Cóż? Poprostu reguła w całej rozciągłości i surowości stosowaną od dłuższego czasu nie była, bo stosowaną być nie mogła. Naprawdę, to na Jasnej Górze zakonu już nie było... i oddawna nie było. Był administrator dawnego paulińskiego eremu, byli podwładni mu księża, którzy od świeckich księży tem się różnili, że, dzięki szczególnym warunkom natury zewnętrznej, habit paulinów nosić mogli.

Uwaga administratora na zarząd wielkiego kompleksu gmachów klasztornych była zwrócona: w administratorze nic z prawdziwego przeora, a tembardziej generała paulińskiego być nie mogło.

Bo nie moglo... I koniec...

Stan ten trwa do dnia dzisiejszego. I będzie trwał, póki zakon nie odzyska prawa stosowania swej odwiecznej reguły. A to od zgromadzenia istniejącego księży na Jasnej Górze nie zależy.

Były próby podźwignięcia zakonu.

Mówiono o nich na sądzie.

Ks. Rejmanowi chodziło o to, by, korzystając z istniejących praw, luki w szeregach braci, przez śmierć powstałe, zapełnić. Chodziło mu o komplet księży, w paulińskie poprzybieranych habity. Więc kompletował, niewiele przebierając...

Nie bardzo mógł przebierać: odpowiadających warunkom, przez prawo wymaganym, było niewielu. Więc i podoficer się trafił, więc i pisarz gminny wśród tych, co Panience Jasnogórskiej życie poświęcić swe obiecywali... a obiecując i ślubując, kłamali.

I jakże teraz ma być?

Sądy wyelim'nowały występnych Paulinów, reszta—to ludzie czyści i niczem nie poszlakowani.

Niechże i nadal zostaną czystymi, jako są!

Społeczeństwo wie teraz, że są takimi.

Niech niebacznie nie wpuszczają do swego zgromadzenia tych, których szczerości powołania okazywanego nie będą w stanie sprawdzić. Lepiej po stokroć niech nie będzie kompletu, aniżeli, by komplet ladajaki miał istnieć.

Społeczeństwo nie ilości dostatecznej Paulinów na Jasnej Górze żąda, kategorycznie żąda, lecz jakości.

Jasna Góra ma być dla najgodniejszych i dla szczególnie powołanych!

I będzie.

Nie brak bowiem pobożnych i świątobliwych mężów wśród duchowieństwa polskiego.

Macochowa sprawa wprawiła społeczeństwo polskie w wielki niepokój. Toć straszne było to, co mówiono i pisano od czasu odkrycia zbrodni, rok z górą temu.

I wtedy to szczególniejszą

zwrócono uwagę na całe nasze duchowieństwo.

Była chwila zwątpienia — i przeszła.

Społeczeństwo pragnęło wtedy i pragnie teraz by duchowieństwo celowało przedewszystkiem cnotą i pobożnością. Nie tyle mądrych a zwłaszcza nie tyle sprawami społecznemi zajętych, ile pobożnych i świątobliwych ceni księży. I do takich ma przedewszystkiem zaufanie, częstokroć bezgraniczne.

Toć wiadomo, że gdzie świątobliwy i ofiarny ksiądz: tam nie uświadczy, że tak rzec można, ani zaraniarza, ani maryawity. Najlepszy argument dla niedowiarka, wolnomyśliciela lub zgoła ateusza świętości Kościoła—to bogobojny i bezinteresowny ksiądz.

Ludzie świeccy na subtelnościach teologicznych mało się znają, ale bardzo się znają na czcigodnych kapłanach. Ci życiem swym więcej uczą, aniżeli najpiękniej ułożonem kazaniem.

I oto nie brak u nas takich właśnie świątobliwych kapłanów na nich też ufność wiarą ojców żyjącego społeczeństwa spoczęła.

Macochowa sprawa nie zachwiała tem zaufaniem, jakie społeczeństwo polskie dla swego ma duchowieństwa.

Pomylili się wrogowie Kościoła katolickiego, oczekujący sądu w Piotrkowie nad duchowieństwem katolickiem. Zawiedli się... nie było tego sądu, gdyż być nie mogło: duchowieństwo nasze, jako zespół, jest poza wszelkimi imputowanemi mu podejrzeniami.

Wyjątki, złe i grzeszne, zawsze były, są i będą, ale tylko wyjątki.

Niesprawiedliwość i przewrotność z wyjątków czyni reguły— i sądzi.

No, a taki sąd równa się oszczerstwu, nad oszczerstwem zaś ludzie uczciwi przychodzą do porządku dziennego.

I już, zwłaszcza teraz po skończonym procesie, do porządku dziennego przyszli.

Przed Macochowym procesem był ból i żal—po procesie pozostał jeno smutek...

A. Miecznik.

PO PROCESIE.

Goniec Poranny, 10 marca.

Skończył się pierwszy etap Macochowej sprawy. Niebawem "porządki" klasztorne będą rozstrząsane w drugiej instancyi. Ale już dziś nasuwają się smutne refleksye.

Przedewszystkiem stwierdzono, że po za zbrodnią Macocha, brali udział w grabieży klasztornej trzej zakonnicy, że rozpusta kwitnęła w murach Jasnej Góry na dobre. Z różnych listów skazańców widać, że byli oni skończonymi cynikami, że z gmachu cenionego przez całą Polskę, jak długa i szeroka, zrobili jaskinię, w której uprawiano łotrowstwa na wielką skalę, i to niejako pod protektoratem noszącego infułę biskupią przeora Rejmana.

A czyż tylko ci czterej plugawili w mniejszym, lub większym stopniu świątynię, czczoną przez nas wszystkich? Z pół słówek

rzucanych w sądzie, zresztą z wcale nieukrywanych słów ludzi, wtajemniczonych w życie klasztorne, ba, od samych księży przyzwoitych i religijnych wiadomo, że życie sybaryckie, pijaństwo i rozpusta szersze zataczały kręgi, tak szerokie, że tych paru, czy kilku zakonników, o większej wartości moralnej nic zdziałać nie mogło. Nawet wpływy Rzymu nie sięgały tutaj. Bardziej wartościowi paulini, tyle tylko czynić mogli, że sami nie ulegali ogólnej zarazie, będąc niejako nikłą oazą na bezdusznym, wyjałowionym z uczuć ludzkich i szerszych aspiracyi bagnisku klasztornem.

Zakonników, tych złych, nic nie obchodziło. Żadnego przywiązania do świątyni, do idei, jaką ona reprezentuje. Dziwne było traktowanie jasnogórskich murów, jako źródła lekkiego zarobkowania, bez żadnych obowiązków natury ideowej, jako dobrze procentującej i zyskownej synekury, umożliwiającej życie rozpustne i wydrwigroszostwo pod płaszczykiem pobożności spływania łask Matki Boskiej Częstochowskiej.

A jak małym okazał się o. Rejman, ów mąż, któremu tak ufano. Jakże obojętny jest ów człowiek i dla świątyni i dla idei, przez nią reprezentowanej, świadczy bodajby fakt, że nie stawił się w sądzie. Choroba! To jest zwyczajny wykręt prawny!

Za wielka, za piekąca i za bolesna to sprawa—zbrodnia i grabieże na Jasnej Górze, aby jej przeor, choćby nawet konający, nie stawił się, nie chciał dać świadectwa prawdzie, by nie bronił klasztoru i jego reputacyi.

Albo niema w nim najmniejszego przywiązania do świątyni, albo był tylko również jednym, z ciągnących korzyści z jej świętości, albo wiedział, że obronić sromoty życia klasztornego nie może, bo znał je zbyt dobrze, bo tolerował je zbyt pobłażliwie. A najprędzej, że o. Rejman łączył w sobie jedno, drugie i trzecie.

Wierzymy, jak mówił paulin Przeździecki, że przyczyniły się wiele do upadku zakonników wpływy zewnętrzne. Ale one nie wystarczają do wytłumaczenia odbywanych tam praktyk. Jeżeli mnisi przeciwdziałać nie mogą tym wpływom, mocą swego ducha, znaczy, że w nich go niema! Dusze silnie hartują się w walce z przeciwnościami. Duchy, mające cel w życiu, umieją dążyć do niego po przez ciernie. W zakonnikach nie było ani celu, idei, ani hartu. Ulegali, bo im było z tem wygodnie. Ulegając, demoralizowali otoczenie.

I nietylko Częstochowa stała się demoralizacyjnym punktem z powodu złych, bądź sybaryckich skłonności zakonników. I w innych miejscach spotykamy się z niemiłosiernem dewotkowaniem, lenistwem i próżniactwem mas, przy jednoczesnem rozwiązłem życiu niejednego z tych zwłaszcza młodszych księży, którzy mają pretensyę do duchowego przewodnictwa. Nie idzie nam tu o zachowanie specyalnej czystości, ale o cyniczne jej brukanie i publiczne afiszowanie się.

Wiara naszego ludu jest silna i nie potrzebuje sztucznej podniety, ani podobnej opieki kapłańskiej. Jest tak silna, że nie podkopie jej nawet zły przykład wielu księży.

Weźmy choćby t. zw. Chełmszczyznę. Po zniesieniu tam Unii, większość duchowieństwa miejscowego była nad wyraz marną, co też nieszczególnie świadczy o ideowości kleru. Lud skarżył się aż nazbyt często na swych pasterzy; pełno było utyskiwań i ataków na księży w różnych tutejszych i zakordonowych pismach ludowych, a jednakże lud ten pomimo księży, a nawet wbrew ich ujemnym wpływom, pozostał głęboko religijny. Uczył się tylko powoli odróżniać wiarę od jej widomych przedstawicieli. Nie przestając opierać się na pierwszej, lekce sobie nieraz ważył kapłanów, wyzyskiwaczy ich niedoli i bezwzględnych sybarytów.

I to właśnie przejrzenie ludu na oczy, odróżnianie treści od formy i ziarna od plew, pozwala nam mieć nadzieję, że księża z biegiem czasu będą musieli liczyć się z jego żądaniami i aspiracyami, moderować swe niekiedy zbyt żarłoczne i nieludzkie instynkty. Również lud nas zniewoli księży, pomimo ich przeróżnych wyklinań z ambon, do pilnowania tego, co do nich bezpośrednio należy i nie wyzyskiwania sukni duchownej do celów nie mających nic wspólnego z religią i wiarą Chrystusową.

Pamiętajmy wszyscy podczas wyborów do I i II Dumy, jak księża oświadczali w różnych okolicach kraju, że oni powinni być wybierani na posłów, jako przewodnicy duchowni.

Obojętność kleru, a zwłaszcza wyższego, dla spraw, dotyczących istoty wiary, a nie osiąganych korzyści materyalnych i stanowisk wpływowych, ich życie niezawsze porządne i zdarzający się nieraz wyzysk ludu, przyczyniły się do powstania maryawityzmu i różnych sekt, do dawania parafiom zagrożonym najbardziej potrzebującym opieki duchowej i porady rozumnej—kapłanów marnych, o doczesnem tylko swawolnem życiu myślących, wreszcie do wytwarzania przeróżnych macochistów na większą, lub mniejszą skalę. Lud nie jest ślepy, widzi to i zastanawia się. Spadają mu łuski z oczu i choć nie przestaje być religijnym, krzepi w sobie chęć kontroli i patrzenia na palce niegodnym kapłanom, wzmaga w sobie krytycyzm, który wcześniej, czy później musi doprowadzić do szczęścia dla kraju i dla jego rozwoju, do tego, że księża będą takimi, jakimi pragnąłby ich widzieć chłop polski.

Te pełne nadziei w lepszą przyszłość słowa, niejednokrotnie, wypowiadali przyzwoici i uczciwi księża. Sądzili oni, że gdy chłop nasz zdobędzie więcej krytycyzmu i uświadomienia, to zmusi swych księży do innego traktowania związanych ze stanem kapłańskim obowiązków i postawi tamę wyzyskiwaniu sukni duchownej dla innych celów.

Przypuśćmy, że zdrowy i praktyczny instynkt naszego ludu, a dalej kontrola księży i piętno-

wanie wyrodnych przez szeroki ogół narodowy, wreszcie wysiłki uczciwej i dalej, a głębiej patrzącej części naszego duchowieństwa, zdołają wpłynąć na zwrot w wychowaniu młodych kapłanów i na obudzenie w nich ducha ofiarności, tych pierwiastków duchowych, które szczególnie są nam potrzebne wobec przykrych warunków życia społecznego.

A to uzdrowienie, aczkolwiek, musimy przyznać, bardzo ciężkie, tem więcej będzie miało szans do urzeczywistnienia, im więcej sami czynić będziemy mogli bez opieki osób trzecich i bez wpływów zewnętrznych.

Z. M.

PO WYROKU PIOTRKOWSKIM.

Nowa Reforma, Kraków dnia 8 marca.

W procesie Macocha i tow. zapadł wczoraj wyrok. Na ile lat katorgi lub rot aresztanckich skazani zostali występni zakonnicy, jest to dla sprawy samej, dla jej znaczenia ogólnego i charakteru, do pewnego stopnia rzeczą obojętną. Rozprawa sądowa wykazała i ustaliła winę wszystkich prawie podsądnych. Stwierdziła, że pod dachem jasnogórskiej świątyni, takim pietyzmem przez całą Polskę otaczanej, zagnieździły się pospolite zbrodnie, że prostracya moralna czyniła spustoszenia po celach zakonnych i siała publiczne zgorszenie w bliższem i dalszem otoczeniu. Epilog degeneracyi moralnej był okropny: w celi zakonnej dokonano skrytobójczego morderstwa.

Kiedy zbrodnia w całej swej ohydzie wyszła na jaw, z różnych oceniano ją punktów widzenia. Konserwatywne organa prasy polskiej, roszczące sobie zazwyczaj pretensyę do monopolu na poszanowanie religii i uczuć katolickich, poszły drogą fałszywej dedukcyi, i zaczęły uogólniać zbrodnię Macocha, wysnuwając z niej wnioski o podeptaniu wiary i powagi kościoła przez zbrodniczych zakonników, o wielkiej płynącej stąd klęsce i katastrofie narodowej, która spadła niezasłużenie na całą Polskę. Nie wiele brakowało, a kazanoby całej Polsce kajać się i odbywać pokutę za kradzieże i morderstwo, spełnione przez Macocha i tow. Na chwilę oprzytomnienia nie trzeba było długo czekać. Zaczęto wreszcie ograniczać zbrodniczość do pewnego koła i zakresu, szukać jej ogniska i przyczyn.

Część prasy przeciwnego kierunku stanęła znowu na stanowisku skrajnem i dochodziła także do wniosków fałszywych. Żadne społeczeństwo nie może odpowiadać za zwyrodniałe i zbrodnicze jednostki, choćby one podminowały powagę najpoważniejszej nawet instytucyi, czy kongregacyi. Wypadki takie zdarzają się, niestety, wszędzie, w narodach o samodzielnej państwowości, stojących na bardzo wysokim stopniu kultury. Cóż dopiero w zaborze rosyjskim, gdzie rząd obcy wysila się, aby ułatwić demoralizacyę całego

społeczeństwa polskiego, wszystkich jego organizacyj i instytucyj, aby podkopać przedewszystkiem powagę i moralne wpływy kościoła katolickiego! Ale nie wynika z tego wcale, aby tego rodzaju objawy moralnej dekadencyi, jakie zbrodnia Macocha z pod dachu jasnogórskiego klasztoru wywlokła na światło dzienne, mogły nie wywołać uczucia zgrozy i przerażenia w szerokich sferach ludu polskiego, aby one nie siały przestrachu i obawy przed następstwami.

Klęską, katastrofą naszą narodową, zbrodnia Macocha i kilku jego wspólników nie była i nie jest, bo nią być nie mogła. Ale tkwi w niej coś, co targa trzewiami, co oburza i wywołuje uczucie bólu, że wogóle zdarzyć się mogła w sferze polskiego duchowieństwa katolickiego, a najbardziej, że źródło tej zbrodni wybuchło w murach świątyni, takim pietyzmem i taką bohaterską tradycyą dziejową otaczanej przez całą Polskę. Jeżeli mamy być otwarci, to do tego uczucia przyznać się musimy; ono naszego honoru narodowego nie narusza wcale.

Winni są ludzie, którzy zbrodni się dopuścili, może jest winnych więcej oprócz tych, na których wczoraj zapadł wyrok, —chociaż ich jeszcze ręka sędziów rosyjskich nie dosięgła, chociaż chodzą, czy też jeżdżą wolno... Dosięgnie ich obrażone sumienie narodu, potępi ich wyrok społeczeństwa. Ani dla jednych, ani dla drugich nie może być łagodzącą okolicznością, że stosunki prawno-państwowe i administracyjne, przez rząd rosyjski wytworzone, ułatwiały im deptanie po zasadach moralności, skoro dobrowolnie na jej kapłanów i krzewicieli się poświęcili. Oni powinni byli stać ponad depravacyą, ze sfery rządowej płynącą, oni wiedzieli przecież, jakie są tego rządu zamiary i założenia, a jakie są ich obowiązki kapłańskie i zakonne.

Na jakiem podłożu administracyjno-rządowem wylęgły się zbrodnie jasnogórskie,—to nie przestaje być dla nas, dla opinii społeczeństwa polskiego, ba nawet całego świata cywilizowanego, kwestyą niezmiernie aktualną i pouczającą. Rząd rosyjski nie od wczoraj przecież w kościele katolickim upatruje najniebezpieczniejszą przeszkodę w dokonaniu dzieła rusyfikacyi na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Ograniczył on też niesłychanie sferę nadzoru kościelnego biskupów nad duchowieństwem i zakonami, wzmacniając równocześnie nad niemi swój nadzór własny i władzę świecką. Iluż to biskupów katolickich gorliwość swoją w nadzorze duchownym przepłaciło wygnaniem i utratą stanowisk! Pierwszy lepszy czynownik ma większą władzę nad księdzem świeckim i zakonnym, od biskupa lub arcybiskupa. Następstwem tej dwoistości władzy nadzorczej i przełożonej nad duchowieństwem katolickiem jest, że władza rządowa, która faktycznie dzierży w ręku egzekutywę, nietylko za spełnianie duszpaster-

skich obowiązków przez księży katolickich i za ich moralne prowadzenie się nie odpowiada, lecz przeciwnie świadomie dąży do obniżenia w nich poczucia obowiązków kapłańskich. Natomiast władza duchowna, władza konsystorzy biskupich i podwładnych ich organów, faktycznie za nadzór kapłański nad duchowieństwem odpowiedzialna, bo do niego z mocy swego urzędu kościelnego, z mocy hierarchii duszpasterskiej powołana — od wykonywania i egzekutywy swej władzy przez administracyę rosyjską odtrąconą i wpływu faktycznego została pozbawioną.

To są rzeczy znane. Mimo to przypomnieć je mamy prawo i obowiązek, gdy dzięki temu systemowi czynowniczemu. wytwarzać się mogą tego rodzaju ogniska występku i zbrodni, jakie wykryto w Częstochowie.

Nie społeczeństwo polskie, ubezwładnione przez rząd rosyjski, pozbawione głosu w urzędzie, w prasie, w instytucyach społecznych, skrępowane nawet w zarządzie kościelnym, odpowiada za następstwa systemu rusyfikacyjnego, ale rząd rosyjski, który ten system celowo obmyślił, z całą konsekwencyą w wykonanie go wprowadza, i nad jego stosowaniem zawistnie czuwa. Następstwem deprawacyi moralnej, przez czynownictwo rosyjskie uprawianej, są upadki dusz słabych, ulegających pokusom, występki osobistości pospolitych, nie dorastających do wyżyn zadania, dyktowanego im powołaniem, choćby nawet duszpasterskiem, kapłańskiem.

Ale mamy prawo twierdzić, że to są wyjątki. Społeczeństwo polskie w zaborze rosyjskim ma więcej zasobów moralnych, jest zdrowszem duchowo od rządu czynowniczego. Ono hartuje się w ciężkiej szkole politycznej i z nierównej walki wyniesie nieskalaną duszę narodu. O to jesteśmy spokojni. Macoch, Olesiński, Starczewski i choćby się tam jeszcze ktoś do ich wspólnictwa przyplątał, pozostaną zawsze niezdrową, przez wpływy administracyi rosyjskiej wytworzoną naroślą, która organizmu naszego narodu nie jest w stanie zakazić. Jesteśmy na to za zdrowi.

Ale też tego zdrowia mamy obowiązek strzedz i nad niem czuwać. Za spełnianie tego obowiązku jesteśmy odpowiedzialni wszyscy przed dzisiejszem i przyszłem pokoleniem Polski. I to jest poważną nauką, płynącą dla nas z procesu Macocha.

Myśl Niepodległa N. 201 1912 r.

Sąd piotrkowski skazał na następujące kary oskarżonych w procesie jasnogórskim: księdza Damazego Macocha na 12 lat robót ciężkich z wszystkiemi konsekwencyami, księdza Izydora Starczewskiego na 5 lat rot aresztanckich, księdza Bazylego Olesińskiego na 2½ lat rot aresztanckich, Helenę Macochową na 2 lata więzienia, Błasikiewicza na 1 rok więzienia, Piankę na 4 miesiące więzienia, Cyganowskiego na 7 dni aresztu

policyjnego. Zbiegli zagranicę: Załóg, sługa klasztorny, oraz ksiądz Euzebiusz Rejman, przeor. Za jednym i za drugim rozesłano listy gończe. Obaj wywieźli niezawodnie dużo pieniędzy klasztornych, zwłaszcza Rejman, który umiał zawsze nosić przy sobie papier, przedstawiający wartość miliona rubli.

Sąd piotrkowski rozstrzygnął sprawę jasnogórską jedynie w ramach kodeksu karnego. Dalej kompetencya jego nie sięgała. A nawet i w tych ramach wyrok jego nie może być uważany za wyczerpujący wskutek ucieczki dwóch winowajców oraz milkliwości niektórych świadków w sutannach, którzy mieli tę zdumiewającą odwagę moralną oświadczyć publicznie, iż poczuwają się do obowiązku "bronienia" skalanych zbrodnią "braci" zakonnych. Tym większe brzemię zadań dalszych spada na barki społeczeństwa i kierowników jego opinii. Obok zbrodni kryminalnych istnieją bowiem zbrodnie i przestępstwa moralne. Trybunał kładzie swą rękę karzącą tylko na zbrodniach i przestępstwach czysto kryminalnych; natomiast opinia ma obowiązek sądzić zbrodnie i przestępstwa moralne.

Niestety, ogół nasz z wyjątkiem pewnych sfer nie jest przygotowany należycie do osądzenia wszystkich owych zbrodni i przestępstw moralnych, które pług śledztwa wyorał. Już rozlegają się głosy, że afera jasnogórska jest wynikiem fatalnych stosunków, w których żyjemy obecnie. Nie da się wprawdzie zaprzeczyć, że owe stosunki, wpływając na całokształt naszego życia, wpłynąć mogły również na Jasną Górę; ale historya nas uczy, że dawniej, gdy u nas inne panowały stosunki, działo się to samo. Biskup Krasicki roku 1778 potwierdza to w "Monachomachii" w stosunku do wszystkich klasztorów, ksiądz Hieronim Juszyński roku 1784 potwierdza to w "Asketomoryi" specyalnie w stosunku do klasztoru jasnogórskiego, W N* 154 na str. 1668 pomieściliśmy następujące wyimki z utworu księdza Juszyńskiego:

To gdy się dzieje, Przeor z Jasnej Góry
Nowe prowadzi z sobą matedóry.

. . . .

Ta zgraja, którą z sobą przyprowadził,
Był to Pankracy, sławny kaznodzieja;
Ildefons, który zawsze chytrze radził,
Jan, co Przeora miał za dobrodzieja,
Barnab, co trzykroć kapitułę zdradził,
Marek, co już był miany za złodzieja,
Bo kradł spiżarnię w urzędzie szafarza,
A nawet mówią, iż Wota z ołtarza.

. . . .

To samo w ten czas u mnichów się działo,
Ludzie nieznani z osób i nazwiska,
Gdy im sposobu do życia nie stało,

Różnej fortuny dziwaczne igrzyska,
Złożyły Mnichów polityczne ciało.

Jeżeli więc "Głos Warszawski" w N* 66 mniema, że dopiero po roku 1865 wdarł się do duchowieństwa klasztornego u nas typ "hebrydów kulturalno-etycznych," byłych pisarzów gminnych, mimo pochodzenia polskiego nie będących "kulturalnie i etycznie Polakami, ani w tym stopniu, co chłop polski, ani w tym, co inne żywioły narodu," to się myli. Ksiądz Juszyński świadczy z za grobu, że w ostatniej ćwierci XVIII-go wieku "to samo się działo" na Jasnej Górze. Nie od tego zacząć należy, co się działo po roku 1865, ale bodaj od tego, co się stało po roku 1831. Jeżeli postępowcy polscy patrzyli na Żydów przez sztuczno-artystyczny pryzmat Jankla z Pana Tadeusza, to ich przeciwnicy znowu patrzyli na duchowieństwo przez sztuczno-artystyczny pryzmat Księdza Piotra z Dziadów. Jedni i drudzy żyli w dziedzinie iluzyi. Jeżeli zaś "Glos Warszawski" powoluje się na polskość, to ponownie ta ujma dla polskości się stała, iż nie Polacy poskromili paulinów jasnogórskich, ale — trybunał rosyjski. Jakiż to zaszczyt byłby dla naszego narodu, gdyby dziś mógł o sobie powiedzić: oto ja sam zrobiłem u siebie porządek! To też nie zgadzając się z powyższemi mniemaniami "Głosu Warszawskiego," w zupełności musimy przyznać mu słuszność, gdy w N* 67 pisze: "Wielka odpowiedzialność spada na nas, na nasze społeczeństwo, na kierowników naszej opinii. Bo ze strony naszej opinii publicznej przeor jasnogórski miał ogromne poparcie. Nie opuściło go ono całkowicie nawet po wykryciu dwóch strasznych zbrodni na Jasnej Górze. Tak olśnił wszystkich swemi talentami administracyjnemi i politycznemi, tak umiał sobie jednać ludzi wogóle, a dziennikarzy w szczególności, że kraj rozbrzmiewał tylko hymnami pochwalnemi dla niego, jako człowieka opatrznościowego na swym stanowisku." Są to bardzo cenne wyznania, tym cenniejsze, że choćby z naszego stanowiska uchodzić mogły za przysłowiową mądrość po szkodzie, zaraz dalej ostrzegają przed brakiem mądrości nawet po szkodzie. Czytamy dalej: "Ludzie u nas tak spraktycznieli tak zmateryalizowali się nawet w rzeczach Kościoła i religii, iż zdawało im się, że nawet na stanowisku zwierzchnika zakonu wystarcza, gdy człowiek umie obracać pieniędzmi, odnawiać mury i dobrze wychodzić z władzami. Wszelkie fałszywe pojęcie zadań w jakiejkolwiek dziedzinie społecznej mści się zazwyczaj strasznie: prowadzi ono do coraz większego nagromadzenia się szkodliwych absurdów, a w końcu do tragicznego rozwiązania." "Jeżeli piszemy o tym, to nie dla wygłaszania oderwanych refleksyi z powodu już należącej do przeszłości sprawy. Sprawa Macocha i jego towarzyszy może jest skończona, ale nie jest skończona sprawa

klasztoru jasnogórskiego." Gdy tak ze wszech miar słusznie wywodzi "Głos Warszawski," zdobywszy się na wspomnianą mądrość po szkodzie i pytając z troską, "co będzie dalej, na jakich podstawach istnienie klasztoru i zakonu nadal się oprze," sąsiad jego, "Kuryer Warszawski," który po pęknięciu wrzodu jasnogórskiego nie zdobył się na nic innego, tylko na wezwanie ogółu do ekspiacyjno-homagialnej pielgrzymki, teraz piórem poety-adwokata Ignacego Balińskiego znowu wpada w kałamarz materyalizmu religijnego i w N* 70 broni gospodarnego przeora: "A przebudowanie i powiększenie kaplicy z cudownym obrazem, a zegar, a restauracya bram, murów i tylu klasztornych budynków. Na wałach stanęły wspaniałe stacye Męki Pańskiej.. Pobożny poeta-adwokat radzi nam, abyśmy już w sprawie jasnogórskiej zamilkli, gdyż się tym gorszy: "Dość sztucznego(!) gorszącego rozdmuchiwania tego brudnego dymu," woła. Ostrożny niezawodnie jako adwokat w kwestyach poręczeń hipotecznych, których brzmienia i zobowiązania pilnuje Sąd Handlowy nader jest hojny w kwestyach poręczeń religijnych, których brzmienia i zobowiązania nie pilnuje żadna egzekutywa. Co do zbrodniarzy na Jasnej Górze, to "już ich tam niema i podobnych nie będzie nigdy." Niezawodnie jakiś krytyk księdza Juszyńskiego tak samo w roku 1783 solennie zapewniał naród, jak w roku 1912, czyli po 128 latach, czyni to pan Ignacy Baliński, mówiąc nawet o rozdmuchiwaniu "sztucznego" dymu (Poeto! rozdmuchuje się ogień, a nie dym!). Zaiste, podziwiamy sumienie religijne p. Ignacego Balińskiego, który przecie chyba wie doskonale, że nietylko nikt pożaru moralnego Jasnej Góry nie rozdmuchiwał, ale że w jej popiołach kryje się jeszcze tajemnica fatalna okradzenia cudownego obrazu, o co przed sądem chyba dość wyraźnie ksiądz Olesiński posądzał księdza Macocha. Pan Ignacy Baliński nie raczy tego wziąć pod uwagę, że ci zbrodniarze i złodzieje z kazalnicy jasnogórskiej ukazywali jako moralnych sprawców świętokradztwa ludzi najczystszych, ale odmiennych niż oni przekonań, że z tych sfer padało w naszą stronę oskarżenie, iż jesteśmy wodzami niemoralności. A teraz, gdy tak rychło oliwa wypłynęła na wierzch, pobożny pan Ignacy Baliński powstaje przeciwko "sztucznemu" rozdmu-chiwaniu sprawy. Mógł się był przed pęknięciem wrzodu jasnogórskiego mylić adwokat-poeta, czy poeta-adwokat, omyłki się wybacza; ale dziś poeta używa swej wymowy do obrony adwokackiej dobrwolnej tam, gdzie inni adwokaci tylko "z urzędu" przykry mandat zdecydowali się przyjąć. Nietylko zatem straciliśmy zupełnie zaufanie do podobnych poręczycieli, ale wprost oskarżamy ich o świadomie zwodzicielskie poręczanie tam, gdzie wiedzą, że ono jest czystą fikcyą. Nie jesteśmy religyantami, ale jesteśmy psychologami, więc szanujemy religijność. Wszela-

ko żadną miarą nie możemy szanować tej religijności szkodliwych niebezpiecznych zboczeń. A religijność pana Ignacego Balińskiego jest zaiste zupełnie zboczona, jeżeli milczy, że złodziej w sutannie posługiwał się kazalnicą dla zwalania swych złodziejstw na barki ludzi najniewinniejszych, lecz teraz występuje nawet z jego obroną, gdy władze sądowe rozsyłają listy gończe za złodziejem - oszczercą. To też do pana Ignac. Balińskiego kierujemy z podkreśleniem podwójnym słowa "Głosu Warszawskiego" o "zmateryalizowaniu się ludzi w rzeczach Kościoła i religii," o "gromadzeniu szkodliwych absurdów" a przedewszystkiem o "Wielkiej odpowiedzialności," która "spada na kirowników naszej opinii publicznej." Nie wiemy wraz z "Głosem Warszawskim," na jakich podstawach istnienie klasztoru i zakonu nadal się oprze, ale natomiast wiemy, na jakich nadal będzie chciał go opierać typ ludzi "kuryerkowych," a mianowicie: na fikcyjnem poręczycielstwie, że nic podobnego "nigdy" się więcej nie zdarzy, że "od kościoła jasnogórskiego, jak przez wieki (!), bije nadzieja (?), bije siła niepokonana." O ile się bardzo nie mylimy, p. Ignacy Baliński jest krewnym poety Antoniego Edwarda Odyńca, autora dramatu "Felicyta," wysławiającego wraz z Perpetuą, jej towarzyszką (perpetuam filicitatem!), mityczną kartagińską "męczenniczkę". Obecnie wiemy, że papież wykreślił z hufca świętych owe dwie fikcyjne święte Niechże to dobrze sobie zokonotuje p. Baliński, częstujący nas fikcyjnemi poręczeniami na rzecz bankrutów moralnych Jasnej Góry.

Wychodzące we Lwowie "Słowo Polskie," gdzie "Jezuici są barankami" i strzegą "psów", chce ze zdumiewającą logika osłabić katastrofę jasnogórską puszczeniem pogłosek, że Damazy Macoch był wspólnikiem szpiega Rybaka (porów. N. 115 "Gońca wieczornego"). Wiadomo, że przed sądem piotrkowskim zapytany w tej sprawie komisarz policyi krakowskiej, dr. Jasiński, stanowczo temu zaprzeczył. Zdaje nam się, że "Słowo Polskie" jest in psychologicis ostatnim fuszerem. Jeżeli byłoby to prawdą, że Macoch razem z Rybakiem w sposób prowokacyjny gromadził literaturę nielegalną dla "wsypywania" tych, których chciał oplątać, to pocóżby mordował Wacława, trupa jego pakował do sofy, wywoził z takim trudem za miasto i topił w bajurze? Mógł się był urządzić daleko praktyczniej:

podrzucić Wacławowi nielegalszczyznę, może nawet materyały wybuchowe, a następnie zadenuncyować go; wtedy Wacław dostałby się do takiej sofy, z którejby go już żadni chłopi okoliczni nie wydobyli!

Jednakowoż w pytaniu "Głosu Warszawskiego," dotyczącym jasnogórskiego "co dalej", niestety, na gruncie naszym zawsze tkwić będzie, chociażby bardzo głęboko ukryta, supozycya w rodzaju powyższej i to właśnie komplikuje ono "co dalej." Takiej komplikacyi naprzykład zagadnienie katolicyzmu nie ma i nie może mieć na gruncie Polonii amerykańskiej, a przeto wszelka krytyka znajduje się tam w położeniu korzystniejszym. W dodatku u nas zachodzi jeszcze komplikacya inna, a ta mianowicie, że istnieje sfera, zgłaszająca się również w charakterze krytyki, lecz krytyce jej brak zasad, ją samą ogólnie obowiązujących.

Bo oto w N* 115 "Nowej Gazety" w artykule "Mroki średniowiecza" znajdujemy roz ważania nad sprawą Macocha. Autor artykułu całkiem słusznie bierze pod uwagę "nietylko zbrodnię Macocha jako taką, lecz całe tło psychologiczne które ją umożliwiło, a więc stan moralny środowiska, w którym mnich, ślubujący ubóstwo, może zbierać dziesiątki tysięcy, w którym wystarcza przejść śród pielgrzymów, ażeby mieć na zawołanie tysiąc, w którym ciężko zapracowany grosz ludu prowadzi złe instynkty na drogę pokusy, w którym operują Star czewscy, Olesińscy." A więc nie chodzi o "Macocha," lecz o "Macochizm," nie chodzi o zbrodniarza, który przypadkowo był księdzem, ale o atmosferę średniowieczną, w której żyje duchowieństwo; to, zdaniem "Nowej Gazety," powinno być dla narodu polskiego lekcyą. Ze wszech miar słusznie Lecz znowu zachodzi szczególny fakt, z lekcyą występuje nauczyciel, który zaraz dnia następnego, gdy będzie chodziło o inne sfery, kłam zada własnym swoim zasadom. Mamy na myśli N* 11. "Nowej Gazety" z "Felietonem" a właściwie jego częścią p. t. "Flosemityzm i koniokradztwo."

Właśnie w No. 9 'Zarania" znalazł się był list zbiorowy chłopów polskich z powiatów Lińczowskiego i Miechowskiego pt. "Żydzi straszną plagą," za który redakcya wzięła na siebie pełną odpowiedzialność. Żydzi miejscowi utworzyli coś w rodzaju włoskiej camorry, kierują napadami, podpaleniami i grabieżami spalenisk, grożą otwarcie podpaleniem, jeżeli z go spodarzami nie dobiją targu o

jakąś krowę, żądają np. 1500 rb. odszkodowania za to, że ten a ten gospodarz przyczynił się do wyłapania kontrabandzistów, słowem teroryzują całą okolicę. Udzielcie nam rady, wołają autorowie listu. Redakcya dodaje od siebie pytanie: do czego Żydzi chcą doprowadzić? "Nie grozimy. Ale ze stanowczością głosem ludu wołamy: dość już tego! Wołamy do wszystkich Żydów w kraju naszym siedzących: natychmiast użyjcie wszelkich środków, aby łotrastwo współwyznawców waszych w okolicy Działoszyce - Wodzisław ustało."

Cóż na to "Nowa Gazeta," która byłaby szczególniej powołana do wysłuchania apelu "Zarania" i wszczęcia akcyi ratunkowej? Otoż "Nowa Gazeta" ubolewa wprawdzie, że takie rzeczy się dzieją, ale powiada, że "strona wyznaniowa przedstawia się tu, jak w każdej innej dziedzinie." Redakcyi "Zarania" dostał się zarzut "naiwności;" "tła psychologicznego" już się pod uwagę nie bierze, wszelkie uogólnienie zasługuje na ostrą naganę i odparcie, winniśmy bowiem widzieć w okolicy Działoszyc i Wodzisławia li tylko koniokradów i podpalaczy, a nie Żydów koniokradów i podpalaczy, gdy zaś w sprawie takiego uogólnienia, jak macochizm, "Nowa Gazeta" wypisuje lekcye pod adresem całego narodu polskiego, tu nie przyjmuje lekcyi pod adresem Żydów. Tej niekonsekwencyi "Nowa Gazeta" nie widzi a raczej nie chce widzieć, ale widzą ją katolicy, a przeto nauczyciel w rodzaju redaktora "Nowej Gazety" nietylko ich drażni i oburza, ale teraz oni sami posuwają się do uogólnienia i wszelką krytykę katolicyzmu będą nazywali robotą żydowską. Nie pomylimy się przeto, gdy w pytaniu "co dalej" spostrzegamy jeszcze jedną a bardzo szkodliwą komplikacyę, niezmiernie utrudniającą jasne postawienie kwestyi. Tak postępując, "Nowa Gazeta," jedną ręką sieje gorejący antysemityzm, a drugą ręką to wszystko co pozostawi katolicyzm w stanie zachwaszczenia obecnego. Redaktor "Nowej Gazetyp. Stanisław Kempner, przyjmując taki artykuł do druku, staje w oczach naszych na jednej bodaj linii z p. Ignacym Balińskim, a kto wie nawet, czy linia, na której on stoi nie jest szkodliwsza, a on sam, jako bardziej rzeczy wiadomy, bardziej winą obarczony. Czytamy: "A więc dlatego, że koniokradzi z okolic Działoszyc i Wodzisławia są wyłącznie, czy przeważnie Żydami ("Zaranie" nie ma pod tym względem wątpliwości — przyp. Red.),

demaskowanie ich należy do kwestyi żydowskiej!?'' pyta z oburzeniem ''Nowa Gazeta''. Tak, odpowiadamy, to należy do kwestyi żydowskiej, jak do kwestyi katolickiej należy demaskowanie Macochów a do kwestyi polskiej demaskowanie rozmaitych sprzedawczyków.

Ilekroć chodzi o polskość lub katolicyzm, p. Kempner wie to bardzo dobrze, tylko o tym nagle zapomina, gdy chodzi o kwestyę żydowską. Jeżeli więc ''Głos Warszawski'' na to się zdobył w sprawie jasnogóskiej, iż napisał: ''wielka odpowiedzialność spada na nas, na nasze społeczeństwo, na kierowników naszej opinii. Bo ze strony naszej opinii publicznej przeor jasnogórski miał ogromne poparcie,'' to ''Nowa Gazeta'' w sprawie żydowskiej camorry powiatów Pińczowskiego i Miechowskiego powinna była napisać: ''Wielka odpowiedzialność spada na nas, Żydów i filosemitów, gdyż w każdym Żydzie ukazywaliśmy ogółowi Jankla z ''Pana Tadeusza'' lub Srula z ''Lubartowa,'' grożąc każdemu nazwą antysemity, jeżeli na masie żydowskiej ukaże choćby najdrobniejszą plamkę.'' To też w chwili rozbioru sprawy jasnogórskiej wszyscy mają prawo stanąć w charakterze krytyków, prócz właśnie takich pism, jak ''Nowa Gazeta,'' gdyż nic wnoszą do sprawy żadnych wyjaśnień zasadniczych, prócz mątu i podrażnienia. Ogół w gniewie powie: Lekarzu, ulecz najpierw siebie samego'' — i wszystko pozostanie po dawnemu, aby znowu po jakimś czasie wrzód zebrał i pękł.

Oto właśnie sposobność, aby wykazać, jak ściśle metodycznie postępować należy, aby leczyć rany tego rodzaju, co jasnogórska. Sądzimy, że każdy człowiek logicznie myślący i mający sumienie przyzna nam słuszność.

SPIS RZECZY